

# Dolina trwogi





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

ARTUR CONAN DOYLE

# *Dolina trwogi*

TEŁUM. NIEZNANY

# CZEŚĆ PIERWSZA. TRAGEDIA W BIRLSTONE

## ROZDZIAŁ I. OSTRZEŻENIE

— Musiałbym się zastanowić... — rzekłem.

— Zrobiłbym to już dawno — zauważył Sherlock Holmes niecierpliwie.

Jestem, jak sądzę, człowiekiem o szczególnie łagodnym usposobieniu, przynajmniej jednak, że ta ironiczna uwaga nieco mnie uraziła.

— Doprawdy, Holmesie — rzekłem poważnie — jesteś czasami przykry.

Był zbyt zajęty swoimi myślami, by odpowiedzieć natychmiast na moje upomnienie. Wsparł się na rękę, nie tykając stojącego przed nim śniadania i wpatrywał się w ćwiartkę papieru, którą przed chwilą wydobyl z koperty. Potem wziął kopertę, podniósł ją do światła i bardzo dokładnie obejrzał ze wszystkich stron.

— To pismo Porlocka — powiedział zamyślony. — Nie wątpię, że to pismo Porlocka, chociaż widziałem je tylko dwa razy. Greckie „e”<sup>1</sup> z charakterystycznym ozdobnikiem u góry rzuca się w oczy. Jeśli to jednak pismo Porlocka, musi to być coś niezwykle ważnego.

Mówił raczej do siebie niż do mnie, ale moje niezadowolenie ustąpiło miejsca zaciekawieniu, które wzbudziły te słowa.

— Któż to jest Porlock? — zapytałem.

— Porlock, Watsonie, jest pseudonimem, znakiem tożsamości, za którym kryje się sprytna, nieuchwytna osobistość. W poprzednim liście wyznał mi otwarcie, że nazwisko to jest przybrane i proponował nawet, abym spróbował wysledzić go w wielomilionowym rojowisku tego wielkiego miasta. Porlock to ktoś ważny nie sam przez się, ale ze względu na wielkiego człowieka, z którym pozostaje w kontakcie. Wyobraź sobie rybę pilota<sup>2</sup> i rekina, szakala i lwa... coś mało znacznego w ścisłej zażyłości z czymś strasznym. Nie tylko strasznym, Watsonie, ale niesamowitym... niesamowitym w najwyższym stopniu. I dlatego się nim interesuję. Słyszałeś ode mnie o profesorze Moriartym?

— Słynnym uczonym przestępcy, równie znanym w kołach zbrodniarzy...

— Wstydzę się za ciebie, Watsonie — mruknął Holmes tonem politowania.

— Chciałem powiedzieć: jak nieznanym publiczności.

— Wzruszające... doprawdy, wzruszające! — zawołał Holmes. — Okazujesz niespodziewanie pewien zmysł satyryczny, Watsonie, który każe mi mieć się na baczności. Ale nazywając Moriarty’ego zbrodniarzem, czynisz mu, doprawdy, krzywdę i w tym właśnie leży jego chwała i wielkość. Najwybitniejszy myśliciel wszystkich czasów, organizator każdej zbrodni, mózg rządzący światem przestępczym... mózg w rodzaju tych, jakie decydują o powstaniu lub zagładzie narodów. Taki jest ten człowiek. A jednak nie pada na niego nawet cień podejrzenia... nie podlega krytyce... jest tak godny podziwu w swoich postępkach i panowaniu nad sobą, że za wypowiedziane słowa mógłby cię pociągnąć do odpowiedzialności, a sąd nie wahałby się przyznać mu twojego całorocznego dochodu tytułem odszkodowania za obrazę honoru. Czyż nie jest słynnym twórcą *Dynamiki asteroidy*<sup>3</sup>, książki, która wznosi się na wyżyny najczystszej matematyki i o której mówią, że w całej fachowej prasie nie było człowieka uzdolnionego do skrytykowania jej? Czyż takiego człowieka można oczernić? Złośliwy lekarz i pokrzywdzony profesor — oto, jakie byłyby ewentualnie wasze role. To geniusz, Watsonie. Jeśli jednak pozwolą mi na to ludzie pośledniejsi, nasz dzień przyjdzie na pewno.

— Obym go dożył! — zawołałem żarliwie. — Ale mówiłeś o Porlocku.

<sup>1</sup> Greckie „e” — tzn. ręcznie pisana litera „e” o kształcie podobnym do greckiej litery epsilon (ε). [przypis edytorski]

<sup>2</sup> ryba pilot — potoczna nazwa oceanicznej ryby, która często towarzyszy statkom (jakby je pilotowała), dużym morskim ssakom lub rybom, zwłaszcza rekinom. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> asteroida — planetoida, niewielkie ciało niebieskie obiegające Słońce, nie będące planetą, księżycem planety ani kometą; większość z nich krąży w głównym pasie planetoid, pomiędzy orbitami Marsa i Jowisza; pierwsze obiekty tego rodzaju odkryto w XIX w., obecnie skatalogowano ponad milion z nich. [przypis edytorski]

— Ach, tak... Ten Porlock zatem jest ogniwem w łańcuchu, dość blisko jego początku. I mówiąc między nami, Porlock nie jest solidnym ogniwem. Jest on, o ile mogłem się przekonać, jedyną skazą w tym łańcuchu.

— Ale o sile łańcucha decydują najsłabsze ogniwa.

— Masz słuszność, mój drogi Watsonie. Stąd niesłychane znaczenie Porlocka. Powodowany resztkami poczucia prawa i zachęcony odpowiednią podniętą w postaci dziesięciofuntowego<sup>4</sup> banknotu, przesyłanego mu od czasu do czasu okrężną drogą, użył mi raz czy dwa razy płatnych informacji, które miały wartość... wartość najwyższą, gdyż umożliwiały raczej zapobieżenie i przeszkodzenie zbrodni niż jej pomszczenie. Nie wątpię, że gdybyśmy mieli klucz do odczytania szyfru, wiadomość ta okazałaby się tego rodzaju, jak mówiłem.

Holmes rozłożył znów ćwiartkę papieru na nietkniętym talerzu. Wstałem i pochyliwszy się nad nim, przyglądałem się dziwnemu napisowi, który brzmiał, jak następuje:

534 C2 13 127 36 31 4 17 21 41  
Douglas 109 293 5 37 Birlstone  
26 Birlstone 9 127 171.

— Cóż chcesz z tym zrobić, Holmesie?

— Jest to widocznie próba przekazania tajnej informacji.

— Ale na cóż się przyda szyfrowana wiadomość bez klucza do niej?

— W tym wypadku na nic.

— Dlaczego mówisz „w tym wypadku”?

— Ponieważ istnieje wiele szyfrów, które odczytam ci równie łatwo jak apokryfy<sup>5</sup> w gazetach, w kolumnie z ogłoszeniami. Tak proste zagadnienia są zabawą dla inteligentnego umysłu i nie nużą go. Ale to zupełnie inna sprawa. Liczby oczywiście odnoszą się do wyrazów na stronie pewnej książki. Dopóki nie wiem, co to za stronica i co to za książka, jestem bezsilny.

— Ale czemu „Douglas” i „Birlstone”?

— Widocznie dlatego, że tych słów nie ma na odnośnej stronie.

— Czemu zatem nie podał tytułu książki?

— Wrodzony spryt, mój drogi Watsonie, i bystrość umysłu, która jest rozkoszą twoich przyjaciół, powstrzymałaby cię z pewnością od przesłania wiadomości i szyfru w tej samej kopercie. Gdyby dostała się w niepowołane ręce, byłbyś zgubiony. A tak, tylko w razie przejścia i szyfru, i wiadomości, mogłoby stać się coś złego. Nasza druga poczta powinna przyjść lada chwila i zdziwiłbym się, gdyby nie dostarczyła nam albo listu z wyjaśnieniem, albo, co bardziej prawdopodobne, samej książki, do której odnoszą się te liczby.

Rachuby Holmesa okazały się słuszne, gdyż po paru minutach zjawił się Billy, chłopiec na posługę, z oczekiwanym przez nas listem.

— To samo pismo — zauważył Holmes, otwierając kopertę — i ten sam podpis — dodał uradowanym głosem, rozkładając list. — Chodź, zabierzemy się do niego, Watsonie.

Czoło zachmurzyło mu się jednak, kiedy przebiegł oczyma jego treść.

— Drogi mój, co za rozczarowanie! Obawiam się, Watsonie, że wszystkie nasze oczekiwania wzięły w łeb. Mam nadzieję, że Porlocka nie spotka jednak nic złego.

Drogi panie Holmes — czytał. — Nie chcę zajmować się więcej tą sprawą. Jest zbyt niebezpieczna. On mnie podejrzewa. Widzę, że mnie podejrzewa. Odwiedził mnie niespodziewanie w chwili, kiedy zaadresowałem kopertę z zamiarem przesłania panu klucza do szyfru. Zdążyłem ją ukryć. Gdyby to spostrzegł, byłoby ze mną krucho. Ale wyczytałem w jego oczach podejrzenie. Proszę spalić szyfrowaną wiadomość, która teraz już się panu nie przyda.

<sup>4</sup>funt szterling — angielska jednostka monetarna; dawniej funt dzielił się na 20 szylingów po 12 pensów każdy. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>apokryf (z gr. *apokryphos*: ukryty, tajemny) — w starożytności: tekst tajemny, dostępny tylko dla wtajemniczonych; dziś: dawna religijna księga żydowska lub chrześcijańska niezaliczona do kanonu ksiąg świętych, także: utwór o wątpliwym lub fałszywym autorstwie. [przypis edytorski]

Fred Porlock.

Holmes siedział przez chwilę, mnąc list w palcach i wpatrując się ze zmarszczoną brwią w ogień.

— A może — rzekł w końcu — może to nie ma żadnego znaczenia. Mogło mu się tak tylko zdawać. Wie, że jest zdrajcą, dlatego mógł łatwo wyczytać oskarżenie w oczach drugiego.

— Tym drugim jest, jak sądzę, profesor Moriarty?

— Nie ulega kwestii. Kiedy ktoś z bandy mówi „on”, ma na myśli tylko jednego człowieka. Dla nich wszystkich istnieje tylko jeden „on”.

— Ale co on może zrobić?

— Hm! Dużo można by o tym powiedzieć. Kiedy przeciw sobie masz jeden z najtęższych umysłów w Europie, za którym stoją wszystkie ciemne siły, możliwości są nieograniczone. W każdym razie nasz przyjaciel Porlock jest widocznie przestraszony. Porównaj, z łaski swojej, pismo w liście z pismem na kopercie, zaadresowanej, jak nam podaje, przed tą złowieszczą wizytą. Jedno jest wyraźne i pewne, drugie ledwie czytelne.

— Czemu w ogóle pisał? Czemu po prostu nie przyszedł?

— Ponieważ obawiał się, że będę go śledził i mogę sprowadzić na niego nieszczęście.

— Bez wątpienia — rzekłem. — Naturalnie. — Wziąłem zaszyfrowaną wiadomość i pochylilem się nad nią. — Po prostu można oszaleć na myśl, że ta ćwiartka papieru zawiera jakąś tajemnicę i że zgłębienie jej nie leży w ludzkiej mocy.

Sherlock Holmes odsunął nietknięte śniadanie i zapalił nieapetyczną fajkę, która była towarzyszką jego najgłębszych rozmyślań.

— Zastanówmy się! — powiedział, przechylając się w tył i patrząc w sufit. — Może pewne szczegóły umknęły twemu makiawelicznemu<sup>6</sup> umysłowi. Trzeba ująć sprawę rozumowo. Ten człowiek opiera się na jakiejś książce. To jest naszym punktem wyjścia.

— Punktem nieokreślonym.

— Zastanówmy się, a może da się go bliżej oznaczyć. Kiedy skupiam myśli, wydaje mi się łatwiejszy do uchwycenia. Jakie mamy wskazówki co do tej książki?

— Żadnych.

— No, no, nie jest tak źle. Szyfr zaczyna się od liczby 534, prawda? Możemy przyjąć hipotezę, że 534 jest numerem strony, do której odnosi się szyfr. W ten sposób nasza książka stała się już obszerną książką, a to, bądź co bądź, stanowi pewien postęp. Jakie mamy dalsze wskazówki co do rodzaju tej wielkiej książki? Następnym znakiem jest Cz. Co o nim sądzisz, Watsonie?

— Rozdział drugi<sup>7</sup>, bez wątpienia.

— Nie sądzę, Watsonie. Z pewnością zgodzisz się ze mną, że skoro podano numer strony, to podawanie rozdziału jest zupełnie niepotrzebne. Co więcej, jeśli strona 534 przypada dopiero na drugi rozdział, długość pierwszego musiałaby być w istocie niezwykle.

— Kolumna<sup>8</sup>! — zawołałem.

— Wspaniale, Watsonie. Jesteś dziś nadzwyczajny. Byłbym rozczarowany, gdyby to nie była kolumna. Teraz, jak widzisz, potrzebna nam już tylko wielka książka, drukowana w dwóch kolumnach o znacznej długości, gdyż jedno słowo w liście oznaczone jest liczbą dwieście dziewięćdziesiąt trzy. Czy osiągnęliśmy granice zakreślone przez rozum?

— Obawiam się, że tak.

— Doprawdy, jesteś zbyt skromny. Jeszcze jedna iskierka, mój drogi Watsonie. Jeszcze jeden wysiłek mózgu. Gdyby ta książka była rzadko spotykana, byłby mi ją przysłał. Jednak zamierzał tylko, zanim przekreślono jego plan, przesłać mi w tej kopercie klucz

<sup>6</sup>*makiaweliczny* — wyrachowany, cyniczny, bezwzględny; od nazwiska włoskiego historyka, dyplomaty i pisarza, Niccolò Machiavellego (1469–1527), autora traktatu o sprawowaniu władzy i cechach skutecznego politycznie władcy (*Książę*, 1513). [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*Następnym znakiem jest Cz (...)* *Rozdział drugi* — jeśli litera „C” występuje jako skrót angielskiego słowa *chapter*: rozdział. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*Kolumna* — w oryg. ang.: *column*, słowo również zaczynające się na literę „C”. [przypis edytorski]

do szyfru. Tak mówi w swoim liście. Świadczyłyby to o tym, że jego zdaniem ze znalezieniem tej książki nie będę miał żadnych trudności. Miał ją i był przekonany, że ja też ją mam. Krótko mówiąc, Watsonie, jest to książka bardzo pospolita.

— Brzmi to prawdopodobnie.

— Ograniczyliśmy w ten sposób zakres naszych poszukiwań do książki wielkiej, drukowanej w dwóch kolumnach i będącej w powszechnym użyciu.

— Biblia! — zawołałem z triumfem.

— Dobrze, Watsonie, dobrze. Chociaż nie, trzeba przyznać, nie tak znowu dobrze. Mógłbym się zgodzić na twoją hipotezę, gdyby chodziło o mnie, ale trudno przypuścić, aby podobna książka znalazła się pod ręką kogoś ze współników Moriarty'ego. Poza tym jest tyle wydań Pisma Świętego, że nie mógłby na tym polegać, aby dwie kopie miały taki sam układ stron. Jest to widocznie książka wydana w jakiejś określonej formie. Przyjmuje on za pewnik, że jego strona 534 zgadzać się będzie z moją stroną 534.

— Ale temu warunkowi odpowiada tylko niewiele książek.

— Właśnie. W tym leży nasz ratunek. Poszukiwanie nasze ogranicza się zatem do książek wydanych w ściśle określonym układzie, które mogą się znaleźć w rękach każdego.

— *Bradshaw*<sup>9</sup>!

— Słownictwo *Bradshawa* jest rzeczowe, zwarte, ale ograniczone tylko do pewnych terminów. Dobór słów uniemożliwia wysłanie ogólnej wiadomości. Trzeba *Bradshawa* wykluczyć. Słownika, obawiam się, nie można przyjąć z tych samych powodów. A zatem cóż pozostaje?

— *Almanach*<sup>10</sup>.

— Znakomicie, Watsonie. Albo się mylę, albo trafiłeś w sedno. *Almanach*! Weźmy pod uwagę *Almanach Whitakera*<sup>11</sup>. Jest w powszechnym użyciu. Ma wymaganą liczbę stron. Drukowany jest w dwóch kolumnach. Chociaż zwężony na początku, pod koniec staje się gadatliwy. — Zdjął z półki książkę. — Notuj słowa, Watsonie. Numerem trzynastym jest „Mahratta”<sup>12</sup>. Niezbyt zachęcający początek. Numerem stu dwudziestym siódmym jest „Rząd”, co ma przynajmniej jakiś sens, chociaż nie ma związku z nami i profesorem Moriartym. Spróbujmy jeszcze raz. Cóż robi ten rząd Mahratty? Niestety! Następnym słowem jest „świńska szczecina”. Jesteśmy pokonani, mój dobry Watsonie. Skończone.

Mówił tonem żartobliwym, ale marszczenie krzaczastych brwi świadczyło o jego rozczarowaniu i gniewie. Siedziałem bezradny i przygnębiony, patrząc w ogień. Długie milczenie przerwał nagły okrzyk Holmesa, który rzucił się do szafy i wyjął z niej jakąś inną książkę w żółtej okładce.

— To kara, Watsonie, za nasz niepotrzebny pośpiech — zawołał. — Wypprzedamy czas i to się na nas mści. Ponieważ jest siódmego stycznia, używamy już nowego almanachu. Ale jest więcej niż prawdopodobne, że Porlock czerpał ze starego. Zapewne wyjaśniłby to nam w liście, gdyby miał zamiar w ogóle wyjaśniać. Zobaczmy teraz, co mieści się na stronie 534. Numer trzynasty ma „Grozi”, co jest bardziej obiecujące. Numer 127 ma „wielkie”. „Grozi wielkie”.... — Oczy Holmesa pały, a jego cienkie, nerwowe palce drżały, kiedy liczył słowa — „niebezpieczeństwo”. Ha, ha! Kapitalne! Pisz, Watsonie. „Grozi wielkie niebezpieczeństwo... a... może... przyjść... bardzo... prędko”. Potem mamy imię „Douglas”. „Bogaty... miejscowość... teraz... w... Birlstone... Dwór... Birlstone... należy... ostrzec... go”. Cóż, Watsonie? Oto owoce rozumowania. Gdyby w sklepie z jarzynami można było dostać wieniec laurowy, posłałbym po niego Billy'ego.

Wpatrywałem się w leżącą na moich kolanach kartkę papieru, na której zapisałem dziwną wiadomość odczytaną przez Holmesa

— Jakież dziwne, nerwowy sposób wyrażania się — rzekłem.

<sup>9</sup>*Bradshaw* (pot.) — *Bradshawa miesięczny rozkład jazdy kolei* (ang.: *Bradshaw's Monthly Railway Guide*), seria popularnych rozkładów jazdy połączonych z przewodnikami turystycznymi, publikowanych w Londynie od 1841 do 1961. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*almanach* — wydawana periodycznie publikacja informacyjna, zawierająca zebrane artykuły i informacje dotyczące jakiejś dziedziny życia, nauki, sztuki itp. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*Almanach Whitakera* — coroczna publikacja informacyjna wydawana w Wielkiej Brytanii od 1868, składająca się z haseł, list i tabel dotyczących różnych tematów współczesnych. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*Mahratta*, dziś zwykle: *Maratha* — grupa etniczna w zachodnich Indiach. [przypis edytorski]

— Przeciwnie, wywiązał się z zadania doskonale — powiedział Holmes. — Jeśli w jednej kolumnie szukasz potrzebnych ci słów, nie zawsze uda ci się wszystko znaleźć. Musisz liczyć w pewnym stopniu na inteligencję odbiorcy. Treść jest zupełnie jasna. Na niej jakim Douglassie, bogatym wiejskim dzentelmenie, zamieszkałym pod podanym adresem, chcą dokonać zbrodni. Nie wie o niczym, „trzeba go ostrzec”. Oto wynik naszej analizy.

Holmes doznawał nieuchwytniej radości prawdziwego artysty, chociaż dokonane dzieło nie miało tej wartości, jakiej by pragnął. Napawał się jeszcze swoim triumfem, kiedy Billy otworzył drzwi i do pokoju wpadł inspektor MacDonald ze Scotland Yardu.

Były to pierwsze dni stycznia z końcem lat osiemdziesiątych, kiedy MacDonald nie osiągnął jeszcze sławy, która go teraz otacza. Był młodym, ale cieszącym się zaufaniem władz detektywem, który odznaczył się w kilku powierzonych mu sprawach. Jego smukła, koścista postać świadczyła o niezwykłej sile fizycznej, podczas gdy wielka czaszka i głęboko osadzone, bystre oczy zdradzały wybitną inteligencję. Był milczącym, sztywnym mężczyzną o nieugiętym charakterze i ostrym aberdyńskim<sup>13</sup> akcencie. Już dwukrotnie w jego karierze Holmes pomógł mu w uzyskaniu sukcesu, zadowolając się satysfakcją, jaką dla umysłu jego było samo rozwiązanie zagadki. Z tego powodu Szkot żywił dla swego kolegi amatora uczucie głębokiego szacunku, który okazywał mu, zwracając się do Holmesa z całą otwartością w każdym trudniejszym wypadku. Mierność nie uznaje nikogo wyższego nad siebie, ale talent w jednej chwili docenia geniusz, a MacDonald miał dość talentu jako zawodowiec, aby zrozumieć, że szukanie pomocy u człowieka, który był w Europie zjawiskiem wyjątkowym, tak pod względem zdolności, jak doświadczenia, nie sprawia żadnej ujemy. Holmes nie był skłonny do zawierania serdecznych związków, ale lubił wielkiego Szkota i przyjął go z uśmiechem.

— Ranny z pana ptaszek — rzekł. — Życzę szczęścia. Obawiam się jednak, że chodzi o jakieś przestępstwo.

— Gdyby pan powiedział „mam nadzieję” zamiast „obawiam się”, bylibyśmy, jak sądzę, bliżsi prawdy, panie Holmes — odparł inspektor ze znaczącym uśmiechem. — Cóż, lyczek czegoś mocniejszego w ten wilgotny poranek dobrze by zrobił... Nie, dziękuję panu, nie będę palił. Muszę się spieszyć w drogę, bo jak pan sam najlepiej wie, w każdej sprawie pierwsze godziny są najcenniejsze. Ale... ale...

Inspektor zatrzymał się nagle, patrząc niezmiernie zdumionymi oczyma na leżący na stole papier. Była to kartka, na której nabazgrałem zagadkową wiadomość.

— Douglass! — wyjąkał. — Birlstone! Co to ma znaczyć, panie Holmes? To jakieś czary! Skąd pan wziął to nazwisko i miejscowość?

— To szyfry, które odczytywaliśmy razem z Watsonem. Ale dlaczego, co jest nie tak z tym nazwiskiem i miejscem?

Inspektor spoglądał osłupiały ze zdziwienia to na jednego, to na drugiego z nas.

— To — rzekł — że pan Douglas z Birlstone Manor House został dziś rano okrutnie zamordowany.

## ROZDZIAŁ II. ROZWAŻANIA SHERLOCKA HOLMESA

Był to jeden z tych dramatycznych momentów, dla których żył mój przyjaciel. Byłoby przesadą twierdzić, że uderzyła go lub choćby tylko podekscytowała ta zdumiewająca wiadomość. Jego niezwykła natura nie miała skłonności do okrucieństwa, a ciągły stan podrażnienia czynił go niepodatnym na bodźce zewnętrzne. A jednak, chociaż jego uczucia były stępione, władze umysłowe były niezwykle sprawne. Nie widziałem śladów przerażenia, którego sam doznałem po tym krótkim oświadczeniu. Twarz jego miała raczej wyraz spokoju i zainteresowania chemika, który obserwuje kryształy wytrącające się w jakimś wysyconym roztworze.

— Ciekawe! — rzekł. — Ciekawe.

— Pan, jak się zdaje, nie jest zdziwiony?

— Zainteresowany, inspektorze, ale nie zdziwiony. Dlaczego miałbym się dziwić? Otrzymuję anonimową wiadomość z miasta, do której muszę przywiązywać wielką wagę i która mnie ostrzega, że pewnej osobie grozi niebezpieczeństwo. W ciągu godziny

<sup>13</sup>aberdyński — związany z Aberdeen, miastem w płn.-zach. Szkocji. [przypis edytorski]

dowiaduję się, że niebezpieczeństwo już się zmaterializowało i że wspomniana osoba nie żyje. Jestem zainteresowany, lecz jak pan to widzi, nie jestem zdziwiony.

W kilku krótkich zdaniach wytłumaczył inspektorowi sprawę listu i szyfru. MacDonald siedział, podpierając rękoma podbródek, a jego krzaczaste, piaskowe brwi ściągnęły się w żółty węzeł.

— Jadę dziś rano do Birlstone — rzekł. — Przyszedłem zapytać, czy chce pan jechać ze mną... pan i pański przyjaciel. Ale z tego, co pan mówi, wnoszę, że zrobilibyśmy lepiej, zabrawszy się do roboty w Londynie.

— Nie sądzę — rzekł Holmes.

— Niech to diabli wezmą, panie Holmes! — zawołał inspektor. — Jutro lub pojutrze gazety będą się rozpisywać o „tajemnicy Birlstone”, ale co to za tajemnica, jeśli w Londynie jest człowiek, który przepowiedział zbrodnię, zanim jej dokonano. Trzeba tylko ująć tego człowieka, a reszta pójdzie gładko.

— Bez wątpienia, inspektorze. Ale w jaki sposób zamierza pan ująć tak zwanego Porlocka?

MacDonald obrócił w rękę list, który wręczył mu Holmes.

— Nadany w Camberwell<sup>14</sup>... to nam dużo nie pomoże. Nazwisko, jak pan twierdzi, jest przybrane. Zapewne to niewiele. Wspominał pan jednak, że przesyłał mu pan pieniądze?

— Dwukrotnie.

— I w jaki sposób?

— W banknotach, listem zaadresowanym na pocztę w Camberwell.

— I nie starał się pan dowiedzieć, kto je odebrał?

— Nie.

Inspektor spojrział zdziwiony i trochę zgorszony.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ zawsze dotrzymuję słowa. Kiedy napisał do mnie po raz pierwszy, przyrzekłem mu, że nie będę go śledził.

— Sądzi pan, że za nim ktoś stoi?

— Wiem, że tak jest.

— Ten profesor, o którym mi pan wspominał?

— Właśnie.

Inspektor MacDonald uśmiechnął się i mrugnął do mnie.

— Nie będę przed panem ukrywał, panie Holmes, że w Głównym Biurze Śledczym sądzimy, że ma pan małego bzika na punkcie tego profesora. Ja sam starałem się wyświecić tę sprawę. Jest to, jak się zdaje, bardzo szanowany, wykształcony i utalentowany człowiek.

— Cieszy mnie, że poznał się pan na jego talencie.

— Człowieku, muszę mu to przyznać. Kiedy usłyszałem pańskie zdanie o nim, postanowiłem go poznać. Pogadaliśmy o zaćmieniach słońca... nie wiem, w jaki sposób zesłaliśmy na ten temat... a jednak z pomocą lampy projekcyjnej i globusu wyjaśnił mi tę kwestię w ciągu minuty. Pożyczył mi książkę, ale muszę przyznać, że była dla mnie za mądra, chociaż otrzymałem w Aberdeen porządne wykształcenie. Byłby to wielki minister, z jego szczupłą twarzą, siwymi włosami i poważnym sposobem mówienia. Kiedy przy pożegnaniu położył mi ręką na ramieniu, doznałem wrażenia, że to jakby błogosławieństwo ojcowskie przed wejściem w zimny, okrutny świat.

Holmes parsknął śmiechem i zatarł ręce.

— Świetnie! — zawołał — Świetnie! Niech mi pan powie, drogi przyjacielu: ta przyjemna i wzruszająca rozmowa toczyła się, jak przypuszczam, w gabinecie profesora?

— Tak jest.

— Ładny pokój, nieprawdaż?

— Bardzo ładny, bardzo gustownie urządzone, panie Holmes.

— Pan siedział przed biurkiem?

— Tak jest.

— Słońce świeciło panu w oczy, podczas gdy jego twarz była w cieniu?

<sup>14</sup>Camberwell — dzielnica południowego Londynu. [przypis edytorski]



— Nie, to było wieczorem, ale pamiętam, że światło lampy padało na moją twarz.  
— Tak przypuszczam. Czy zauważył pan obraz nad głową profesora?  
— Zwracam na wszystko uwagę, panie Holmes. Nauczyłem się tego od pana. Tak, widziałem obraz: młoda kobieta z głową wspartą na rękach, spoglądająca z ukosa.

— To obraz Jana Baptisty Greuze'a<sup>15</sup>.

Inspektor starał się okazać zaciekawienie.

— Jan Baptysta Greuze — ciągnął dalej Holmes, stykając dłonie koniuszkami palców i rozpięając się wygodnie w krzesło — był francuskim artystą, który doszedł do rozkwitu między rokiem 1750 a 1800. Mówię, oczywiście, o jego artystycznej karierze. Nowoczesna krytyka potwierdziła pochlebną opinię, jaką sobie o nim wyrobili współcześni.

Oczy inspektora błędziły w próżni.

— Czy nie lepiej... — rzekł.

— Właśnie to robimy — przerwał Holmes. — Wszystko, co mówię, odnosi się wprost do tego, co pan nazywa „tajemnicą Birlstone”. Właściwie można by to nazwać samym jej sednem.

MacDonald uśmiechnął się słabo i spojrział na mnie wzrokiem proszącym o pomoc.

— Myśli pan zbyt szybko, jak dla mnie, panie Holmes. Opuszcza pan jakieś jedno czy drugie ogniwo, mam lukę i nie mogę podążać dalej. Jaki to związek zachodzi między tym zmarłym malarzem a sprawą Birlstone?

— Detektywowi może się przydać każda wiadomość — zauważył Holmes. — Nawet trywialny fakt, że obraz Greuze'a zatytułowany *Dziewczę z jagnięciem* osiągnął w 1865 roku na aukcji u Portalisa cenę miliona dwustu tysięcy franków, ponad czterdzieści tysięcy funtów, może wzbudzić refleksje w pańskim umyśle.

Było jasne, że wzbudził. Inspektor zdawał się być mocno zainteresowany.

— Pragnę panu przypomnieć — ciągnął dalej Holmes — że pensję profesora Moriarty'ego można sprawdzić w kilku wiarygodnych informatorach. Wynosi siedemset funtów rocznie.

— W jaki sposób zatem mógł kupić...

— Właśnie. W jaki sposób?

— Tak, to ciekawe — zauważył z zadumą inspektor. — Proszę mówić pan dalej, panie Holmes. Lubię taką rozmowę. To bardzo ciekawe.

Holmes uśmiechnął się. Podziw zawsze wpływał na niego zachęcająco, jak na prawdziwego artystę.

— A co z Birlstone? — zapytał.

— Mamy jeszcze czas — rzekł inspektor, spoglądając na zegarek. — Na dole czeka dorożka, a droga na dworzec Victoria<sup>16</sup> nie zajmie nam więcej jak dwadzieścia minut. Ale wracając do obrazu... mówił mi pan kiedyś, panie Holmes, o ile pamiętam, że nigdy nie spotkał pan profesora Moriarty'ego?...

— Tak, nigdy.

— Skąd pan wie zatem, jak wygląda jego mieszkanie?

— Ach, to inna sprawa. Byłem u niego trzy razy. Dwa razy czekając na niego pod rozmaitymi pretekstami i wychodząc, zanim wrócił. Raz... właściwie nie powinienem tego mówić urzędowemu detektywowi. Ostatnim razem pozwoliłem sobie przejrzeć jego papiery, z zupełnie niespodziewanym rezultatem.

— Znalazł pan coś kompromitującego?

— Absolutnie nic. I to mnie zdumiało. Bądź co bądź jednak, zapatruje się pan teraz jasno na kwestię obrazu. Świadczy ona, że to człowiek bogaty. W jaki sposób zrobił majątek? Nie jest żonaty. Jego młodszy brat jest naczelnikiem stacji w zachodniej Anglii. Katedra profesorska przynosi mu siedemset funtów rocznie pensji. A jest właścicielem Greuze'a.

— Zatem?

— Wniosek jest prosty.

— Pan przypuszcza, że ma wielkie dochody i musi je uzyskiwać nielegalnie?

<sup>15</sup>Greuze, Jean-Baptiste (1725–1805) — francuski malarz i rysownik, wolnomularz; autor portretów i sentymentalnych scen rodzajowych o wymowie moralizatorskiej. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>dworzec Victoria, ang. Victoria Station — jedna z głównych stacji kolejowych w Londynie, otwarta w 1862. [przypis edytorski]

— Właśnie. Oczywiście, mam jeszcze inne powody, aby tak sądzić... dziesiątki cienkich nici, które prowadzą do środka sieci, gdzie czyha jadowny, nieruchomy potwór. Wspomniałem o Greuzie tylko dlatego, gdyż sprawa ta leży w zakresie pańskiej obserwacji.

— Dobrze, panie Holmes, przyznaję, że to, co pan mówi, jest bardzo ciekawe. Więcej niż ciekawe, po prostu zdumiewające. Ale zastanówmy się dokładnie. Czy to fałszerz monet, oszust, względnie złodziej? Skąd bierze pieniądze?

— Czytał pan kiedyś o Jonathanie Wildzie<sup>17</sup>?

— Tak, nazwisko to nie jest mi obce. To bohater jakiejś powieści, prawda? Nie lubię detektywów w powieściach... dokonują rozmaitych czynów, a nigdy nie wiadomo, w jaki sposób. To sprawa natchnienia, nie roboty.

— Jonathan Wild nie był detektywem i nie był bohaterem powieści. Był genialnym przestępcą i żył w ubiegłym stuleciu, w roku 1750 lub coś koło tego.

— W takim razie mnie nie interesuje. Jestem człowiekiem praktycznym.

— Najpraktyczniejszą rzeczą, inspektorze, którą mógłby pan zrobić w swoim życiu, byłoby zamknąć się na trzy miesiące i czytać po dwanaście godzin dziennie roczniki kryminalne. Wszystko się powtarza, nawet profesor Moriarty. Jonathan Wild był ukrytą siłą zbrodniarzy londyńskich, którym sprzedał swoją wiedzę i wykształcenie za piętnaście procent udziału w zyskach. Stare koło obraca się i ukazują się te same szprychy. Wszystko już było i znowu kiedyś będzie. Opowiem panu parę rzeczy o Moriarty, które mogą pana zainteresować.

— Jestem już zainteresowany.

— Dowiedziałem się przypadkowo, kto jest pierwszym ogniem w jego łańcuchu, łańcuchu, na którego jednym końcu znajduje się ten Napoleon zbrodni, na drugim setka rozproszonych jego żołnierzy, złodziei kieszonkowych, szulerów, oszustów i innych, a którego środek stanowią najróżnorodniejsi przestępcy. Jego szefem sztabu jest pułkownik Sebastian Moran, równie niedostępny, strzeżony i niewchodzący w kolizję z prawem jak on sam. Jak pan sądzi, ile Moriarty mu płaci?

— Chciałbym usłyszeć.

— Sześć tysięcy funtów rocznie. To zapłata za wiadomości, jak pan widzi. Główna zasada w stosunkach amerykańskich. Dowiedziałem się o tym przypadkowo. Bierze więcej niż premier. To daje panu pojęcie o zyskach Moriarty'ego i ogromie jego pracy. Jeszcze jeden szczegół. Miałem sposobność śledzić w ostatnim czasie kilka czeków wystawionych przez Moriarty'ego... zupełnie niewinnych czeków, którymi opłaca swój dom. Pochodziły z sześciu różnych banków. Czy to pana nie uderza?

— Zapewne, to dziwne. Ale jaki stąd wniosek?

— Że nie chce, aby mówiono o jego bogactwie. Nikt nie powinien wiedzieć, ile naprawdę posiada. Nie wątpię, że ma konto w dwudziestu bankach, główny majątek zaś na kontynencie, w Deutsche Bank albo Crédit Lyonnais<sup>18</sup>. Jeśli mógłby pan kiedyś poświęcić rok czy dwa, polecam panu przestudiowanie sprawy profesora Moriarty'ego.

Inspektor w miarę rozmowy stawał się coraz poważniejszy. Był głęboko zainteresowany. Ale jego praktyczny, szkocki umysł nakazał mu wrócić do właściwej sprawy.

— W każdym razie może poczekać — rzekł. — Odwrócił pan moją uwagę interesującymi anegdotkami, panie Holmes. Co mnie naprawdę obchodzi, to tylko pańska wzmianka, że istnieje jakiś związek między profesorem a tą zbrodnią. Dowiedział się pan o tym z ostrzeżenia, które panu przysłał ten Porlock. Czy możemy wyciągnąć z tego jakieś praktyczne wnioski?

— Możemy wyrobić sobie pewien pogląd na motywy zbrodni. Jest to, o ile wnoszę z pańskich pierwszych słów, zagadkowe, a przynajmniej niewyjaśnione morderstwo. Otóż przyjmując, że znamy źródło przestępstwa, jego motywy mogą być dwojakiego rodzaju. Przede wszystkim muszę zaznaczyć, że Moriarty rządzi swoimi ludźmi żelazną ręką.

<sup>17</sup> Wild, Jonathan (ok. 1683–1725) — londyński przestępca, przywódca gangu, uważany za najsłynniejszego w Wielkiej Brytanii w XVIII w.; sprawiając wrażenie, że stoi po stronie prawa, jednocześnie kierował imperium przestępczym i wykorzystywał swoją rolę w walce z przestępczością do usuwania rywali i legalizacji dochodów z własnych przestępstw. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> Deutsche Bank, Crédit Lyonnais — wielkie prywatne banki europejskie, założone w XIX w.: niemiecki i francuski. [przypis edytorski]

Zaprowadził straszliwą dyscyplinę. Jego kodeks uznaje tylko jedną karę. Jest nią śmierć. Można by przypuścić, że zamordowany – ten Douglas, którego bliski los znany był jednemu z podwładnych tego arcyzbrodniarza — zdradził w jakiś sposób swojego szefa. Spotkała go kara, o której dowiedzą się wszyscy inni, choćby tylko dla wzbudzenia w nich strachu przed śmiercią.

— Dobrze, to jedno przypuszczenie, panie Holmes.

— Drugie, że zbrodnia popełniona została na zlecenie Moriarty'ego w zwykłym toku jego działalności. Czy stwierdzono kradzież?

— Nie słyszałem.

— W tym wypadku przemawiałoby to, oczywiście, przeciw pierwszej hipotezie, a za drugą. Moriarty mógł zaplanować zbrodnię za obietnicę udziału w zysku albo kierować nią za z góry ustaloną zapłatę. Jedno i drugie jest możliwe. Jakkolwiek się jednak sprawa ma albo czy nie zachodzi jeszcze jakaś trzecia kombinacja, wyjaśnić musimy szukać w Birlstone. Zbyt dobrze znam tego człowieka, aby się ludzić, że pozostawił tu jakiś ślad, który mógłby nas do niego zaprowadzić.

— A zatem do Birlstone! — zawołał MacDonald, zrywając się z krzesła. — Słowo daję! Jest później, niż myślałem. Daję panom pięć minut na przygotowanie się do drogi, nie więcej.

— Aż za wiele — rzekł Holmes i skoczył do szafy po surdut. — W drodze poproszę pana, inspektorze, aby mi pan opowiedział wszystko, co pan wie.

To „wszystko” było w istocie bardzo mało, ale wystarczyło, aby nas przekonać, że sprawa była godna najgłębszej uwagi eksperta. Twarz mu się rozpromieniła; zacierał kciściste ręce, słuchając skąpych, lecz znamienitych szczegółów. Zapomnieliśmy o szeregu jałowych tygodni, gdyż tu nareszcie był odpowiedni teren do zużytkowania niezwykłych talentów, które, jak wszystkie rzadkie cechy, były tylko ciężarem dla posiadającego je, kiedy ich nie mógł użyć. Ostrze inteligencji tępało i pokrywało się rdzą w beczynności. Oczy Sherlocka Holmesa błyszczwały, rumieniec zabarwił jego blade policzki, a energiczna twarz promieniała wewnętrznym światłem, kiedy dobiegło go wezwanie do pracy. Pochylony do przodu w dorożce, przysłuchiwał się z uwagą krótkiej relacji MacDonalda o tym, co nas czekało w Sussex<sup>19</sup>. Inspektor opierał się, jak nam wyjaśnił, na pośpiesznie nakreślonym sprawozdaniu, przywiezionym mu pierwszym porannym pociągiem przewożącym mleko z podmiejskich gospodarstw do Londynu. White Mason, miejscowy funkcjonariusz policji, był przyjacielem MacDonalda i dlatego zawiadomił go wcześniej niż zwykle, kiedy lokalna policja zwraca się o pomoc do Scotland Yardu. Normalnie wzywa się eksperta ze stolicy, kiedy ślad jest już zupełnie zatarty.

Rozum, Radość

Drogi inspektorze — brzmiał list, który czytał nam MacDonald — oficjalne wezwanie z prośbą o pańskie usługi załączone jest w osobnej kopercie. To piszę prywatnie. Proszę zatelegrafować, którym porannym pociągiem przyjedzie pan do Birlstone, a będę pana oczekiwał lub przyślę kogoś na stację, gdybym był zbyt zajęty. Sprawa jest ciekawa. Niech pan nie traci czasu! O ile pan może, proszę przywieźć pana Holmesa, gdyż znajdzie tu coś dla siebie. Można by sądzić, że wszystko zrobiono dla teatralnego efektu, gdyby nie trup. Słowo daję, przypadek bardzo ciekawy.

— Pański przyjaciel jest niegłupi — zauważył Holmes.

— Owszem, proszę pana. White Mason to człowiek bardzo sprytny, jeśli miałbym oceniać.

— Dobrze; ma pan coś jeszcze?

— To tylko, że szczegóły przekaże nam, kiedy się spotkamy.

— Skąd pan zna zatem nazwisko Douglasa i skąd pan wie, że został okrutnie zamordowany?

— To było w załączonym urzędowym raporcie. Nie ma w nim słowa „okrutnie”. Oficjalna terminologia urzędowa nie uznaje takiego określenia. Raport wymienia nazwisko „John Douglas”. Podaje, że zginął od strzału w głowę ze strzelby. Wymienia też godzinę,

<sup>19</sup>Sussex — historyczne hrabstwo w pld.-wsch. Anglii, nad kanałem La Manche. [przypis edytorski]

o której się to stało: blisko dwunastej ubiegłej nocy. Dodaje uwagę, że jest to bezsprzecznie morderstwo, ale nikogo nie aresztowano, a sam przypadek nosi piętno niezwykłości i tajemniczości. To wszystko na razie, panie Holmes.

— I to nam w tej chwili powinno wystarczyć, inspektorze. Silenie się na tworzenie przedwczesnych teorii, opartych na niedostatecznych wiadomościach, jest przekleństwem naszego zawodu. Widzę na razie tylko dwie pewne rzeczy: wielki umysł w Londynie i trupa w Sussex. Musimy znaleźć łączący ich łańcuch.

### ROZDZIAŁ III. TRAGEDIA W BIRLSTONE

A teraz muszę na chwilę pozostawić na uboczu moją nic nie znaczącą osobę i opisać wypadki, które zaszły, zanim zjawiliśmy się na scenie, w świetle, jakie im nadają zebrane przez nas później wiadomości. Jedyne w ten sposób umożliwię czytelnikowi ocenę wchodzących w grę osób i niezwykłego otoczenia, w którym los kazał im pędzić życie.

Wioska Birlstone jest zbiorowiskiem bardzo starych, półdrewnianych domków na północnej granicy hrabstwa Sussex. Przez całe stulecie nie uległa żadnym zmianom, ale w ciągu ostatnich kilku lat jej malowniczy wygląd i położenie ściągnęło pewną liczbę zamężnych mieszkańców, których wille wyglądają spomiędzy otaczających je drzew. Drzewa te, według miejscowych opowiadań, stanowią zewnętrzną krawędź wielkiego boru Weald<sup>20</sup>, który przerzedzając się coraz bardziej, dochodzi do północnych wyżyn kredowych. Pewna liczba małych sklepików zaspakaja potrzeby zwiększonej liczby ludności tak, że jest nadzieja przekształcenia się wkrótce starej wioski Birlstone w nowoczesne miasteczko. Jest ona środowiskiem, w którym skupia się życie sporego szmatu kraju, gdyż Tunbridge Wells<sup>21</sup>, najbliższa znacznie większa miejscowość, leży w odległości dziesięciu czy dwunastu mil<sup>22</sup> na wschód, już w granicach hrabstwa Kent<sup>23</sup>.

Około pół mili od miasteczka, w starym parku, słynnym z olbrzymich buków, stoi wiekowy dwór Birlstone. Część tego starożytnego budynku sięga czasów pierwszej krucjaty<sup>24</sup>, kiedy Hugo de Capus zbudował gród w samym środku majątku nadanego mu przez Czerwonego Króla<sup>25</sup>. Gród ten został zniszczony przez ogień w roku 1543, a za czasów króla Jakuba<sup>26</sup> część jego czarnych od dymu narożników została wykorzystana do wzniesienia ceglanoego dworu na ruinach feudalnego zamku. Dwór ten, z licznymi wieżyczkami i małymi, romboidalnymi<sup>27</sup> szybkami, wygląda dziś jak z początku siedemnastego wieku. Z dwóch fos, które niegdyś otaczały jego bardziej rycerskiego poprzednika, zewnętrznej pozwolono wyschnąć i pełniła skromną funkcję ogrodu warzywnego. Wewnętrzna istniała jeszcze i otaczała dom pierścieniem szerokim na czterdzieści stóp<sup>28</sup>, ale zaledwie na kilka stóp głębokim. Zasiliał ją mały strumień, który płynął dalej, tak że woda, chociaż mętna, nigdy nie przypominała bagna lub stawu. Okna parteru znajdowały się stopę nad powierzchnią wody. Jedyne wejście do dworu prowadziło przez zwodzony most z zardzewiałymi łańcuchami i połamanym dawno kołowrotem. Ostatni właściciele posiadłości Birlstone z niezwykłą energią doprowadzili go jednak do porządku, tak że most nie tylko można było podnosić, ale był rzeczywiście podnoszony każdego wieczoru, a opuszczany każdego ranka. Przez wznowienie tego dawnego zwyczaju z czasów

Wieś

Zamek, Dwór

<sup>20</sup>Weald — obszar w pld.-wsch. Anglii pomiędzy równoległymi pasmami kredowych wzgórz na północy i południu; niegdyś pokryty był lasem, a jego nazwa, pochodzenia staroangielskiego, oznacza „las”. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>Tunbridge Wells — angielskie miasto w hrabstwie Kent, ok. 50 km na pld.-wsch. od centrum Londynu; od 1909 nosi oficjalną nazwę Royal Tunbridge Wells. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>mila angielska — anglosaska miara odległości równa ok. 1,6 km. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>Kent — hrabstwo na pld.-wsch. skraj Anglii. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>pierwsza krucjata (1096–1099) — pierwsza ze średniowiecznych wypraw wojennych rycerstwa europejskiego przeciwko muzułmanom, mająca na celu zdobycie Jerozolimy i Ziemi Świętej oraz uwolnienia wschodnich chrześcijan spod islamskiej władzy. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>Czerwony Król — Wilhelm II (ok. 1056–1100), król Anglii (od 1087), syn Wilhelma Zdobywcy, zwany Rudym (łac. *Rufus*). [przypis edytorski]

<sup>26</sup>Jakub I Stuart (1566–1625) — król Szkocji (od 1567) i Anglii (od 1603), pierwszy król Anglii z dynastii Stuartów; jego panowanie było początkiem unii personalnej Anglii ze Szkocją. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>romboid — deltoid, czworokąt przypominający kształtem latawiec; jego przekątne są do siebie prostopadłe, a jedna z nich stanowi jego oś symetrii. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>stopa — anglosaska miara długości wynosząca ok. 30,5 cm; 40 stóp to ok. 12 m. [przypis edytorski]

feudalnych teren dworu przekształcał się w nocny w wyspę — fakt pozostający w ścisłym związku z tajemnicą, która miała niebawem zwrócić uwagę całej Anglii.

Dom był od szeregu lat niezamieszkały i groził rozpadnięciem się w malowniczą ruinę, kiedy nabyli go Douglasowie. Rodzina ta składała się tylko z dwóch osób: Johna Douglasa i jego żony. Douglas był człowiekiem wybitnym tak pod względem charakteru, jak i wyglądu zewnętrznego. Miał około pięćdziesięciu lat, pooraną zmarszczkami twarz, potężne szczęki, siwiejące wąsy, niezwykle przenikliwe, szare oczy i męską, świadczącą o zdrowiu postawę, która nie straciła nic z młodzieńczej siły i zwinności. Był wesołego usposobienia i serdeczny dla wszystkich, ale w zachowaniu nieco rubaszny, co nasuwało przypuszczenie, że życie spędzić musiał w niższych warstwach społecznych niż towarzystwo w Sussex. Jednak chociaż jego bardziej wykształceni sąsiedzi odnosili się do niego z pewną rezerwą i zaciekawieniem, zyskał wkrótce popularność u mieszczan, ochoczo składając datki na wszystkie lokalne cele i biorąc udział w ich koncertach i innych zebraniach, gdzie jako odznaczający się dźwięcznym tenorowym głosem gotów był zawsze wystąpić ze swoim pięknym śpiewem. Zdaje się, że pieniędzy miał sporo, a zdobył je, jak mówiono, w kalifornijskich kopalniach złota. Zresztą opowiadania jego i żony świadczyły jasno, że część życia spędził w Ameryce. Dobra opinia, jaką sobie wyrobił hojnością i demokratycznymi manierami urosła, skoro zyskał reputację człowieka nieprzejmującego się niebezpieczeństwami. Kiedy na plebanii wybuchł pożar, odznaczył się odwagą, z jaką wszedł do budynku, aby ocalić rzeczy, które miejscowa straż uznała za nieodwołalnie stracone. I w ten sposób w ciągu pięciu lat John Douglas zyskał sobie w Birlstone ogólny szacunek.

Jego żona również cieszyła się wielką popularnością wśród tych, którzy ją poznali, chociaż, jak to bywa w Anglii, gości odwiedzających obcego, który osiedlił się w hrabstwie, a nie ma wyrobionych stosunków, było bardzo mało. Nie sprawiało to jej większej różnicy, gdyż z usposobienia była kobietą spokojną i zajętą, o ile można było wnosić, jedynie mężem i sprawami domowymi. Było ogólnie wiadome, że pochodziła z Anglii i że poznała się z panem Douglasem w Londynie, kiedy był już wdowcem. Była to piękna kobieta, smukła, ciemnowłosa, zgrabna, młodsza o jakieś dwadzieścia lat od swojego męża, co jednak nie wpływało pod żadnym względem na ich szczęście rodzinne. Ci, którzy ją znali bliżej, zauważyli jednak, że zaufania między nimi nie było, jak się zdaje, zupełnie, gdyż żona albo nie lubiła mówić o przeszłości męża, albo, co prawdopodobniejsze, była o niej niedostatecznie poinformowana. Kilka osób spostrzegło również, że pani Douglas była czasami bardzo zdenerwowana i że nie ukrywała niepokoju, ilekroć nieobecny małżonek spóźniał się do domu. W spokojnej okolicy, gdzie wszelkie plotki są mile widziane, zachowanie się pani dworu nie mogło przejść bez wrażenia i uwydatniło się w ludzkiej pamięci, kiedy późniejsze wypadki nadały mu specjalne znaczenie.

Była tam jeszcze jedna osoba, której pobyt w tym domu miał co prawda charakter jedynie przelotny, ale której obecność tam w czasie, kiedy zaszły opisane poniżej dziwne wypadki, uczyniła nazwisko jej szczególnie popularnym. Osobą tą był Cecil James Barker z Hales Logge w Hampstead<sup>29</sup>. Rosła, silna postać Cecila Barkera znana była na głównej ulicy wioski Birlstone, gdyż był on częstym i mile widzianym gościem we dworze. Znany był tam bardziej jako jedyny w Anglii przyjaciel z dawnych, nieznanymi ogółowi lat pana Douglasa. Nie ulegało wątpliwości, że sam Barker był Anglikiem, ale z jego słów wynikało, że poznał się z Douglasem w Ameryce i pozostawał tam z nim w zażyłych stosunkach. Zdaje się, że był to człowiek bogaty i że otrzymał pewne uniwersyteckie wykształcenie. Był nieco młodszy niż Douglas, liczył najwyżej czterdzieści pięć lat, rosły, trzymający się prosto, o szerokiej piersi, z twarzą gładko wygoloną jak u boksera, gruby, silny, z czarnymi brwiami i parą czarnych, groźnych oczu, które mogły, nawet bez użycia jego potężnych rąk, utorować mu drogę przez tłum nieprzyjaciół. Nie jeździł konno ani nie strzelał, ale przez cały dzień chodził po starym miasteczku z fajką w ustach lub towarzyszył w powozie gospodarzowi, względnie, w razie jego obecności, gospodyni. „Spokojny, hojny jegomość — mawiał o nim lokaj Ames — ale daję słowo, nie chciałbym mu wejść w drogę”. Wobec Douglasa Barker był równie serdeczny i przyjacielski, jak wobec jego żony, chociaż ta właśnie przyjaźń zdawała się nieraz drażnić męża, tak że

<sup>29</sup>Hampstead — dzielnica w północnym Londynie. [przypis edytorski]

zwróciło to nawet uwagę służby. Taka była trzecia osoba, traktowana jak członek rodziny, w chwili kiedy doszło do katastrofy. Co do innych mieszkańców starego budynku, wystarczy spomiędzy dosyć licznej służby wspomnieć układnego, szanownego i pracowitego Amesa i panią Allen, tęgą, wesołą niewiastę, która pomagała gospodyni w zajęciach domowych. Pozostałych sześcioro służby w domu nie odegrało żadnej roli w wypadkach w nocy szóstego stycznia.

O jedenastej czterdzieści pięć zaalarmowano mały miejscowy posterunek policji pod dowództwem sierżanta Wilsona ze straży bezpieczeństwa Sussex. Pan Cecil Barker, bardzo wzburzony, dobijał się do drzwi, targając gorączkowo za sznur od dzwonka. We dworze wydarzyła się straszliwa tragedia, zamordowano pana Johna Douglasa. Wiadomość tę wypowiedział jednym tchem. Powrócił czym prędzej do domu, a za nim w kilka minut przybył sierżant policji, który zjawił się na miejscu zbrodni nieco po dwunastej, poczyniwszy uprzednio pewne kroki celem powiadomienia władz hrabstwa, że zaszło coś poważnego.

Doszedłszy do dworu, sierżant zastał most opuszczony, okna oświetlone, a cały dom w stanie zamieszania i przerażenia. Błada służba zebrała się w przedsionku, a wylękniony lokaj, załamując ręce, stał w drzwiach. Tylko Cecil Barker wydawał się panować nad sobą. Otworzył najbliższe drzwi i dał znak sierżantowi, aby poszedł za nim. W tej chwili przybył doktor Wood, energiczny i zdolny lekarz z wioski. Trzej mężczyźni weszli równocześnie do fatalnego pokoju, podczas gdy trzęsący się ze strachu lokaj następował im na pięty, zamykając za sobą drzwi, aby nie pokazywać straszego obrazu służącym.

Martwy mężczyzna leżał na plecach na środku pokoju, z wyciągniętymi rękoma i nogami. Ubrany był tylko w różowy szlafrok, założony wprost na bieliznę. Na bosych nogach miał pantofle. Doktor ukląkł przy nim i oglądając go przy świetle lampy, którą zdjął ze stołu. Jeden rzut oka na ofiarę wystarczył lekarzowi na stwierdzenie, że jego pomoc jest zbyteczna. Człowiek został okrutnie zamordowany. Na jego piersiach leżała dziwna broń: strzelba z lufami uciętymi o jakąś stopę od obu spustów. Było jasne, że wystrzelono z niej z bliska i cały ładunek trafił prosto w twarz, zupełnie roztrzaskując głowę. Spusty związane drutem, by oba wystrzały nastąpiły równocześnie i skutek wystrzału był jeszcze straszliwszy.

Trup, Morderstwo

Miejscowy policjant był nadzwyczaj zdenerwowany i zakłopotany odpowiedzialnością, jaka niespodziewanie na niego spadła.

— Niczego nie ruszymy, dopóki nie przyjadą moi przełożeni — rzekł przyciszonym głosem, patrząc ze zgrozą na straszliwą głowę.

— Niczego dotąd nie ruszono — powiedział Cecil Barker. — Ręczę za to. Wszystko jest tak, jak znalazłem.

— Kiedy to było? — Sierżant wyciągnął notes.

— Zaraz po wpół do dwunastej. Jeszcze się nie rozebrałem, siedziałem przy kominu w swojej sypialni, kiedy usłyszałem huk. Nie był głośny, raczej jakby przytłumiony. Zbiegłem na dół. Myślę, że nie minęło więcej niż trzydzieści sekund, kiedy znalazłem się w pokoju.

— Czy drzwi były otwarte?

— Tak, otwarte. Biedny Douglas leżał, jak panowie widzicie. Na stole paliła się świeca. Tę lampę zapaliłem sam kilka minut później.

— Nie widział pan nikogo?

— Nie. Słyszałem, że idzie za mną pani Douglas, więc wybiegłem, żeby oszczędzić jej tego straszliwego widoku. Pani Allen, gospodyni, odprowadziła ją. Przybył Ames i we dwóch weszliśmy jeszcze raz do pokoju.

— Słyszałem jednak, że most zwodzony podnosi się na noc?

— Tak jest, był podniesiony, dopóki go nie opuściliśmy.

— A zatem, jak się wy dostał morderca? Nie dałby rady. Pan Douglas musiał sam się zastrzelić.

— To była nasza pierwsza myśl. Ale proszę popatrzeć! — Barker odsunął zasłonę i pokazał, że wąskie okno o romboidalnych szybkach było szeroko otwarte. — I obejrzyć to! — Poświecił lampą, pokazując krwawy ślad, jakby odcisk buta na drewnianym parapecie. — Ktoś tędy wyszedł.

— Pan sądzi, że ktoś przeszedł w bród przez fosę?

— Właśnie.

— Jeśli zatem był pan w pokoju w pół minuty po dokonaniu zbrodni, ten człowiek musiał w tym momencie być w wodzie.

— Nie mam co do tego wątpliwości. Och, gdybym podszedł do okien! Ale zasłaniały je zasłony, jak pan widzi, tak że nie przyszło mi to na myśl. Potem usłyszałem kroki pani Douglas i chciałem powstrzymać ją od wejścia do pokoju. Byłoby to zbyt straszne!

— Straszne! — rzekł doktor, spoglądając na roztrzaskaną głowę i okropne ślady. — Nie widziałem takich ran od czasu katastrofy kolejowej w Birlstone.

— Ale — zauważył policjant, którego zdrowy, chłopski rozum zajęty był jeszcze sprawą otwartego okna — jeśli przyjmiemy, że przestępca uciekł, przechodząc w bród fosę, to w jaki sposób, pytam, dostał się do domu, skoro most był podniesiony?

— Oto pytanie — rzekł Barker.

— O której godzinie go podniesiono?

— Około szóstej — odpowiedział Ames.

— Słyszałem — rzekł sierżant — że zwykle podnoszono go o zachodzie słońca. O tej porze roku byłoby to raczej o wpół do piątej niż o szóstej.

— Pani Douglas miała gości na herbacie — powiedział Ames. — Nie mogłem go podnieść, zanim odeszli. Potem zająłem się tym sam.

— W takim razie — stwierdził sierżant — jeśli ktoś dostał się z zewnątrz, musiał przejść przez most przed szóstą i pozostać w ukryciu do czasu, kiedy pan Douglas wszedł do pokoju po jedenastej.

— Tak jest. Pan Douglas co noc przed pójściem spać obchodził cały dom dokoła, a potem wracał, aby się przekonać, czy światła pogażone. To go tu sprowadziło. Ten człowiek czekał na niego i go zastrzelił. Potem uciekł przez okno, pozostawiając swoją strzelbę. Tak mi się zdaje i jedynie to tłumaczy fakty.

Sierżant podniósł kartkę leżącą na podłodze obok trupa. Nabazgrano na niej atramentem inicjały D. V., a pod nimi liczbę 341.

— Co to takiego? — zapytał, trzymając kartkę.

Barker spojrzał na nią z ciekawością.

— Nigdy przedtem jej nie widziałem — rzekł. — Pewnie morderca ją zostawił.

— D. V. 341. Nie rozumiem.

Sierżant obracał ją w swoich grubych palcach.

— Co to jest D. V.? Może czyjeś inicjały? Co pan tam znalazł, doktorze Wood?

Był to ciężki młotek, który leżał na dywanie przed kominkiem, solidny młotek rzemieślniczy. Cecil Barker wskazał na skrzynkę z gwoździami, która stała na gzymsie kominka.

— Pan Douglas przewieszał wczoraj obrazy — rzekł. — Widziałem, jak stał na tym krześle i przybijał wielki obraz nad nim. Stąd wziął się ten młotek.

— Pozostawmy go na dywanie, gdzie leżał — rzekł sierżant, drapiąc się w głowę z zakłopotaniem. — Trzeba będzie tęgich umysłów, aby wyjaśnić to wszystko. Będzie się w to musiał wdać ktoś z Londynu. — Uniósł w górę lampę i obszedł z wolna pokój dokoła. — Halo! — zawołał wzburzony, odsuwając zasłonę z jednej strony. — O której godzinie zaciągnięto zasłony?

— Po zapaleniu lamp — rzekł lokaj. — Zaraz po czwartej.

— Ktoś się tu ukrywał, to pewne. — Zniżył światło i w kącie pokoju ukazały się ślady zabłoconych butów. — Muszę przyznać, że to przemawia za pańską teorią, panie Barker. Wygląda to tak, jakby ten człowiek dostał się do domu po czwartej, kiedy zaciągnięto zasłony, a przed szóstą, zanim podniesiono most. Wślizgnął się do tego pokoju, bo to był najbliższy. Nie miał się gdzie ukryć, schował się więc za zasłoną. To jest, zdaje się, jasne. Prawdopodobnie miał głównie zamiar okraść dom, ale kiedy pan Douglas przypadkiem natrafił na niego, zamordował go i uciekł.

— Tak uważam — rzekł Barker. — Ale czy nie tracimy czasu na próżno? Może byśmy przetrząsnęli okolicę, zanim ten człowiek ucieknie?

Sierżant zastanawiał się przez chwilę.

— Przed szóstą rano nie odchodzi żaden pociąg, nie mógł zatem pojechać koleją. Jeśli pójdzie drogą z przemoczonymi nogami, z pewnością ktoś zwróci na niego uwagę.

W każdym razie nie mogę stąd odejść, póki ktoś mnie nie zastąpi. Sądzę jednak, że nikt powinien się stąd ruszać, dopóki się nie przekonamy, jak sprawa stoi.

Doktor wziął lampę i oglądnął ciało z bliska.

— Co to za znak? — zapytał. — Czy to może mieć jakiś związek ze zbrodnią?

Prawa ręka trupa, obnażona aż po łokieć, wystawała ze szlafroka. Mniej więcej w połowie przedramienia widać było dziwny brązowy rysunek, trójkąt w kole, odcinający się na tle żółtawej skóry.

— To nie tatuaż — zauważył doktor, przyglądając się przez okulary. — Nigdy nie widziałem nic podobnego. Tego człowieka kiedyś napiętnowano, tak jak piętnuje się bydło. Co to ma znaczyć?

— Nie mam pojęcia — odpowiedział Cecil Barker. — Ale w ciągu tych ostatnich dziesięciu lat wiele razy widywałem u niego ten znak.

— I ja też — rzekł lokaj. — Nieraz, kiedy pan odwijał rękawy, widziałem to samo znamię. Często dziwiłem się, co ma oznaczać.

— W takim razie nie ma nic wspólnego ze zbrodnią — powiedział sierżant. — Niemniej jednak jest dziwne. Wszystko w tym jest dziwne. O, i co znowu?

Lokaj wydał okrzyk zdziwienia i wskazał na wyciągniętą rękę zmarłego.

— Zdjęto mu obrączkę! — jęknął.

— Co?!

— Tak! Pan zawsze nosił złotą obrączkę na małym palcu lewej ręki. O, ten pierścion z samorodkiem złota był ponad nią, a ten w kształcie węża na trzecim palcu. Tu jest samorodek, tutaj wąż, ale obrączka zniknęła.

— To prawda — rzekł Barker.

— Czy chcecie panowie przez to powiedzieć — rzekł sierżant — że obrączkę nosił *pod* tamtym pierścieniem?

— Zawsze.

— A zatem morderca lub ktoś inny zdjął najpierw pierścion z samorodkiem, potem obrączkę, a potem włożył z powrotem pierścion z samorodkiem.

— Tak jest.

Zacny wiejski policjant potrząsnął głową.

— Zdaje mi się, że im prędzej damy znać do Londynu, tym lepiej — rzekł. — White Mason to rozgarnięty człowiek. White Mason zawsze sobie dawał radę sam. Ale w tym wypadku mam wrażenie, że zwrócimy się o pomoc do Londynu. W każdym razie nie wstydzę się przyznać, że to zadanie przekracza moje siły.

## ROZDZIAŁ IV. CIEMNOŚCI

Na wezwanie sierżanta Wilsona z Birlstone główny detektyw Sussex przybył z głównej kwatery o trzeciej nad ranem w lekkim powoziku, zaprzężonym w zmęczonego konia. Pociągami odchodzącym o piątej czterdzieści przesłał wiadomość do Scotland Yardu, a o dwunastej oczekiwał nas na stacji w Birlstone. Pan White Mason był spokojnym, miłym mężczyzną, w luźnym tweedowym garniturze, rumiany, z gładko wygoloną twarzą, silnie zbudowany, o potężnych, pałakowatych nogach odzianych w getry, przypominający wyglądem raczej jakiegoś gospodarza, emerytowanego leśniczego lub kogokolwiek innego, tylko nie wielce obiecującego funkcjonariusza prowincjonalnej policji kryminalnej.

— Bardzo ciekawy przypadek, panie MacDonald — powtarzał. — Gazeciarze zlecą się tu jak muchy. Ale mam nadzieję, że skończymy naszą robotę, zanim wścibią do niej swoje nosy i zatrą wszelkie ślady. Nie pamiętam niczego podobnego. Kilka szczegółów przypadnie panu do gustu, panie Holmes, tego jestem pewny. I pana również zainteresuje, doktorze Watson, bo i lekarze będą tu mieli coś do powiedzenia. Pokoje dla panów są w „Westville Arms”. Nie znalazłem innego pomieszczenia, ale słyszałem, że tam będzie czysto i wygodnie. Ten człowiek zaniesie rzeczy. Tędy, panowie, jeśli łaska.

Detektyw z Sussex był ruchliwym i bystrym człowiekiem. W ciągu dziesięciu minut znaleźliśmy się wszyscy w naszych pokojach. Po następnych dziesięciu minutach siedzieliśmy w głównej sali gospody i słuchaliśmy krótkiego sprawozdania o wypadkach, które przedstawiłem w ogólnych zarysach w poprzednim rozdziale. MacDonald robił notatki,



podczas gdy Holmes siedział zamyślony z wyrazem zdziwienia i głębokiego zachwytu, z jakim botanik przygląda się rzadkiemu i cudownemu kwiatowi.

— Niezwykłe! — rzekł, kiedy cała sprawa została wyłuszczone. — W istocie niezwykle! Nie przypominam sobie wypadku, którego szczegóły byłyby równie ciekawe.

— Wiedziałem, że pan tak powie, panie Holmes — powiedział White Mason, uradowany. — W Sussex idziemy z duchem czasu. Opowiedziałem panu, jak się sprawy miały do chwili, kiedy między trzecią i czwartą rano przejąłem śledztwo od sierżanta Wilsona. Na honor, moja klacz miała ciężką przeprawę. Ale ostatecznie nie było się co spieszyć, bo nie miałem właściwie nic do roboty. Sierżant Wilson zebrał wszystkie szczegóły. Sprawdziłem je i rozważyłem, dodając kilka swoich spostrzeżeń.

— To jest? — zapytał Holmes gorączkowo.

— Przede wszystkim oglądałem młotek. Doktor Wood służył mi pomocą. Nie znaleźliśmy na nim najmniejszych śladów walki. Miałem nadzieję, że jeśli pan Douglas bronił się młotkiem, zadał mordercy jakąś ranę, zanim upuścił go na dywan. Ale nie było na nim żadnego znaku.

— To, rzecz prosta, niczego nie dowodzi — zauważył inspektor MacDonald. — Znam szereg morderstw dokonanych przy pomocy młotka, gdzie jednak na młotku nie było żadnych śladów.

— Właśnie. Nie dowodzi to, aby młotka nie użyto. Ale jeśli byłyby na nim jakieś plamy, mogłyby nam to coś pomóc. Nie było jednak żadnych. Potem oglądałem strzelbę. Użyto nabożów śrutowych, a jak zwrócił uwagę sierżant Wilson, spusty były związane drutem, tak że przy pociągnięciu za jeden następował wystrzał z obu luf. Ten, kto związał spusty razem, był pewny, że nie chybi swojej ofiary. Strzelba z przyciętymi lufami ma zaledwie dwie stopy długości, można ją było łatwo schować pod surdudem. Nazwiska fabrykanta nie znalazłem, ale w rowku między lufami wryte są litery PEN, reszta nazwiska została odcięta piłką.

— Wielkie „P” z ozdobnikiem u góry i nieco mniejsze „E” i „N”? — spytał Holmes.

— Właśnie.

— Pennsylvania Small Arms Company, znana firma amerykańska — rzekł Holmes.

White Mason spojrział na mojego przyjaciela jak lekarz praktyk z małego miasteczka na specjalistę z Harley Street<sup>30</sup>, który jednym słowem usuwa trudności dla niego nie do przewyciężenia.

— To się nam przyda, panie Holmes. Ma pan słuszność. Cudowne! Cudowne! Czy pan pamięta nazwiska wszystkich fabrykantów broni na kuli ziemskiej?

Holmes machnął ręką, nie odpowiadając na pytanie.

— Nie ulega wątpliwości, że to strzelba amerykańska — mówił dalej White Mason. — Czytałem, o ile mi się zdaje, że w pewnych częściach Ameryki używają strzelb z odpiłowanymi lufami. Przyszło mi to do głowy, chociaż nie umiałem sobie wytłumaczyć napisu. To dowód, że człowiek, który wszedł do domu i zabił właściciela, był Amerykaninem.

MacDonald potrząsnął głową.

— Nie należy się śpieszyć — rzekł. — Nie mamy dotąd żadnego dowodu, który by przemawiał za obecnością w domu kogoś obcego.

— Otwarte okno, krew na futrynie, tajemnicza kartka, ślady stóp w kącie, strzelba?...

— Wszystko to mogło być celowo zaaranżowane. Pan Douglas był Amerykaninem albo przynajmniej długo przebywał w Ameryce. Tak samo pan Barker. Nie trzeba sprzawdzać Amerykanów z zewnątrz, kiedy ma się ich w domu.

— Lokaj Ames...

— Co pan o nim sądzi? Można mu ufać?

— Służył dziesięć lat u sir Charlesa Chandosa. Solidny jak skała. Był u Douglasa od chwili, kiedy ten kupił dwór przed pięćmi laty. Nigdy nie widział w domu takiej strzelby.

— A zatem strzelba była ukryta. Dlatego spiłowano lufy. Mogła leżeć w każdym kufierku. Czy mógłby przysiąc, że takiej strzelby nigdy w domu nie było?

— W każdym razie jej nie widział.

MacDonald potrząsnął swoją upartą szkocką głową.

<sup>30</sup>Harley Street — ulica w Londynie, znana z wielu prywatnych gabinetów lekarskich. [przypis edytorski]

— To mnie nie przekonuje — rzekł. — Niech się pan zastanowi — w miarę jak angażował się w argumentowanie, nabierał coraz bardziej aberdyńskiego akcentu — zastanowi się, jakie to pociąga następstwa, jeśli przyjmiemy, że strzelbę wniesiono do domu i że wszystkiego, co się stało, dokonał ktoś z zewnątrz. Och, człowieku, to nie do pomyślenia. To wbrew rozsądkowi. Co pan sądzi o tym, panie Holmes?

— Proszę przedstawić swoje stanowisko — rzekł Holmes najbardziej sędziowskim tonem.

— Otóż ten człowiek, o ile rzeczywiście istnieje, nie jest złodziejem. Obrączka i kartka wskazują, że mamy do czynienia z morderstwem z premedytacją z powodów prywatnych. Bardzo dobrze. Mamy człowieka, który zakrada się do domu z postanowieniem popełnienia morderstwa. Wie, jeśli w ogóle cokolwiek wie, że ucieczka będzie trudna, gdyż dom jest otoczony wodą. Jakiej broni musiałby użyć? Takiej, powiecie panowie, która sprawiłaby jak najmniej hałasu. Jedynie w tym wypadku mógłby mieć nadzieję, że po dokonaniu zabójstwa wymknie się szybko przez okno, przejdzie w bród fosę i ucieknie, gdzie zamierza. To zrozumiałe. Ale niezrozumiałe jest, dlaczego wziął broń najhałaśliwszą, wiedząc dobrze, że zwabi na miejsce wszystkich ludzi i że według wszelkiego prawdopodobieństwa zostanie spostrzeżony, zanim zdoła przebyć fosę. Czy to możliwe, panie Holmes?

— No cóż, przedstawił pan mocną argumentację — odparł z namysłem mój przyjaciel. — Z pewnością wymaga to uzasadnienia. Ośmielę się zapytać, panie White, czy zbadał pan od razu drugi brzeg fosy, żeby znaleźć jakieś ślady, czy ktoś wyszedł tamtędy z wody?

— Nie znalazłem żadnych śladów, panie Holmes. Ale brzeg jest wyłożony kamieniami i dlatego trudno coś zobaczyć.

— Żadnych śladów ani znaków?

— Żadnych.

— Ha! Czy moglibyśmy teraz udać się do dworu? Może znajdzie się jakiś drobiazg godny uwagi.

— Chciałem to zaproponować, panie Holmes, ale uważałem za stosowne powiadomić panów o wszystkim. Myślę, że gdyby wpadł pan na coś ciekawego... — White Mason spojrział z powątpiewaniem na detektywa-amatora.

— Pracowałem już razem z panem Holmesem — rzekł inspektor MacDonald. — Zna się na rzeczy.

— Mam w każdym razie swoją metodę — powiedział Holmes z uśmiechem. — Zabieram się do każdej sprawy z myślą, by pomóc policji i aby sprawiedliwości stało się zadość. Jeśli kiedykolwiek drogi moje i władz urzędowych się rozeszły, to dlatego, że władze same się ode mnie odsunęły. Nie mam nigdy zamiaru pracować ich kosztem. Ale roszczę sobie również prawo, panie Mason, aby pozwolono mi iść własną drogą i podać rezultaty, kiedy uznam za stosowne, w całości, a nie częściowo.

— Pańska obecność jest dla nas zaszczytem, toteż służymy wszelkimi wiadomościami — rzekł serdecznie White Mason. — Proszę z nami, doktorze Watson, a w przyszłości prosimy o wzmiankę w pańskiej książce.

Szliśmy staroświecką wiejską uliczką, między dwoma rzędami przyciętych wiązów. Doprowadziła nas do dwóch starych kamiennych słupów, zniszczonych przez pogodę i obrosniętych mchem. Na ich szczytach widniały bezkształtne fragmenty, będące niegdyś kamiennymi rzeźbami stojących na tylnych łapach lwów Capusów z Birlstone. Mińawszy filary, szliśmy aleją wijącą się przez trawnik z dębami, jakie widuje się tylko na wiejskich terenach Anglii. Za zakrętem, w staromodnym ogrodzie, wyłonił się długi, niski dwór z czasów króla Jakuba, zbudowany z ponurej, brunatnej cegły. Podeszedłszy bliżej, spostrzegliśmy drewniany most zwodzony i piękną szeroką fosę z wodą, spokojną i błyszczącą jak rtęć w zimnym słońcu zimowym. Trzy stulecia przeszły nad starym dworem, stulecia urodzin i powrotów do domu, zabaw sąsiedzkich i zebrzań polujących na lisy myśliwych. Dziwne, że teraz, w starości, ta przykra sprawa rzuciła cień na jego czcigodne mury. A jednak te dziwaczne spadziste dachy i ich szczyty były stosownym terenem dla jakiejś strasznej, okrutnej intrygi. Kiedy patrzyłem na głęboko osadzone okna i długi, ciemny, zmyty przez deszcze fronton budynku, czułem, że nie mógłbym znaleźć odpowiedniejszej sceny do takiej tragedii.

— To jest to okno — rzekł White Mason. — Zaraz na prawo od mostu. Otwarte, tak jak znaleziono je ubiegłej nocy.

Dwór

— Trochę za wąskie, żeby przeszedł przez nie człowiek.

— Cóż, nie był to w każdym razie otyły mężczyzna. Wiemy o tym i bez pana, panie Holmes. Ale ja lub pan prześlizgnęlibyśmy się przez nie z łatwością.

Holmes stanął nad brzegiem fosy i spojrzął na drugi brzeg. Potem uważnie obejrzał kamienne obrzeże i trawnik za nim.

— Mam dobre oczy, panie Holmes — rzekł White Mason. — Nie ma tam nic ciekawego. Żadnych śladów człowieka. Zresztą, czemu miałby zostawiać ślady?

— Właśnie. Dlaczego? Czy woda jest zawsze brudna?

— Zawsze ma mniej więcej taki kolor. Potok przynosi glinę.

— Jak głęboka jest fosa?

— Około dwie stopy przy brzegach i trzy na środku.

— Trudno zatem przypuszczać, żeby ten człowiek mógł się w niej utopić, próbując przejść.

— Nie, nie utopiłoby się tu nawet dziecko.

Przeszliśmy przez zwodzony most i u wejścia do domu przywitał nas dziwaczny, kościsty, wysuszony mężczyzna, lokaj Ames. Biedny starzec był blady i drżący z przerażenia. Miejscowy policjant, wysoki, sztywny, melancholiczny mężczyzna, trzymał wciąż jeszcze straż na miejscu zbrodni. Lekarz odjechał.

— Jest coś nowego, sierżancie? — zapytał White Mason.

— Nie, proszę pana.

— A zatem możecie iść do domu. Jesteście zmęczeni. Poślemy po was w razie potrzeby. Lokaj niech zaczeka za drzwiami. Tak będzie lepiej. Powiedzcie mu, aby zawiadomił pana Cecila Barkera, panią Douglas i gospodynię, że może będziemy chcieli ich przesłuchać. A teraz pozwólcie, panowie, że przedstawię rzecz z mojego punktu widzenia, a potem wy wypowiedzicie swoje zdanie.

Ten miejscowy specjalista zrobił na mnie dobre wrażenie. Solidnie oceniał fakty i odznaczał się chłodnym, jasnym, zdrowym rozsądkiem, który mógł utorować mu drogę w zawodzie. Holmes słuchał go z uwagą, bez śladu zniecierpliwienia, jakie tak często wywołują wypowiedzi urzędowych przedstawicieli władzy.

— Samobójstwo czy morderstwo? To nasze pierwsze pytanie, nieprawdaż, panowie? Gdyby to było samobójstwo, trzeba by przyjąć, że denat najpierw zdjął i ukrył swoją obrączkę, że przyszedł tu w szlafroku, deptał zabłoconymi butami w kącie za zasłoną, aby upozorować, że ktoś tam na niego czyhał, otworzył okno, poplamiał krwią...

— Z pewnością możemy to wykluczyć — rzekł MacDonald.

— I ja tak sądzę. Samobójstwo nie wchodzi w grę. A zatem popełniono morderstwo. Chodzi tylko o stwierdzenie, czy popełnił je ktoś z domu, czy spoza domu.

— Dobrze, posłuchajmy argumentów.

— I w jednym, i w drugim wypadku zachodzą poważne trudności z wyjaśnieniem, a jednak musiała zajść jedna z tych ewentualności. Przypuścimy najpierw, że zbrodnię popełniła jakaś osoba lub osoby spośród domowników. Zwabili tu ofiarę w czasie, kiedy wszędzie było cicho, ale nikt jeszcze nie spał. Potem dokonali zbrodni najdziwniejszą i najgłośniejszą bronią w świecie, jakby chcąc zawiadomić wszystkich, co się stało, bronią, której nikt przedtem w domu nie widział. To nie wydaje się bardzo prawdopodobne...

— W istocie, nie wydaje się prawdopodobne.

— Otóż wszyscy się zgadzają, że kiedy tylko wszczęto alarm, nie upłynęło minuty, a cały dom, wszyscy, nie tylko pan Cecil Barker, chociaż twierdzi, że był pierwszy, ale Ames i inni zbiegli się na miejsce zbrodni. Czy chcecie mi wmówić, że przez ten czas winowajca zdążył zrobić ślady w kącie, otworzyć okno, poplamzić krwią futrynę, zdjąć z palca trupa ślubną obrączkę i tak dalej? To niemożliwe.

— Ma pan słuszność — rzekł Holmes. — Zgadzam się z panem.

— A zatem musimy przyjąć hipotezę, że dokonał tego ktoś z zewnątrz. Mamy i w tym wypadku poważne trudności, ale w każdym razie jest to niemożliwe. Człowiek ten wszedł do domu między czwartą trzydzieści i szóstą, to znaczy między zmierzchem a podniesieniem mostu. We dworze byli goście, a zatem drzwi zostawiono otwarte, tak że nie napotkał na żadne przeszkody. Mógł to być zwyczajny złodziej albo ktoś mający osobiste porachunki panem Douglasem. Ponieważ pan Douglas spędził część życia w Ameryce

i strzelba pochodzi z Ameryki, teoria osobistych porachunków wydaje się bardzo prawdopodobna. Wślizgnął się do tego pokoju, ponieważ był pierwszy z brzegu, i ukrył się za zasłonę. W tym czasie wszedł do pokoju pan Douglas. Doszło do krótkiej rozmowy, o ile w ogóle doszło, bo pani Douglas mówi, że już w kilka minut po rozstaniu z mężem usłyszała wystrzał.

— Świadczy o tym świeca — rzekł Holmes.

— Właśnie. Świeca, zupełnie nowa, wypaliła się zaledwie na pół cala<sup>31</sup>. Musiał postawić ją na stole, zanim został napadnięty, w przeciwnym razie, oczywiście, spadłaby na ziemię wraz z nim. Jest to dowodem, że nie napadnięto go przy wejściu do pokoju. Kiedy wszedł pan Barker, zapalono lampę i zgaszono świecę.

— To wszystko jasne.

— Na tych podstawach możemy sobie teraz odtworzyć, co się stało. Pan Douglas wchodzi do pokoju. Stawia świecę. Zza zasłony wysuwa się mężczyzna. Uzbrojony jest w strzelbę. Domaga się obrączki, Bóg wie czemu, ale tak musiało być. Pan Douglas daje mu ją. Potem albo z zimną krwią, albo w czasie walki — Douglas mógł bowiem chwycić młotek, znaleziony potem na dywanie — zastrzelił Douglasa z tej straszliwej strzelby. Rzucił broń, a także, jak się zdaje, tę tajemniczą kartkę z napisem „D. V. 341”, której znaczenie jest dla nas niejasne, i uciekł przez okno i przez bagnistą fosę w chwili, kiedy Cecil Baker przybył na miejsce zbrodni. Cóż pan na to, panie Holmes?

— Bardzo ciekawe, ale trochę nieprzekonywujące.

— Człowieku, chociażby to był nonsens, wszelka inna kombinacja byłaby jeszcze gorsza! — zawołał MacDonald. — Ktoś zabił człowieka, ale ktokolwiek by to był, mógłbym panu udowodnić, że zabiłby go w inny sposób. Po cóż miał uciekać przez fosę, kiedy wówczas łatwo można by mu przeciąć drogę? Po cóż by miał używać strzelby, kiedy cisza dawałaby mu szansę ucieczki? Nie, panie Holmes, na pana kolej użyczyć nam wskazówek, kiedy teoria pana White'a Masona nie przemawia panu do przekonania.

W czasie tej długiej rozmowy Holmes siedział, obserwując wszystko, zwracając uwagę na każde wypowiedziane słowo, strzelając bystrymi oczyma na lewo i prawo i marszcząc w zadumie czoło.

— Chciałbym poznać fakty, zanim zdobędę się na teorię, inspektorze — rzekł, klękając przy trupie. — Te rany są naprawdę straszliwe. Czy moglibyśmy poprosić na chwilę lokaja?... Amesie, rozumiem, że widzieliście często to niezwykle piętno, wypalony żelazem trójkąt w kole, na przedramieniu pana Douglasa?

— Często, proszę pana.

— Nigdy nie słyszeliście, co ma oznaczać?

— Nie, proszę pana.

— Wypalenie tego znaku musiało być bardzo bolesne, bo jest on bez wątpienia wypalony. A teraz widzę, Amesie, że na szczęście pana Douglasa przyklejony jest mały plaster. Czy zauważyliście go za życia?

— Tak, proszę pana. Pan zaciął się przy goleniu wczoraj rano.

— Czy często się zaciął?

— Nie, pierwszy raz od dłuższego czasu.

— To ciekawe — rzekł Holmes. — Może to tylko zbieg okoliczności, ale też może wskazywać na zdenerwowanie z powodu grożącego niebezpieczeństwa. Czy zauważyliście coś szczególnego w jego zachowaniu się wczoraj?

— Uderzyło mnie, że był trochę podniecony i jakby niespokojny.

— Ha! Zatem napad nie był zupełnie niespodziewany. Zdaje się, że czynimy pewne postępy, prawda? A może pan się zajmie przesłuchiowaniem, inspektorze?

— Nie, panie Holmes; jest w lepszych rękach.

— Dobrze, a zatem przejdziemy do tej kartki „D. V. 341”. To zwykły kartonik. Macie taki w domu?

— Nie sądzę.

Holmes przemierzył pokój, podszedł do biurka i z obu stojących na nim kałamarzy kapnął nieco atramentu na bibułę.

<sup>31</sup>cal — anglosaska miara długości, równa ok. 2,5 cm. [przypis edytorski]

— Tęgo tu nie pisano — powiedział. — Ten atrament jest czarny, a tamten czerwony. Kartkę zapisano tępą stalówką, a te są ostre. Nie, napis sporządzony został, że się tak wyrażę, gdzie indziej. Czy macie o nim coś do powiedzenia, Amesie?

— Nie, proszę pana, nic.

— Co pan sądzi, inspektorze?

— Robi to wrażenie jakiejś tajemnego stowarzyszenia. Tak samo i piętno na przedramieniu.

— I ja tak sądzę — rzekł White Mason.

— Dobrze, przyjmijmy tę hipotezę i zobaczmy, czy usunie trudności. Jakiś członek takiego stowarzyszenia dostaje się do domu, czeka na pana Douglasa, rozsadza mu czaszkę tą bronią i ucieka w bród przez bagnistą fosę, pozostawiając obok trupa kartkę, która, kiedy zostanie wspomniana w gazetach, poinformuje pozostałych członków stowarzyszenia o dokonanej zemście. To się zgadza. Ale dlaczego ta strzelba, a nie jakaś inna broń?

— Właśnie.

— I zniknięcie obrączki?

— Otóż to.

— I dlaczego nikt dotąd nie został aresztowany? Jest teraz po drugiej. Sądzę, że od świtu wszyscy policjanci w promieniu czterdziestu mil wypatrują przemoczonego przechodnia?

— Zgadza się, panie Holmes.

— O ile się zatem nie ukrył gdzieś blisko albo nie zmienił ubrania, nie mogą go przeoczyć. A jednak dotąd go nie znaleźli. — Holmes podszedł do okna i obejrzał przez lupę krwawą plamę na futrynie. — To ślad buta. Stopa szeroka, jakby zupełnie płaska. To ciekawe, bo wnosząc ze śladów nóg w zabłoconym kącie, należałoby się spodziewać zgrabniejszej podeszwy. A jednak te ślady są niezbyt wyraźne... A co tam leży pod tym bocznym stolikiem?

— Ciężarki do gimnastyki pana Douglasa — rzekł Ames.

— Ciężarek widzę tylko jeden. Gdzie drugi?

— Nie wiem, panie Holmes. Może był tylko jeden. Nie widziałem ich od miesięcy.

— Jeden ciężarek... — zaczął Holmes poważnym tonem, ale przerwało mu gwałtowne pukanie do drzwi.

Do środka zajrzał wysoki, ogorzały, gładko ogolony mężczyzna o inteligentnym wyglądzie. Nietrudno było zgadnąć, że to Cecil Barker, o którym nam już mówiono. Jego przenikliwe oczy spoglądały pytająco, gdy przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą.

— Przepraszam, że panom przerywam — rzekł — ale chciałem, żeby panowie usłyszeli nowinę.

— Aresztowanie?

— Nie, niestety nie. Ale znaleziono jego rower. Ten człowiek zostawił rower. Niech panowie przyjdą i zobaczą. Leży o sto jardów<sup>32</sup> od wejścia.

Zastaliśmy kilku stajennych i gapiów oglądających rower, który wydobyto z krzaków, gdzie był schowany. Był to mocno wysłużony Rudge-Whitworth, obłocony jak po dalekiej podróży. Miał przy siodełku torbę z kluczem do nakrętek i oliwiarką, ale nic nie wskazywało na właściciela.

— Byłoby wielką pomocą dla policji — rzekł inspektor — gdyby rower był opatrzony numerem i zarejestrowany. Ale trzeba się zadowolić tym, co mamy. Jeśli nie wiemy, dokąd się udał, dowiemy się przynajmniej, skąd przybył. Ale czemu porzucił rower? I jak uciekł bez niego? Nie mamy dotąd żadnych wskazówek, panie Holmes.

— Naprawdę? — z zadumą odpowiedział mój przyjaciel.

## ROZDZIAŁ V. OSOBY DRAMATU

— Czy chcieliby panowie coś jeszcze oglądnąć w gabinecie? — zapytał pan White Mason, kiedy wróciliśmy do domu.

— Na razie nie — rzekł inspektor, a Holmes skinął głową.

<sup>32</sup>jard — anglosaska miara długości, równa trzem stopom i wynosząca ok. 0,9 metra. [przypis edytorski]

— A zatem możemy przystąpić do przesłuchania mieszkańców dworu. Może w jadalni, Amesie? Chodźcie na pierwszy ogień i opowiedzcie nam wszystko, co wiecie.

Zeznania lokaja były proste, jasne i robiły wrażenie szczerych. Wstąpił do służby przed pięciu laty, kiedy pan Douglas przybył do Birlstone. Uważał pana Douglasa za bogatego człowieka, który zrobił pieniądze w Ameryce. Był dobrym i wyrozumiałym panem, może wprawdzie nie takim, do jakich Ames był przyzwyczajony, ale nie można mieć wszystkiego. Nigdy nie dostrzegł u pana Douglasa najmniejszej obawy, przeciwnie, był to najodważniejszy człowiek, jakiego znał. Wydał polecenie podnoszenia mostu każdego wieczora, ponieważ było to dawnym zwyczajem we dworze, a on szanował tradycję. Pan Douglas rzadko jeździł do Londynu i rzadko opuszczał wieś, ale w dniu poprzedzającym zbrodnię robił zakupy w Tunbridge Wells. Ames zauważył, że pan Douglas był tego dnia trochę wzburzony i podniecony, gdyż niecierpliwił się i denerwował, co było rzeczą u niego niezwykłą.

Nocy tej nie położył się jeszcze spać, ale pozostał w jadalni w tyle domu, składając srebro, kiedy usłyszał gwałtowne dzwonicie. Nie słyszał wystrzału, ale nie ma w tym nic dziwnego, gdyż jadalnia i kuchnie znajdowały się w tyle domu, za szeregiem zamkniętych drzwi i długim korytarzem. Gospodyni wyszła ze swojego pokoju, zwabiona gwałtownym dzwoniciem. Udali się razem na front budynku. Kiedy znaleźli się u dołu schodów, ujrzał schodzącą nimi panią Douglas. Nie, nie spieszyła się, nie zdawała się szczególnie poruszona. W chwili kiedy zeszła na dół, wypadł z gabinetu pan Barker. Zatrzymał panią Douglas i prosił, by wróciła do siebie.

— Na miłość boską, niech pani wróci do swojego pokoju! — zawołał. — Biedny Jack nie żyje. Nic pani mu nie pomoże. Na miłość boską, proszę odejść!

Po krótkiej rozmowie na schodach pani Douglas wróciła. Nie płakała. W ogóle nie wydała okrzyku. Pani Allen, gospodyni, odprowadziła ją po schodach na górę i została przy niej w sypialni. Ames i pan Barker wrócili potem do gabinetu, gdzie znaleźli wszystko w tym stanie, jak widziała policja. Świeca nie była wówczas zapalona, ale lampa paliła się. Wyjrzeni przez okno, ale noc była ciemna i nie można było nic zobaczyć ani usłyszeć. Wybiegli do sieni, gdzie Ames obrócił kołowrót, aby opuścić most. Potem pan Barker poszedł dać znać o wypadku policji.

Tak brzmiały w ogólnych zarysach zeznania lokaja.

Zeznania pani Allen, gospodyni, były powtórzeniem tego, co mówił jej towarzysz. Pokój gospodyni leży bliżej frontu budynku niż jadalnia, gdzie pracował Ames. Właśnie miała się już położyć spać, kiedy jej uwagę zwróciło gwałtowne dzwonicie. Słuch ma nieszczególony. Być może dlatego nie słyszała wystrzału, gabinet jest zresztą dość odległy. Przypomina sobie, że słyszała jakiś loskot, który wzięła za trzaśnięcie drzwiami. Było to jednak znacznie wcześniej, przynajmniej na pół godziny przed dzwonkiem. Kiedy pan Ames pobiegł na front budynku, poszła za nim. Widziała, że pan Barker, bardzo błady i wzburzony, wypadł z gabinetu. Zatrzymał panią Douglas, która schodziła ze schodów. Prosił ją, żeby wróciła, a ona mu coś odparła, ale jej słów pani Allen nie dosłyszała. „Proszę panią zaprowadzić na górę! Proszę przy niej zostać!” — powiedział do niej pan Barker.

Zaprowadziła ją zatem do sypialni i starała się uspokoić. Była bardzo wzburzona, cała drżała, ale nie próbowała zejść na dół. Siedziała w szlafroku przy kominku, z głową opartą na dłoniach. Pani Allen została przy niej prawie przez całą noc. Co do reszty służby, wszyscy poszli spać i zostali zbudzeni dopiero tuż przed przybyciem policji. Spali w tyle domu i zapewne nic nie słyszeli.

Tyle gospodyni, która w krzyżowym ogniu pytań dodała tylko lamenty i okrzyki zdziwienia.

Po pani Allen jako świadek zjawił się pan Cecil Barker. Co się tyczy szczegółów ubiegłej nocy, nie powiedział nic nowego ponad to, co już uprzednio mówił policji. Osobiście był przekonany, że morderca uciekł przez okno. Jego zdaniem, świadczyła o tym niezbita krwawa plama. Zresztą, ponieważ most był podniesiony, ucieczka inną drogą była niemożliwa. Nie mógł wytłumaczyć, co stało się z mordercą i dlaczego nie zabrał swojego roweru, jeśli to był w istocie jego rower. Nie mógł utonąć w bagnistej fosie, która nigdzie nie miała więcej niż trzy stopy głębokości.

Wyrobił on sobie na temat morderstwa własną teorię. Douglas był człowiekiem zamkniętym w sobie i w jego życiu było kilka rozdziałów, o których nigdy nie mówił. Wymigrował do Ameryki z Irlandii, jeszcze jako młody chłopak. Powodziło mu się dobrze, a Barker spotkał się z nim po raz pierwszy w Kalifornii, gdzie razem szukali z powodzeniem złota w miejscu zwanym Benito Canyon. Pracowali z zyskiem, kiedy nagle Douglas sprzedał swój udział i wyjechał do Anglii. Był w tym czasie wdowcem. Barker później też sprzedał swoją część kopalni i przybył do Londynu. Tu nawiązali znowu przyjacielskie stosunki. Douglas robił na nim wrażenie człowieka, któremu grozi jakieś niebezpieczeństwo, toteż zawsze uważał jego nagły wyjazd z Kalifornii i kupno domu w tak odległej okolicy w Anglii za związane z tym niebezpieczeństwem. Przypuszczał, że jakieś tajemnicze stowarzyszenie, jakaś groźna organizacja była na tropie Douglasa i dybała na jego życie. Sądził tak na podstawie pewnych słów Douglasa, chociaż ten nigdy nie mówił, co to za stowarzyszenie i w jaki sposób mu się naraził. Przypuszcza, że napis na kartoniku ma jakiś związek z tym tajnym stowarzyszeniem.

— Jak długo przebywał pan z Douglasem w Kalifornii? — zapytał inspektor MacDonald.

— Ogółem pięć lat.

— Był wówczas, jak pan wspomniał, wdowcem?

— Tak jest.

— Czy wie pan, skąd pochodziła jego pierwsza żona?

— Nie. Przypominam sobie, że mówił, iż była Szwedką. Widziałem jej portret. Bardzo piękna kobieta. Umarła na tyfus rok przed tym, zanim go poznałem.

— Czy nie łączy pan jego przeszłości z jakąś częścią Ameryki?

— Słyszałem, jak mówił o Chicago. Znał dobrze to miasto i tam pracował. Słyszałem jak mówił o zagłębiu węglowym i stalowym. Swego czasu dużo podróżował.

— Czy zajmował się polityką? Czy to tajemne stowarzyszenie nie było stowarzyszeniem politycznym?

— Nie, polityką nie zajmował się zupełnie.

— Czy nie sądzi pan, że była to jakaś organizacja przestępcza?

— Nie, przeciwnie, nigdy w życiu nie spotkałem człowieka bardziej prawego.

— Czy było coś ciekawego w jego życiu w Kalifornii?

— Nie ruszał się z miejsca i pracował przeważnie na swojej działce w górach. Nie lubił towarzystwa ludzi i stykał się z nimi tylko z konieczności. Dlatego właśnie przyszło mi na myśl, że ktoś go ściga. Kiedy wyjechał nagle do Europy, upewniłem się, że tak jest. Sądzę, że otrzymał jakieś ostrzeżenie. W tydzień po jego wyjeździe pytało o niego z pół tuzina ludzi.

— Jakich ludzi?

— Wyglądali bardzo podejrzanie. Przyszli na działkę, dowiadywali się o niego. Powiedzieli mi, że wyjechał do Europy, ale nie wiem, gdzie go szukać. Chcieli mu zrobić coś złego, widziałem to jasno.

— Czy to byli Amerykanie, Kalifornijczycy?

— Nie wiem, czy to byli Kalifornijczycy, ale na pewno Amerykanie. Ale nie górnicy. Nie wiem, kim byli, ale pożegnałem się z nimi z prawdziwą przyjemnością.

— To było sześć lat temu?

— Prawie siedem.

— A że spędziliście razem w Kalifornii pięć lat, więc to jakaś nieznana historia sprzed co najmniej jedenastu lat?

— Tak.

— Musiała to być jakaś poważna sprawa, jeśli nie zapomniano o niej przez tak długi okres czasu. I powód nie mógł być błahy.

— Myślę, że to niebezpieczeństwo groziło mu przez całe życie. Nigdy o nim nie zapomniał.

— Ale jeśli groziło mu jakieś niebezpieczeństwo, które znał, czemu nie zwrócił się do policji?

— Może policja nie mogła ochronić go przed tym niebezpieczeństwem. Musicie, panowie, wiedzieć jeszcze jedno. Zawsze miał przy sobie broń. Zawsze nosił rewolwer

w kieszeni. Ale na nieszczęście ubiegłej nocy był w szlafroku, a broń zostawił w sypialni. Przypuszczam, że sądził, że jest bezpieczny, kiedy już podniesiono most zwodzony.

— Chciałbym się upewnić co do dat — powiedział MacDonald. — Douglas opuścił Kalifornię przed sześciu laty. Pan podążył za nim po roku, tak?

— Tak.

— A on ożenił się przed pięciu laty. Powrócił pan zatem mniej więcej w czasie, kiedy brał ślub?

— Na miesiąc przedtem. Byłem jego drużbą.

— Czy znał pan panią Douglas przed ślubem?

— Nie, nie znałem. Nie było mnie w Anglii przez dziesięć lat.

— Ale odtąd widywał ją pan często?

— Jego widywałem często — odpowiedział. — Jeśli i ją widywałem, to dlatego, że nie sposób składać wizyt mężowi, nie widując jego żony. Jeśli pan sądzi, że istnieje jakiś związek...

— Nic nie sądzę, panie Barker. Zadaję pytania, które uważam za potrzebne. Nie chciałem pana urazić.

— Takie pytania są obrazą — odpowiedział Barker rozgniewany.

— Chodzi tylko o fakty. Zarówno w interesie pańskim, jak i interesie wszystkich leży ich wyjaśnienie. Czy pan Douglas w pełni akceptował pańską przyjaźń z jego żoną?

Barker zbladł, a jego wielkie, silne dłonie zacisnęły się konwulsyjnie.

— Pan nie ma prawa stawiać takich pytań! — zawołał. — Co to ma wspólnego ze śledztwem?

— Ponawiam pytanie.

— A ja odmawiam odpowiedzi.

— Może pan odmówić odpowiedzi, ale proszę sobie uprzytomnić, że pańska odmowa jest równoznaczna z odpowiedzią, gdyż nie odmawiałby pan, gdyby nie miał pan nic do ukrycia.

Barker stał chwilę z groźną twarzą i wielkimi, czarnymi brwiami zmarszczonymi w głębokiej zadumie. Potem spojrział na nas z uśmiechem.

— Rozumiem, że panowie spełniacie w każdym razie tylko swój obowiązek i że nie możecie nam robić trudności. Proszę tylko, abyście na ten temat nie mówili z panią Douglas, bo ma i tak dosyć zmartwień. Muszę panom oświadczyć, że biedny Douglas miał tylko jedną wadę: był zazdrosny. Lubił mnie, nikt nie mógłby bardziej lubić swojego przyjaciela. I kochał bardzo swą żonę. Chętnie przyjmował mnie u siebie i zawsze po mnie posyłał. A jednak często, kiedy rozmawiałem z jego żoną i kiedy dostrzegł, jak mu się zdawało, jakieś oznaki sympatii, ogarniała go fala zazdrości, nie mógł zapanować nad sobą i mówił, co mu ślina na język przyniosła. Niejednokrotnie z tej właśnie przyczyny zarzekałem się, że nigdy więcej się u niego nie pojawię, ale wówczas przysyłał mi błagalne listy z wyrazami skruchy, tak że musiałem dać się przeprosić. Ale zapewniam panów, że żaden mąż nie miał równie kochającej go i wiernej żony... oraz, mogę to o sobie powiedzieć, równie oddanego przyjaciela.

Powiedział to z zapałem i szczerze, ale inspektor MacDonald nie był, zdaje się, przekonany.

— Czy wie pan — rzekł — że zamordowanemu zdjęto obrączkę z palca?

— Tak by się zdawało.

— Co pan ma na myśli, mówiąc „zdawało”? Pan wie, że tak jest.

Barker był zmieszany i niezdecydowany.

— Jeśli mówiłem „zdawało”, to dlatego, że obrączkę mógł zdjąć z palca sam.

— Bądź co bądź, fakt, że obrączka zniknęła, mniejsza z tym, kto ją zabrał, nasuwa przypuszczenie, że istnieje jakiś związek między tą tragedią a małżeństwem.

Barker wrzucił potężnymi ramionami.

— Nie wiem, co to znaczy — odpowiedział. — Ale jeśli pan uważa, że rzuca to jakiś cień na cześć tej damy... — Jego oczy zabłyśły na chwilę, ale z niezwykłym wysiłkiem zdołał się opanować. — To... jest pan w błędzie.

— Nie mam na razie zamiaru stawiać panu dalszych pytań — rzekł MacDonald zimno.

Zazdrość



— Tylko jeden mały szczegół — zauważył Sherlock Holmes. — Kiedy pan wszedł do pokoju, paliła się w nim tylko jedna świeca, nieprawdaż?

— Tak, tak było.

— Przy jej świetle spostrzegł pan, że stało się coś strasznego?

— Właśnie.

— Zadzwoił pan zaraz po pomoc?

— Tak.

— I pomoc zaraz nadbiegła?

— W ciągu niespełna pół minuty.

— A jednak kiedy się zjawili, stwierdzili, że świeca jest zgaszona, a pali się lampa. To ciekawe.

Barker zdawał się nieco zakłopotany.

— Nie sądzę, aby to było ciekawe, panie Holmes — odpowiedział po chwili. — Świeca rzucała słabe światło. Od razu pomyślałem, żeby postarać się o lepsze. Zapaliłem zatem stojącą na stole lampę.

— I zgasił pan świecę?

— Właśnie.

Holmes nie stawiał żadnych więcej pytań, a Barker obrzucił nas po kolei byстрыm spojrzeniem, w którym, jak mi się zdawało, wyczytałem coś wyzywającego, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Inspektor MacDonald posłał przez służącego kartkę, zawiadamiając panią Douglas, że gotów jest przyjść do jej pokoju, odpowiedziała jednak, że zejdzie do nas do jadalni. Zaraz weszła, wysoka, piękna kobieta, lat około trzydziestu, poważna i dość dobrze panująca nad sobą, zupełnie inna od tragicznej, zrozpaczonej osoby, jaką sobie wyobraziłem. Przypuszczam, że twarz jej była blada i zmieniona, jak u człowieka, którego spotkał straszny cios, ale panowała nad swoimi ruchami, a jej piękna ręka, którą położyła na brzegu stołu, była tak spokojna jak moja. Jej smutne, proszące oczy błędziły od jednego do drugiego z nas z wyrazem natrętnej ciekawości. Pytający wzrok zastąpiły nagle urywane słowa.

— Czy panowie już coś znaleźli? — zapytała.

Może mi się zdawało, że w pytaniu tym przebijał raczej lęk niż nadzieja.

— Poczyniliśmy wszelkie potrzebne kroki, pani Douglas — odpowiedział inspektor. — Może pani być pewna, że niczego nie zaniedbamy.

— Proszę nie szczędzić pieniędzy — rzekła spokojnym, bezdźwięcznym głosem. — Pragnę, aby zrobiono wszystko, co można.

— Może mogłaby nam pani powiedzieć coś, co rzuciłoby światło na tę sprawę.

— Obawiam się, że nie, ale jestem do dyspozycji panów.

— Słyszeliśmy od pana Cecila Barkera, że pani właściwie nie widziała... że pani nie wchodziła do pokoju, gdzie rozegrała się tragedia...

— Nie. Zawrócił mnie z drogi. Prosił, żebym wróciła do swojego pokoju.

— Właśnie. Pani słyszała wystrzał i zeszła od razu na dół?

— Włożyłam szlafrok i zeszłam na dół.

— W jakim czasie po wystrzale spotkała się pani na schodach z panem Barkerem?

— Może w kilka minut. W takich chwilach trudno określić upływ czasu. Błagał mnie, żebym nie wchodziła. Zapewniał, że w niczym nie mogę mu pomóc. Potem pani Allen, gospodyni, zaprowadziła mnie na górę po schodach. Wszystko to było jakby w strasznym śnie.

— Czy może nam pani powiedzieć, jak długo mąż pani był na dole, zanim rozległ się huk wystrzału?

— Nie, nie mogę. Wyszedł ze swojej ubieralni, nie słyszałam kiedy. Co noc obchodził dom dokoła, bał się ognia. To jedyna rzecz, której się obawiał.

— Przechodzę teraz do ważnej sprawy, pani Douglas. Poznała pani swojego męża w Anglii, prawda?

— Tak. Pobraliśmy się pięć lat temu.

— Czy nie wspominał pani o Ameryce, o jakimś groźącym mu stamtąd niebezpieczeństwie?

Pani Douglas zadumała się głęboko, zanim odpowiedziała.

— Tak — rzekła w końcu. — Zawsze czułam, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. Nie chciał o tym ze mną mówić. Nie z braku zaufania; łączyła nas szczerą miłość i ufaliśmy sobie wzajemnie, ale nie chciał mnie niepokoić. Sądził, że będę się gryzła, gdybym wiedziała wszystko, zatem milczał.

— A więc skąd pani wiedziała?

Pani Douglas uśmiechnęła się lekko.

— Czy mąż może ustrzec jakąś tajemnicę przed kochającą go żoną? Domyślałam się tego po różnych oznakach. Domyślałam się z jego odmowy opowiedzenia mi czegoś z pobytu w Ameryce. Domyślałam się, patrząc na środki ostrożności, jakie przedsiębrał. Domyślałam się z pewnych jego słów. Domyślałam się z jego zachowania, kiedy patrzył na niespodziewanych gości. Byłam święcie przekonana, że ma potężnych wrogów i dlatego ma się zawsze na baczności. Już od lat byłam tego tak pewna, że truchlałam, kiedy się spóźniał do domu.

— Czy mógłbym zapytać — rzekł Holmes — jakie to słowa zwróciły pani uwagę?

— „Dolina Trwogi” — odpowiedziała kobieta. — Tego określenia użył, kiedy go wypytywałam. „Byłem w dolinie Trwogi. Jeszcze się z niej nie wydostałem”. „Czyż nigdy nie wydostaniemy się z Doliny Trwogi?”, pytałam go, kiedy widziałam, że był niezwykle poważny. „Czasami zdaje mi się, że nigdy”, odpowiedział.

— Zapewne pytała go pani, co ma oznaczać ta Dolina Trwogi?

— Tak. Ale wtedy jego twarz poważniała i potrząsał głową. „Wystarczy, że jedno z nas żyje w jej cieniu”, odpowiadał. „Dzięki Bogu, ten cień nigdy nie padnie na ciebie”. To była jakaś rzeczywiście istniejąca dolina, w której kiedyś żył i w której spotkało go coś strasznego. Tego jestem pewna, ale nic więcej nie umiem powiedzieć.

— Nigdy nie wymieniał żadnych nazwisk?

— Owszem, raz w gorączce, po wypadku na polowaniu, przed trzema laty. Przypominam sobie, że wówczas wciąż cisnęło mu się na usta jedno nazwisko. Wymawiał je z gniewem i jakby ze zgrozą. Nazwisko to brzmiało „McGinty, mistrz McGinty”. Pytałam go, kiedy wyzdrowiał, kto to jest ten McGinty i czyim jest mistrzem. „Nie moim, dzięki Bogu”, odpowiedział z uśmiechem. To wszystko, czego się od niego dowiedziałam. Ale jest jakiś związek między mistrzem McGintym i Doliną Trwogi.

— Jeszcze jeden szczegół — rzekł MacDonald. — Pani poznała pana Douglasa w Londynie, w pensjonacie, nieprawdaż, i tam się pani z nim zaręczyła? Czy to była romantyczna miłość, czy zaręczyny odbyły się potajemnie, bez świadków?

— To była romantyczna miłość. Zawsze jest miłość. Nie było jednak żadnych tajemnic.

— Czy miał rywala?

— Nie, byłam wolna.

— Pani słyszała zapewne, że jego obrączka ślubna zniknęła. Czy to pani nie nasuwa jakiegoś przypuszczenia? Jeśli przyjmiemy, że jakiś jego wróg z dawnych czasów wyszedł go i popełnił tę zbrodnię, jaki powód mógłby go skłonić do zabrania obrączki?

Przez chwilę mógłbym przysiąc, że na ustach kobiety pojawił się cień ledwie uchwytanego uśmiechu.

— Nie, doprawdy nie mam pojęcia — odpowiedziała. — To ciekawe.

— Nie chcemy pani dłużej zatrzymywać. Bardzo nam przykro, że panią niepokoiłoby w tak trudnych chwilach — rzekł inspektor. — Pozostaje do wyjaśnienia jeszcze kilka kwestii, ale możemy porozumieć się z panią, kiedy zajdzie potrzeba.

Wstała i obrzuciła nas szybkim, badawczym spojrzeniem. „Jakie wrażenie wywarły moje zeznania?” — równie dobrze mogłaby zapytać. Potem ukloniła się i wyszła z pokoju.

— Piękna kobieta, bardzo piękna kobieta — powiedział Mac Donald w zamyśleniu, kiedy się drzwi za nią zamknęły. — Ten Barker przebywał tu bardzo często. Może się podobać kobiecie. Przyznaję, że zmarły był zazdrosny i może miał do tego powody. A potem ta obrączka. Nad tym nie można przejść do porządku. Człowiek, który zdziera z ręki trupa ślubną obrączkę... Co pan o tym sądzi, panie Holmes?

Mój przyjaciel siedział z głową wspartą na dłoniach, pogrążony w głębokiej zadumie. Nagle wstał i zadzwonił.

— Amesie — zapytał, kiedy wszedł lokaj — gdzie jest teraz pan Cecil Barker?

— Zobaczę, proszę pana.

Powrócił za chwilę, oznajmiając, że pan Barker jest w ogrodzie.

— Czy pamiętacie, Amesie, co miał na nogach pan Barker, kiedy zastaliście go w gabinecie ubiegłej nocy?

— Tak, panie Holmes. Miał na nogach pantofle. Przyniosłem mu buty, kiedy szedł po policję.

— Gdzie są teraz te pantofle?

— Stoją jeszcze pod krzesłem w sieni.

— Bardzo dobrze, Amesie. Jest to dla nas, naturalnie, rzeczą pierwszorzędną wiedzieć, które ślady są śladami pana Barkera, a które pochodzą z zewnątrz.

— Tak, proszę pana. Zauważyłem nawet, że pantofle są poplamione krwią... tak samo jak moje.

— Nie ma w tym nic dziwnego, zważywszy stan pokoju. Dobrze, Amesie. Zadzwońmy, jeśli będziecie potrzebni.

W kilka minut później byliśmy w gabinecie. Holmes przyniósł z sieni pantofle. Ich spody, jak zauważył Ames, były ciemne od krwi.

— Dziwne! — mruczał Holmes, stojąc przy oknie i przyglądając im się dokładnie. — Doprawdy, bardzo dziwne!

Szybkiem, kocim ruchem położył pantofel na krwawej plamie na parapecie okna. Pasował doskonale. Uśmiechnął się w milczeniu do swoich kolegów.

Twarz inspektora zmieniła się z przejęcia. Jego rodzimy akcent grzechotał, jakby ktoś przejeżdżał kijem po parkanie.

— Człowieku! — zawołał. — To nie ulega wątpliwości. Barker sam pozostawił plamy na oknie. Znaki są znacznie szersze niż podeszwa dowolnego buta. O ile mi się zdaje, mówił pan o płaskiej stopie... Oto wyjaśnienie. Ale po co to zrobił, panie Holmes? Po co to zrobił?

— Tak, po co to zrobił? — powtórzył mój przyjaciel zamyślony.

White Mason zachichotał i zatarł pulchne dłonie z zadowoleniem zawodowca.

— A mówiłem, że to niezwykle przypadek! — zawołał. — I rzeczywiście niezwykle przypadek.

## ROZDZIAŁ VI. ZACZYNA ŚWITAĆ

Trzej detektywi mieli sobie dużo do powiedzenia, wróciłem zatem sam do naszej skromnej kwatery w gospodzie. Przedtem jednak wybrałem się na spacer do starego, ciekawego parku, który ciągnął się aż do dworu. Szeregi bardzo starych drzew w dziwnych kształtach otaczały go dokoła. Wewnątrz był piękny szmat trawnika z starym zegarem słonecznym pośrodku, a całość sprawiała miłe i spokojne wrażenie, tak potrzebne dla moich nieco nadszarpniętych nerwów. W tej uspakajającej atmosferze można było zapomnieć lub pamiętać jedynie jako fantastyczną marę senną ciemny gabinet z rozciągniętą na podłodze skrwawioną postacią. A jednak, kiedy spacerowałem i poilem duszę orzeźwiającym balsamem, zdarzyło się coś dziwnego, co przypomniało mi o tragedii i wywarło na mnie przykre wrażenie.

Wspomniałem, że ogród otoczony był pierścieniem drzew owocowych. Na końcu, w miejscu najbardziej odległym od dworu, drzewa zagęszczały się, tworząc ciągły żywopłot. Po jego drugiej stronie, ukryta przed oczyma idącego od strony dworu, znajdowała się kamienna ławka. Kiedy się do niej zbliżyłem, usłyszałem głosy, jakieś słowa wypowiedziane przez mężczyznę i odpowiadający im śmiech kobiety. W chwilę później wyszedłem zza żywopłotu i spostrzegłem panią Douglas i Barkera, zanim zauważyli moją obecność. Uderzył mnie jej wygląd. W jadalni była poważna i milcząca. Teraz nie spostrzegłem u niej nawet śladu przygnębienia. Oczy jej błyszczały radością życia, a twarz drżała w uśmiechu, wywołanym jakąś uwagą towarzysza. Siedział, pochylony naprzód, ze splecionymi dłońmi, wsparty rękami na kolanach, z wyrazem radości na pięknej, męskiej twarzy. W jednej chwili — ale właśnie o chwilę za późno — przybrali uroczyste maski, kiedy zauważyli, że nadchodzę. Zamienili kilka szybkich słów, po czym Barker wstał i podszedł do mnie.

— Przepraszam pana — powiedział. — Czy mam przyjemność mówić z doktorem Watsonem?

Ukloniłem się sztywno, co wskazywało, jak sędzę, jakiego nabrałem o nich przekonania.

— Przypuszczaliśmy, że to pan, gdyż pańska przyjaźń z panem Sherlockiem Holmesem jest ogólnie znana. Czy nie zechciałby pan zamienić kilku słów z panią Douglas?

Poszedłem za nim niechętnie. Oczywiście duszy widziałem leżącą na podłodze postać z roztrzaskaną głową. A tu, w kilka godzin po tragedii, jego żona i najbliższy przyjaciel uśmiechali się do siebie za krzakami w jego własnym ogrodzie. Przywitałem panią Douglas z rezerwą. W jadalni współczułem jej cierpieniu. Teraz nie odpowiedziałem na jej pytające spojrzenie.

— Obawiam się, że uważa mnie pan za istotę bez serca? — rzekła.

Wzruszyłem ramionami.

— To nie moja sprawa — odpowiedziałem.

— Może kiedyś zasłużyć na bardziej sprawiedliwy osąd. Gdyby pan wiedział...

— Nie ma potrzeby, aby doktor Watson wiedział — rzekł Barker z pośpiechem. — Sam oznajmił, że go to nie obchodzi.

— W istocie — powiedziałem. — I dlatego lepiej będzie, jeśli odejdę.

— Jeszcze chwilę, doktorze Watson — zawołała kobieta błagalnym głosem. — Na jedno pytanie może mi pan odpowiedzieć z większą pewnością niż ktokolwiek inny na świecie, a ma dla mnie wielkie znaczenie. Zna pan lepiej niż inni stosunki pana Holmesa z policją. Przypuśćmy, że zostanie mu powierzona w zaufaniu jakaś tajemnica. Czy koniecznie będzie musiał powiadomić o niej detektywów?

— Otóż to — rzekł Barker gorączkowo. — Czy pracuje sam, czy idzie z nimi ręką w rękę?

— Nie wiem, doprawdy, czy jestem uprawniony do roztrząsania tych kwestii.

— Proszę... błagam pana o to, doktorze Watson. Jestem pewna, że nam pan pomoże... pańskie objaśnienie będzie dla nas poważną wskazówką.

W jej głosie brzmiała taka szczerość, że zapomniałem na chwilę o jej lekkomyślności i postanowiłem spełnić prośbę.

— Pan Holmes prowadzi poszukiwania na własną rękę — rzekłem. — Jest panem swoich czynów i działa, powodując się własnym sumieniem. Rzecz jasna, czuje się jednak zarazem zobowiązany do szczerości wobec funkcjonariuszy, którzy zajmują się tą samą sprawą i nie będzie chciał ukrywać przed nimi szczegółów, które by im pomogły oddać przestępcę w ręce władz. Nic więcej nie mogę powiedzieć, ale zawiadomię pana Holmesa, jeśli chce pani bardziej szczegółowych wyjaśnień.

Po tych słowach uchyliłem kapelusza i poszedłem swoją drogą, pozostawiając ich na kamiennej ławce za żywopłotem. Skręcając na końcu, obejrzałem się i zobaczyłem, że żywo o czymś rozmawiają, a ponieważ patrzyli na mnie, było jasne, że przedmiotem ich dyskusji była rozmowa ze mną.

— Nie potrzeba mi ich zwierzeń — rzekł Holmes, kiedy opowiedziałem mu, co mi się przytrafiło. Spędził całe popołudnie we dworze na naradach z dwoma kolegami i powrócił około piątej, głodny jak wilk. Zamówiłem dla niego podwieczorek.

— Żadnych zwierzeń, Watsonie, ponieważ są bardzo nie na rękę, jeśli dojdzie do aresztowania za znowę i morderstwo.

— Sądziś, że do tego dojdzie?

Był w znakomitym humorze.

— Mój drogi Watsonie, kiedy skończę z tym czwartym jajkiem, przedstawię ci całą sytuację. Nie twierdzę, że już zgłębiliśmy tajemnicę — daleko do tego — ale kiedy znajdziemy brakujący ciężarek...

— Ciężarek?

— Drogi Watsonie, to niemożliwe, żebyś naprawdę nie rozumiał, że rozwiązanie tajemnicy zależy od brakującego ciężarka. Dobrze, dobrze, nie musisz się przejmować, gdyż mówiąc między nami, nie sędzę, żeby i inspektor MacDonald albo jego znakomity miejscowy kolega pojęli niezwykle znaczenie tego faktu. Jeden ciężarek, Watsonie! Wyobraź sobie atletę z jednym ciężarkiem. Wyobraź sobie jednostronny rozwój mięśni, grożące niebezpieczeństwo skrzywienia kręgosłupa. To straszne, Watsonie, straszne!...

Siedział z ustami pełnymi ciasta i błyszczącymi łobuzersko oczyma obserwował moje zakłopotanie. Widok jego wspaniałego apetytu był dowodem sukcesu, przypominałem

Rozum, Jedzenie

sobie bowiem doskonale dnie i noce bez jedzenia, kiedy jego znękany umysł wysilał się nad rozwiązaniem jakiejś zagadki, podczas gdy szczupła, wyrazista twarz zaostrzała się w ascetyzmie wyczerpującej mózg pracy. W końcu zapalił fajkę i siedząc w kącie starej, wiejskiej oberży zaczął mówić powoli i jakby od niechcenia o sprawie, raczej wypowiadając głośno swoje myśli, niż zdając mi sprawozdanie.

— Kłamstwo, Watsonie, wielkie, bezczelne, narzucające się, bezwzględnie kłamstwo. Oto, z czym spotykamy się na progu. To jest naszym punktem wyjścia. Cała historia opowiedziana przez Barkera jest kłamstwem. Ale historię Barkera potwierdza pani Douglas. A więc i ona kłamie. Kłamią oboje, gdyż się tak umówili. Stoimy teraz wobec zagadnienia: dlaczego kłamią i jaka jest prawda, którą starają się tak usilnie ukryć? Spróbujmy, Watsonie, ty i ja, przejrzyć to kłamstwo i ustalić, jak wygląda prawda. Skąd wiem, że kłamią? Ponieważ mamy do czynienia z niezręcznie ułożoną historią, która nie może być prawdziwa. Zastanów się! Według tej historii po dokonaniu zbrodni morderca miał mniej niż minutę na zerwanie z palca swojej ofiary obrączki, która była pod drugim pierścieniem; włożenia z powrotem pierścienia — czego by nigdy nie zrobił — i porzucenia tajemniczej kartki obok ofiary. Twierdzę, że to zupełnie niemożliwe. Możesz się sprzeczać, ale zbyt wysoko cenię twój sąd, Watsonie, żeby przypuszczać, że będziesz mówił, że obrączkę zdjęto mu przed zabójstwem. Fakt, że świeca paliła się tylko przez krótki czas, wskazuje, że nie doszło do długiej rozmowy. Gdyby Douglas, o którego odwadze słyszeliśmy, był człowiekiem zdolnym do oddania ślubnej obrączki w tak krótkim czasie, czy możemy sobie wyobrazić, żeby ją w ogóle oddał? Nie, nie, Watsonie, morderca był przez pewien czas sam na sam ze swoją ofiarą przy zapalanej lampie. W to nie wątpię. Ale przyczyną śmierci był najwyraźniej postrzał ze strzelby. Dlatego musiał być oddany wcześniej, niż nam to powiedziano. Pomyłka w tym wypadku jest niemożliwa. Mamy zatem do czynienia z umyślną zмовą dwóch osób, które słyszały strzał: pana Barkera i pani Douglas. Kiedy na dodatek zdołam wykazać, że krwawa plama na parapecie okna została zrobiona naumyślnie przez Barkera, by dać policji fałszywą wskazówkę, przyznasz, że będzie to poważnym zarzutem przeciw niemu. Musimy teraz zapytać, o której godzinie właściwie dokonano morderstwa. Do wpół do jedenastej służba kręciła się po domu, a zatem do tego czasu nie stało się to z pewnością. Za kwadrans jedenasta wszyscy udali się do swoich pokoi, wyjąwszy Amesę, który był w jadalni. Kiedy wyszedłeś po południu, przeprowadziłem kilka prób i stwierdziłem, że żaden hałas zrobiony w gabinecie przez MacDonalda nie mógł przeniknąć do mnie w jadalni, kiedy wszystkie drzwi były zamknięte. Jednak sprawa wygląda inaczej, kiedy chodzi o pokój gospodyni. Nie leży tak daleko w głąb korytarza i mogłem z niego niewyraźnie usłyszeć głośny okrzyk. Odgłos wystrzału jest nieco przytłumiony, kiedy strzela się z bliska, jak to było niewątpliwie w tym wypadku. Musiał to być niezbyt głośny wystrzał, a jednak w ciszy nocnej pani Allen powinna go była usłyszeć. Jest, jak nam mówiła, nieco przygłucha, w każdym razie jednak zeznała, że słyszała coś podobnego do trzaśnięcia drzwiami na pół godziny przed alarmem. Wypadłoby to na godzinę za kwadrans jedenasta. Nie wątpię, że to, co słyszała, było odgłosem wystrzału i że wtedy właśnie popełniono morderstwo. Jeśli tak jest, musimy teraz ustalić, co robili pan Barker i pani Douglas — przyjąwszy, że nie są oni mordercami — od za kwadrans jedenasta, kiedy zwabił ich huk wystrzału, do kwadrans po jedenastej, kiedy zadzwonili na służbę. Co robili i dlaczego natychmiast nie wezwali służby? Oto pytanie, które się narzuca, a kiedy znajdziemy na nie odpowiedź, z pewnością uda nam się rozwiązać naszą zagadkę.

— Jestem przekonany — powiedziałem — że między tą dwójką jest jakieś porozumienie. Ona musi być istotą bez serca, jeśli śmieje się z dowcipów w kilka godzin po zamordowaniu jej męża.

— Właśnie. Jako żona nie robi dobrego wrażenia, nawet we własnej relacji z tego, co się wydarzyło. Jak wiesz, Watsonie, nie jestem wielbicielem kobiet, ale doświadczenie uczy mnie, że niewiele żon choć trochę szanujących swoich małżonków dałoby się odwieść od obecności przy ciele zmarłego męża kilkoma słowami, wypowiedzianymi przez obcego mężczyznę. Gdybym się kiedyś ożenił, Watsonie, mam nadzieję, że wzbudzę w swojej żonie tyle uczucia, żeby nie pozwoliła się odprowadzić gospodyni od mojego trupa leżącego opodal. To było źle urządzone, bo nawet niedoświadczonego detektywa uderzyłby brak

zwykłych kobiecych lamentów. Już samo to powinno wzbudzić podejrzenie, że mamy do czynienia ze znową.

— Sądziś zatem ostatecznie, że to Barker i pani Douglas są winni tego morderstwa?

— Co za przerażająca bezpośredniość w twoich pytaniach, Watsonie — rzekł Holmes, potrząsając fajką. — Godzą we mnie jak pociski. Jeśli chcesz powiedzieć, że pani Douglas i Barker znają prawdę i pragną ją ukryć, zgadzam się z tobą najzupełniej. Jestem tego pewny. Ale odpowiedź na twoje zabójcze pytanie nie jest tak prosta. Zastanówmy się przez chwilę, co przemawia przeciw temu. Załóżmy, że para ta złączona jest węzłem grzesznej miłości i że postanowiła pozbyć się człowieka, który jej przeszkadza. To bardzo luźne przypuszczenie, gdyż zeznania służby i innych wcale go nie potwierdzają. Przeciwnie, mamy szereg dowodów, że Douglasowie bardzo się kochali.

— To nie może być prawda — odparłem, przypomniawszy sobie piękną śmiejącą się twarz w ogrodzie.

— W każdym razie takie robili wrażenie. Ale przypuśćmy, że jest to niezwykle sprytna para, która wszystkich wprowadziła w błąd i która zaplanowała morderstwo małżonka. Był to, jak się zdaje, człowiek, któremu groziło jakieś niebezpieczeństwo.

— Tak oni twierdzą.

Holmes zadumał się.

— Widzę Watsonie, że zbudowałeś sobie teorię, według której wszystko, co mówią, od początku do końca jest kłamstwem. Według ciebie, nie było nigdy żadnych pogroźek ani tajnego stowarzyszenia, ani Doliny Trwogi, ani jakiegoś mistrza i tak dalej. Cóż, to daleko idące uogólnienie. Zobaczmy, do czego nas doprowadzi. Wymyślają tę historię, aby wskazać powód zbrodni. Rozbudowują ją, zostawiając w parku rower na dowód, że istnieje morderca z zewnątrz. Plama na parapecie okna służy do tego samego celu. Tak samo kartka przy zwłokach, którą mogli napisać w domu. Wszystko pasuje do twojej hipotezy, Watsonie. Ale teraz jesteśmy w kropce, stajemy przed faktami, które zupełnie się z nią nie zgadzają. Dlatego ze wszystkich możliwych broni wybrali uciętą strzelbę, i do tego amerykańską? Skąd mogli wiedzieć, że wystrzał z niej nie zwabi kogoś? To tylko przypadek, że pani Allen nie poszła zapytać, kto zatrzaskał drzwi. Po co robiła to wszystko twoja zbrodnicza para, Watsonie?

— Przyznaję, że nie wiem.

— A dalej, jeśli kobieta i kochanek jej postanowili wspólnie zamordować męża, czy skierowaliby na siebie podejrzenie, ostentacyjnie zdejmując mu obrączkę po jego śmierci? Czy wydaje ci się to prawdopodobne, Watsonie?

— Nie, to nie.

— A dalej, gdyby nawet przysła ci do głowy myśl pozostawienia ukrytego roweru, czy to by ci się opłaciło, kiedy nawet najglupszy detektyw powiedziałby, że to tylko podstęp dla zmylenia śladów, bo rower to najpotrzebniejsza rzecz, kiedy przestępca chce uciec?

— Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

— A jednak nie zdarzył się jeszcze splot wypadków, którego umysł ludzki nie potrafiłby wyjaśnić. Pozwolisz, że spróbuję wskazać możliwy tok myślenia, nie twierdząc, że to wszystko prawda, ale w ramach ćwiczenia umysłowego. Przyznaję, że będzie to raczej dzieło wyobraźni, ale jakże często wyobraźnia jest matką prawdy. Przypuśćmy, że w życiu Douglasa była rzeczywiście jakaś zbrodnicza tajemnica, jakaś tajemnica okrywająca go hańbą. Tajemnica ta staje się przyczyną morderstwa, dokonanego, powiedzmy, przez mścicieli, kogoś z zewnątrz. Ten mściciel, z powodów dotąd mi nieznanych, zabrał obrączkę zmarłego. Wendeta<sup>33</sup> może swym początkiem sięgać czasów pierwszego małżeństwa zamordowanego, a obrączka została zabrana z przyczyn związanych z tym małżeństwem. Barker i żona weszli do pokoju, zanim mściciel się oddalił. Morderca przekonał ich, że próba aresztowania go doprowadzi do ujawnienia jakiegoś obrzydliwego skandalu. Przekonał ich i pozwolili mu uciec. W tym celu zapewne opuścili, a potem podnieśli most, co da się zrobić bez hałasu. Wymknął się i z pewnych powodów doszedł do przekonania, że lepiej uciekać pieszo niż na rowerze. Ukrył zatem rower tak, żeby odnalezienie go wypadło w czasie, kiedy już będzie bezpieczny. Na razie jest to wszystko możliwe, nieprawdaż?

Rozum

Prawda

<sup>33</sup>wendeta — krwawa zemsta. [przypis edytorski]

— Bez wątpienia, wszystko to jest możliwe — odparłem z pewnym ociąganiem.

— Musimy pamiętać, Watsonie, że cokolwiek się tam stało, z pewnością było czymś niezwykle. Snując dalej nasze przypuszczenia, możemy sobie wyobrazić, że para ta, niekoniecznie para przestępców, spostrzegła po odejściu mordercy, że jest w sytuacji, w której trudno jej będzie udowodnić, że nie popełniła tej zbrodni albo że nie jest w nią zamieszana. Gorączkowo i niezręcznie postarali się wybrnąć z sytuacji. Barker przy pomocy swojego okrwawionego pantofla zrobił plamę na parapecie, aby zasugerować drogę ucieczki mordercy. Byli, jak się okazało, jedynymi osobami, które słyszały huk wystrzału, dlatego zaalarmowali wszystkich, jak należało, ale w dobre pół godziny po wypadku.

— I w jaki sposób zamierzasz to udowodnić?

— Jeśli to był ktoś z zewnątrz, trzeba by go wysledzić i schwycić. To byłby najlepszy dowód. Jeśli nie... cóż, nie wyczerpaliśmy jeszcze naukowych możliwości. Sądzę, że wieczór spędzony samotnie w tym gabinecie bardzo mi pomoże.

— Wieczór spędzony samotnie!

— Właśnie mam zamiar tam się udać. Umówiłem się z zacnym Amesem, który ma pewne wątpliwości co do Barkera. Posiedzę w tym pokoju i zobaczę, czy jego atmosfera nie przyniesie mi natchnienia. Wierzę w *genius loci*<sup>34</sup>. Uśmiechasz się, przyjacielu Watsonie. Dobrze, zobaczymy. Nie masz przypadkiem tego swojego wielkiego parasola?

— Mam go tutaj.

— Pożycz mi go, jeśli możesz.

— Oczywiście... ale cóż to za śmieszna broń! Jeśli grozi ci niebezpieczeństwo...

— Nic poważnego, mój drogi Watsonie, inaczej prosiłbym, abys mi towarzyszył. Ale parasol zabiorę, czekam tylko na powrót naszych kolegów z Tunbridge Wells, gdzie próbują odszukać właściciela roweru.

Zapadł zmrok, kiedy inspektor MacDonald i White Mason wrócili z swojej wyprawy i rozpromienieni donosili o wielkim postępie w naszych poszukiwaniach.

— Człowieku, przyznaję, że nie bardzo wierzyłem w tego przybysza z zewnątrz — rzekł MacDonald — ale to było przedtem. Ustaliliśmy, do kogo należy rower, i mamy opis naszego ptaszka, co jest wielkim krokiem naprzód.

— Wygląda to na początek końca — odpowiedział Holmes. — Gratuluję panom z całego serca.

— Wyszedłem z założenia, że pan Douglas był, jak się zdaje, niespokojny od poprzedniego dnia, kiedy jeździł do Tunbridge Wells. A zatem w Tunbridge Wells zdał sobie sprawę, że grozi mu niebezpieczeństwo. Było zatem jasne, że człowiek z rowerem mógł przybyć, i tego by się należało spodziewać, z Tunbridge Wells. Zabraliśmy rower i pokazywaliśmy go w każdym hotelu. Właściciel „Eagle Commercial” poznał go od razu jako własność niejakiego Hargrave’a, który wynajął tam pokój przed dwoma dniami. Cały jego bagaż składał się z tego roweru i małej walizki. Wpisał się jako gość z Londynu, ale nie podał adresu. Waliza została zrobiona w Londynie, rzeczy w niej były pochodzenia angielskiego, ale ten człowiek był niewątpliwie Amerykaninem.

— Dobrze, dobrze — rzekł Holmes wesoło. — Dokonał pan w istocie ważnych rzeczy w czasie, kiedy snulem teorie z moim przyjacielem. To lekcja praktyczności, panie MacDonald.

— Otóż to, panie Holmes — powiedział inspektor z zadowoleniem.

— Ale to wszystko zgadza się z twoimi teoriami — zauważyłem.

— Może tak, a może nie. Ale chciałbym posłuchać do końca, inspektorze. Nie było tam niczego, po czym można by zidentyfikować tego człowieka?

— Znaleźliśmy raczej dowody, że starał się ukryć swoje nazwisko. Nie pozostawił żadnych papierów ani listów, ani nawet znaków na ubraniu. Na stoliku w jego pokoju leżała mapa rowerowa hrabstwa. Opuścił hotel na rowerze wczoraj rano po śniadaniu i nikt o nim więcej nie słyszał aż do naszych poszukiwań.

— To właśnie mnie zastanawia, panie Holmes — rzekł White Mason. — Należałoby wnosić, że gdyby nie chciał wzbudzać podejrzeń, powinien był wrócić i pozostać w hotelu jako nieszkodliwy turysta. W tym stanie rzeczy musiał jednak wiedzieć, że właściciela hotelu zamelduje policji i że jego zniknięcie zostanie powiązane z morderstwem.

<sup>34</sup>*genius loci* (łac.) — duch opiekuńczy miejsca. [przypis edytorski]

— Tak by należało przypuszczać. W każdym razie do tej pory okazał się dość mądry, skoro nie został ujęty. A jego opis?

MacDonald sięgnął po notatnik.

— Mam go w ogólnych zarysach. Wygląda na to, że nie przyjrzeni mu się specjalnie, ale mimo to portier, służący i pokojówka zgadzają się w pewnych szczegółach. Był to mężczyzna wysoki, prawie pięć stóp i dziewięć cali, lat około pięćdziesięciu, z włosami przyprószonymi siwizną, siwiejącym wąsem, zakrzywionym nosem i twarzą, którą wszyscy opisują jako dziką i odpychającą.

— Ba! Pominąwszy wyraz twarzy, mógłby to być także rysopis samego Douglasa — rzekł Holmes. — On też ma około pięćdziesięciu lat, siwiejące włosy i wąsy, jest mniej więcej tego samego wzrostu. Dowiedzieli się panowie czegoś więcej?

— Ubrany był w gruby, szary garnitur, krótkie, żółtawe palto i miękką czapkę.

— A strzelba?

— Ma niecałe dwie stopy długości. Mogłaby się łatwo zmieścić w walizce. Mógł ją bez trudu ukryć pod paltem.

— A jak pan sądzi, na ile to wszystko zgadza się z główną sprawą?

— Kiedy ujmiemy tego człowieka, panie Holmes — rzekł MacDonald — a może pan być pewny, że w pięć minut po zebraniu tych informacji rozesłałem telegraficznie jego rysopis — będziemy mogli to lepiej ocenić. Ale i teraz zrobiliśmy już wielki krok naprzód. Wiemy, że Amerykanin pod nazwiskiem Hargrave przybył przed dwoma dniami do Tunbridge Wells z rowerem i walizką. W walizce tej znajdowała się strzelba z uciętymi lufami, przybył zatem w celach zbrodniczych. Wczoraj rano wybrał się tutaj na rowerze ze strzelbą ukrytą pod paltem. Nikt nie zauważył jego przybycia, o ile mogliśmy to stwierdzić, ale nie miał potrzeby przejeżdżać przez wieś w drodze do bram parku, a na gościńcu kręci się wielu cyklistów<sup>35</sup>. Prawdopodobnie od razu ukrył rower w krzakach laurowych, gdzie go znaleziono, i pewnie sam się tam zaczął, mając dom na oku i czekając na pojawienie się pana Douglasa. Strzelba to dziwna broń do strzelania w domu, ale miał zamiar użyć jej na zewnątrz, a wtedy ma swoje korzyści, tym bardziej że nie spodziewał się chybić, a odgłos wystrzałów jest rzeczą tak pospolitą w myśliwskiej Anglii, że nie zwróciłyby szczególnej uwagi.

— To jasne — rzekł Holmes.

— Pan Douglas nie się zjawił. Cóż miał dalej robić? Zostawił rower i o zmierzchu poszedł w stronę domu. Most był spuszczonej. Nie widział nikogo w pobliżu. Wykorzystał szansę, niewątpliwie obmyśliwszy jakąś wymówkę, gdyby kogoś spotkał. Ale nie spotkał nikogo. Wślizgnął się do pierwszego lepszego pokoju i ukrył się za zasłoną. Stąd zobaczył, że most podniesiono, i zrozumiał, że pozostaje mu tylko ucieczka przez fosę. Czekał do kwadrans po jedenastej, kiedy pan Douglas, robiąc swój zwykły wieczorny obchód, wszedł do pokoju. Zastrzelił go i uciekł, jak stwierdzono. Zdawał sobie sprawę, że jego rower zostanie rozpoznany przez służbę hotelową i będzie dowodem przeciw niemu, zostawił go zatem i przedostał się w inny jakiś sposób do Londynu albo do jakiejś bezpiecznej kryjówki, którą wcześniej przygotował. Cóż pan na to, panie Holmes?

— Cóż, inspektorze, w tym wyjaśnieniu to bardzo ładne i jasne. Ale to pańskie zapatrywanie. Według mnie zbrodnię popełniono pół godziny wcześniej, niż nam mówią. Pani Douglas i pan Barker są w zмовie i chcą coś ukryć. Pomogli mordercy w ucieczce — a przynajmniej weszli do pokoju, zanim uciekł — i sfabrykowali dowody jego ucieczki przez okno, podczas gdy według wszelkiego prawdopodobieństwa sami pozwolili mu się wymknąć, opuszczając most. Takie jest moje wyjaśnienie pierwszej części tej historii.

Obaj detektywi potrząsnęli głowami.

— No cóż, panie Holmes, ale jeśli to prawda, to wpadamy z jednej tajemnicy w drugą — rzekł inspektor z Londynu.

— I to nawet w gorszą — dodał White Mason. — Ta pani nigdy w życiu nie była w Ameryce. Cóż mogłoby ją łączyć z amerykańskim mordercą, co skłaniałoby ją, żeby go osłaniać?

— Przyznaję, że są pewne trudności — rzekł Holmes. — Mam zamiar dzisiejszej nocy przeprowadzić sam małe dochodzenie i możliwe, że przyniesie ono coś ciekawego.

<sup>35</sup>cyklista (daw.) — rowerzysta. [przypis edytorski]



— Czy możemy panu w czymś pomóc, panie Holmes?

— Nie, nie. Wystarczy mi ciemność i parasol doktora Watsona. A Ames, wierny Ames, bez wątpienia będzie dla mnie wyrozumiały. Moje myśli zmierzają wciąż w jednym, zasadniczym kierunku: czemu dbający o swoją formę mężczyzna ćwiczy, posługując się tak nienaturalnym przyrządem jak pojedynczy ciężarek?

Była późna noc, kiedy Holmes wrócił ze swojej samotnej wycieczki. Mieszkaliśmy w pokoju o dwóch łózkach, najlepszym, jaki można było znaleźć w małej, wiejskiej oberży. Spałem, kiedy obudziło mnie jego wejście.

— I cóż, Holmesie — mruknąłem — znalazłeś coś?

Stał chwilę obok mnie w milczeniu, ze świecą w ręce. Potem jego wysoka, chuda postać pochyliła się nade mną.

— Czy bałbyś się, Watsonie — szepnął — spędzić noc w tym samym pokoju z wariatem, człowiekiem cierpiącym na rozmiękczenie mózgu, idiotą i półgłówkiem?

— Bynajmniej — odpowiedziałem zdumiony.

— To szczęście — rzekł.

Tę noc nie mogłem się od niego już niczego więcej dowiedzieć.

## ROZDZIAŁ VII. ROZWIĄZANIE

Nazajutrz rano po śniadaniu zastaliśmy inspektora MacDonalda i pana White'a Masona zajętych poważną rozmową w małym pokoju miejscowego sierżanta policji. Na stole przed nimi leżał stos listów i telegramów, które uważnie przeglądali i rejestrowali. Trzy z nich leżały odłożone na bok.

— Wciąż na tropie nieuchwytnego cyklisty? — zapytał Holmes wesoło. — Jakie ostatnie wieści o tym gałganie?

MacDonald wskazał żałośnie na stos korespondencji.

— Donoszą o nim obecnie z Leicester, Nottingham, Southampton, Derby, East Ham, Richmond i czternastu innych miejscowości. W trzech z nich — East Ham, Leicester i Liverpoolu — poznano go i zaaresztowano. Cała okolica jest, jak się zdaje, pełna uciekinierów w żółtawych paltach.

— Mój Boże! — powiedział Holmes ze współczuciem. — A teraz posłuchajcie mnie, panowie. Chciałbym panom udzielić pewnej dobrej rady. Kiedy przystąpiłem do sprawy razem z panami, umówiłem się, że nie będę przedstawiał nieugruntowanych teorii, ale zamilczę i opracuję swoje pomysły do chwili, kiedy będę je uważał za pewne. Z tego powodu nie mogę teraz panom jeszcze powiedzieć wszystkiego, co myślę. Z drugiej strony, przyrzekłem, że zachowam się w stosunku do panów jak należy, a sądzę, że nie byłoby ładnie z mojej strony pozwolić panom choćby na chwilę tracić siły na bezużyteczną robotę. Dlatego przyszedłem tu dać panom jedną radę, a rada moja zamyka się w trzech słowach: zostawcie tę sprawę.

MacDonald i White Mason spojrzeli zdumieni na swojego słynnego kolegę.

— Pan uważa sprawę za beznadziejną — zawołał inspektor.

— Uważam panów sprawę za beznadziejną. Uważam, że tą drogą nigdy panowie nie dojdziecie do prawdy.

— Ale cyklista. On nie jest wymysłem. Mamy jego opis, jego walizkę, jego rower. Ten człowiek gdzieś musi być. Dlaczego nie mieliśmy go schwytać?

— Tak, tak, on jest gdzieś, bezwarunkowo schwytny go, ale nie chciałbym, aby panowie tracili siły w East Ham albo w Liverpoolu. Jestem pewny, że dojdziemy do celu krótszą drogą.

— Pan coś ukrywa. To nieładnie, panie Holmes — Inspektor był urażony.

— Pan zna moją metodę pracy, inspektorze. W każdym razie ukrywać będę jak najkrócej. Chcę tylko w pewien sposób sprawdzić swoje spostrzeżenie, co da się łatwo zrobić, a potem kłaniam się pięknie i wracam do Londynu, pozostawiając panom do wykorzystania owoce moich poszukiwań. Nie dziwię się, że panowie idą za innym śladem, gdyż w całej swojej praktyce nie przypominam sobie ciekawszego i bardziej niezwykłego zagadnienia.

— Tego nie pojmuję, panie Holmes. Widzieliśmy się z panem ubiegłej nocy po powrocie z Tunbridge Wells i wtedy zgadzał się pan z nami w zupełności. Co pana skłoniło w ciągu tego czasu do zmiany zapatrywań na sprawę?

— Skoro pan o to pyta, że skłonił mnie do tego kilkugodzinny pobyt we dworze ubiegłej nocy, o którym panów zresztą wczoraj uprzedzałem.

— I cóż się stało?

— Ach! Na razie mogę panom odpowiedzieć tylko ogólnikowo. Ale czytałem, wspomnę tu mimochodem, krótki, ale jasny i interesujący opis starego budynku, który można nabyć w miejscowym sklepie z tytoniem za skromną sumę jednego pensa.

Tu Holmes wydobyl z kieszeni małą książeczkę, przyozdobioną prymitywnym rysunkiem starego dworu.

— To ogromnie dodaje werwy śledztwu, drogi inspektorze, jeśli się wchłonie się historyczną atmosferę otoczenia. Proszę się tak nie niecierpliwić, zapewniam, że nawet ten pobieżny opis umożliwi odtworzenie w wyobraźni obrazu przeszłości. Proszę pozwolić służyć sobie próbką: „Zbudowany w piątym roku panowania Jakuba I, stojący na fundamentach jeszcze starszego budynku, dwór Birstone jest jednym z najstarszych, dotąd zachowanych przykładów otoczonych fosą rezydencji z tej epoki”...

— Pan sobie z nas żartuje, panie Holmes.

— No, no, inspektorze! Pierwszy raz widzę, że się pan niecierpliwi. Dobrze, nie będę tego czytał zdanie po zdaniu, skoro pan tak bardzo oponuje. Ale kiedy powiem, że są tu wzmianki o zajęciu dworu w 1644 roku przez jakiegoś pułkownika działającego z ramienia Parlamentu, o ukrywaniu się tutaj króla Karola<sup>36</sup> przez kilka dni w czasie wojny domowej<sup>37</sup> i wreszcie o wizycie Jerzego II<sup>38</sup>, przyzna pan, że ten stary dom budzi pod pewnymi względami zaciekawienie.

— Nie wątpię, panie Holmes, ale to nie nasza sprawa.

— Doprawdy? Doprawdy? W naszym zawodzie, drogi inspektorze, potrzebna jest pewna wszechstronność. Oddziaływanie na siebie pomysłów i pośrednie wykorzystanie wiedzy mają często pierwszorzędne znaczenie. Proszę wybaczyć te uwagi człowiekowi, który chociaż jest amatorem, ma więcej lat i może więcej doświadczenia niż pan.

— Przyznaję to zawsze — rzekł serdecznie detektyw. — Pan zdąży do celu, ale ma pan taki dziwny sposób dochodzenia do niego okrężną drogą.

— Dobrze więc, dam spokój historii i przejdę do teraźniejszości. Byłem ubiegłej nocy, jak już mówiłem, we dworze. Nie spotkałem się ani z panem Barkerem, ani z panią Douglas. Nie chciałem ich niepokoić. Za to z przyjemnością dowiedziałem się, że pani nie jest bardzo zmartwiona i że zjadła doskonały obiad. Specjalnie odwiedziłem pocziwego Amesę, z którym wymieniłem kilka uprzejmości i który bez zwracania się do kogokolwiek innego pozwolił mi spędzić pewien czas samemu w gabinecie.

— Co? Z tym?... — wykrzyknąłem.

— Nie, nie. Już wszystko uprzątnięto. Podobno za pańskim zezwoleniem, inspektorze. Pokój wygląda całkiem normalnie. Spędziłem w nim pouczający kwadrans.

— I cóż pan tam robił?

— Nie potrzebuję robić z tego tajemnicy. Szukałem ciężarka. Nie dawał mi spokoju w tej sprawie. I w końcu go znalazłem.

— Gdzie?

— Ach! Tu jesteśmy znów na progu tajemnicy. Pozwólcie mi, panowie, posunąć się jeszcze trochę, tylko troszeczkę, a będziecie wiedzieć wszystko, co sam wiem.

— Dobrze. Przyjmujemy pańskie warunki — rzekł inspektor — ale jeśli chodzi o zaniechanie sprawy... Po cóż na miłość boską, mielibyśmy zarzucać śledztwo?

<sup>36</sup>Karol I Stuart (1600–1649) — król Anglii i Szkocji (od 1625), następca Jakuba I Stuarta; z powodu wieloletniego konfliktu z parlamentem, chybionej polityki podatkowej i religijnej oraz dążeń absolutystycznych doszło do powstania, a następnie wojny domowej (1642–1651, zw. też rewolucją angielską), król został uwięziony, osądzony i ścięty. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>wojna domowa w Anglii (1642–1648) — wojna domowa w Anglii pomiędzy zwolennikami króla Karola I a opozycją parlamentarną; zakończona zwycięstwem armii Parlamentu pod dowództwem Olivera Cromwella, ścięciem króla i ogłoszeniem Anglii republiką. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>Jerzy II Hanowerski (1683–1760) — król Wielkiej Brytanii (od 1727) z dynastii hanowerskiej. [przypis edytorski]

— Z bardzo prostego powodu, drogi inspektorze. Panowie nie wiecie przede wszystkim, co badacie.

— Badamy sprawę morderstwa pana Johna Douglasa z dworu Birlstone.

— Tak, to prawda. Ale niech się panowie nie silą na schwytanie tajemniczego rowe-rzysty. Zapewniam panów, że to nic nie pomoże.

— A zatem, co nam pan radzi zrobić?

— Powiem panom, jeżeli to zrobicie.

— Przyznaję, że mimo pańskich dziwnych sztuczek miał pan, jak widziałem, zawsze słuszność. Przyjmę pańską radę.

— A pan, panie White Mason?

Miejscowy detektyw spoglądał bezradnie to na jednego, to na drugiego. Holmes i jego metody były dla niego czymś zupełnie nowym.

— Jeśli to dobre dla inspektora, będzie dobre i dla mnie — rzekł w końcu.

— Doskonale! — rzekł Holmes. — A zatem, zaproponuję panom ładny spacer po okolicy. Mówiono mi, że widok z pagórków Birlstone na Weald jest naprawdę wspaniały. Dostaniemy coś do zjedzenia w jakiejś porządniejszej gospodzie, chociaż nieznajomość okolicy uniemożliwia mi polecenie panom konkretnej. Wieczorem wrócimy zmęczeni, ale szczęśliwi...

— To już przechodzi wszelkie granice! — zawołał MacDonald, wstając z krzesła roz-gniewany.

— Dobrze, zatem niech panowie spędzą dzień, jak chcą — rzekł Holmes, klepiąc go z humorem po ramieniu. — Robią, co chcą, i idą, gdzie chcą, ale koniecznie proszę spotkać się ze mną przed wieczorem... koniecznie, inspektorze.

— To już brzmi rozsądniej.

— To były doskonałe rady, ale nie nalegam, jeśli tylko panowie będą na miejscu, kiedy będę panów potrzebował. Ale nim się pożegnamy, chciałbym, aby pan napisał kilka słów do pana Barkera.

— Dobrze.

— Ja panu podyktuję. Można?... „Szanowny Panie, doszedłem do przekonania, że powinniśmy spuścić wodę z fosy, gdyż może uda nam się znaleźć...”

— To niemożliwe — rzekł inspektor. — Dowiadywałem się...

— Sza, drogi panie! Niech pan robi, o co proszę.

— Dobrze, piszemy.

— „...może uda nam się znaleźć coś, co nam ułatwi śledztwo. Zarządziłem, aby robotnicy zabrali się do pracy jutro wcześniej rano i odwrócili bieg strumienia...”

— To niemożliwe!

— „...odwrócili bieg strumienia. Uznałem za swój obowiązek poinformować Pana o tym z wyprzedzeniem”. A teraz proszę podpisać i wysłać ten list około czwartej. O tej godzinie spotkamy się tutaj. Do tego czasu możemy robić, co się nam podoba, gdyż zapewniam pana, że musimy chwilowo przerwać śledztwo.

Wieczór zapadał, kiedy zebraliśmy się znowu. Holmes był swoim zwyczajem bardzo poważny, ja zaciękawiony, a detektywi wyraźnie nieufni i zdenerwowani.

— Dobrze, panowie — rzekł mój przyjaciel uroczyście. — Proszę teraz osądzić, czy moje spostrzeżenia uprawniają do wyprowadzenia wniosków, do których doszedłem. Jest chłodny wieczór i nie wiem, jak długo pozostaniemy na zewnątrz, dlatego proszę, aby panowie się ciepło ubrali. Jest rzeczą pierwszorzędną wagi, abyśmy byli na stanowisku, zanim zapadnie noc, dlatego, jeśli panowie pozwolą, pójdziemy od razu.

Poszliśmy wzdłuż parku do miejsca, gdzie była dziura w zamykającym go ogrodzeniu. Wślizgnęliśmy się do środka, a potem w zapadających ciemnościach szliśmy za Holmesem aż do kępy krzaków, które rosły prawie na wprost głównych drzwi i zwodzonego mostu. Mostu jeszcze podniesiono. Holmes przykucnął za osłoną z laurowych krzaków, a my poszliśmy za jego przykładem.

— Co mamy teraz robić? — zapytał MacDonald trochę szorstko.

— Uzbroić się w cierpliwość i nie robić hałasu — odpowiedział Holmes.

— Po cośmy tu w ogóle przyszli? Mógłby pan mieć do nas nieco więcej zaufania.

Holmes roześmiał się.

— Watson twierdzi, że lubię efekty dramatyczne — rzekł. — Jestem poniekąd artystą i coś w mojej duszy ustawicznie domaga się dobrze wyreżyserowanych przedstawień. Zaiste, nasz zawód, inspektorze, byłby bezbarwny i mało wartościowy, gdybyśmy czasem nie mieli zagrać sceny gloryfikującej wyniki naszej pracy. Bezceremonialne oskarżenie, brutalne klepięcie po ramieniu — cóż by to było za rozwiązanie? Ale szybko po sobie następujące wypadki, zręcznie zastawiona pułapka, inteligentne przewidywanie tego, co ma nastąpić, tryumfalne uzasadnienie śmiałych teorii — czyż to nie chluba i usprawiedliwienie naszej życiowej pracy? W tej chwili jest pan pod wrażeniem sytuacji i jak myśliwego przenika pana dreszcz w oczekiwaniu niespodzianki. Gdybym był obliczalny jak chronometr, tego dreszczu by nie było. Proszę pana, inspektorze, tylko o trochę cierpliwości, a wszystko będzie jasne.

— Dobrze, ale mam jednak nadzieję, że chluba, usprawiedliwienie i cała reszta nadejdą, zanim się śmiertelnie przeziębimy — rzekł detektyw z Londynu z komiczną rezygnacją.

Mieliśmy słuszny powód podzielać tę nadzieję, gdyż nasze czuwanie było długie i przykre. Ciemności otulały z wolna długi, ponury dom. Zimny, wilgotny powiew od fosy przemroził nas do kości, tak że szczękaliśmy zębami. Nad bramą paliła się pojedyncza lampa, a w fatalnym gabinecie widniała kula silnego światła. Poza tym wszędzie spokój i cisza.

— Jak długo to będzie trwało? — zapytał nagle inspektor. — I na co właściwie czekamy?

Holmes odparł trochę szorstko.

— Gdyby przestępcy zawsze działali według harmonogramów jak pociągi, byłoby to z pewnością wygodniejsze dla nas wszystkich. A co do tego, na co... to właśnie to, na co czekamy!

Kiedy wymawiał te słowa, na jasnym, żółtawym tle świetlnym w gabinecie zamigotał cień, jakby ktoś przeszedł przez pokój. Krzaki laurowe, w których leżeliśmy ukryci, rosły na wprost okna, nie dalej niż sto stóp od niego. Okno otworzyło się teraz z pewnym zgrzytem i zobaczyliśmy mglisty zarys głowy i barków mężczyzny, który spoglądał w ciemność. Przez kilka minut wpatrywał się w nią niepewnym, podejrzliwym wzrokiem, jak ktoś pragnący się upewnić, że nikt go nie widzi. Potem pochylił się i w zupełnej ciszy usłyszeliśmy plusk wody. Poruszał wodę w fosie jakimś przedmiotem trzymanym w ręce. Potem coś wyłowił, jak rybak wyciągający rybę, jakiś wielki, okrągławy ciężar, który zasłonił światło, kiedy go przeciągnął przez otwarte okno.

— Teraz! — krzyknął Holmes. — Teraz!

Zerwaliśmy się wszyscy na nogi i popędziliśmy za nim, na ile pozwalały nam zdrętwiałe nogi, podczas gdy on w jednym z tych przypliwów energii, która w odpowiednim czasie czyniła z niego najsilniejszego i najruchliwszego człowieka, jakiego znałem, przebiegł przez most i gwałtownie zadzwonił. Dał się słyszeć zgrzyt odsuwanej zasuwki i u wejścia stanął zdumiony Ames. Holmes odsunął go na bok bez słowa i razem z nami wpadł do pokoju, w którym widzieliśmy mężczyznę. Światło widoczne z zewnątrz pochodziło ze stojącej na stole lampy naftowej. Cecil Barker trzymał ją teraz w ręku i wyciągnął ku nam, kiedy weszliśmy. Jej światło padało na jego męską, odważną, gładko ogoloną twarz i groźne oczy.

— Cóż to, u diabła, ma znaczyć? Czego szukacie?!

Holmes rozejrzał się szybko dokoła. Jego wzrok padł na pokryte szlamem, obwiązane sznurem zawiniątko, które leżało pod biurkiem.

— Oto, czego szukamy, panie Barker. Zawiniątko, obciążone ciężarkiem do gimnastyki, które pan właśnie wyjął z fosy.

Barker spojrzął na Holmesa zdumiony.

— Skąd pan to wie? — zapytał.

— Ponieważ sam je tam wrzuciłem.

— Pan je wrzucił? Pan?

— Właściwie powinienem powiedzieć „wrzuciłem je z powrotem” — rzekł Holmes. — Przypomina pan sobie, inspektorze MacDonald, że uderzył mnie brak ciężarka. Zwróciłem na to pańską uwagę, ale pod wrażeniem innych wypadków nie zastanowił się pan

zbytńio nad faktem, z którego można było wyciągnąć pewne wnioski. Kiedy w pobliżu jest woda i brakuje jakiegos ciężkiego przedmiotu, można się zawsze spodziewać, że coś zostało zatopione. W każdym razie chciałem to stwierdzić i z pomocą Ames, który wpuścił mnie do pokoju, oraz zakrzywionego parasola doktora Watsona mogłem ubiegłej nocy wyłowić i oglądać zawiniątko. Było jednak rzeczą pierwszorzędną wagi, abyśmy się przekonali, kto je wrzucił do wody. Udało się to dzięki przesłaniu zawiadomienia, że fosa zostanie jutro osuszona, co miało oczywiście ten skutek, że ten, kto ukrył zawiniątko, uznał za konieczne wydobyć je, gdy tylko zapadnie zmrok. Jest nas czterech świadków, którzy widzieli, kto skorzystał z odpowiedniego momentu, tak że teraz pańską rzecz, panie Barker, jest usprawiedliwić się.

Sherlock Holmes położył powalane błotem zawiniątko na stolik obok lampy i rozwiązał je. Wyciągnął ze środka ciężarek, który rzucił w kąt do drugiego ciężarka. Potem wyjął z zawiniątka parę butów.

— Amerykańskie, jak panowie widzą — rzekł, wskazując na czubki.

Potem położył na stole długi, śmiercionośny nóż w pochwie. W końcu rozwinął paczkę ubrań, zawierającą komplet bielizny, skarpetki, szary garnitur i krótkie, żółtawe palto.

— Ubranie jest zupełnie zwyczajne — zauważył Holmes — z wyjątkiem kurtki, która ma szereg podejrzanych znamion.

Trzymał ją do światła, przesuwając po niej długimi, szczupłymi palcami.

— Tu, jak panowie widzą, mamy wewnętrzną kieszeń, przedłużoną w taki sposób, aby się w niej zmieściła ucięta strzelba. Na kołnierzu metka krawiecka: „Neale, Vermissa, USA”. Spędziłem po południu kilka godzin w bibliotece proboszcza i poszerzyłem swoje wiadomości przez stwierdzenie, że Vermissa jest małym, kwitnącym miasteczkiem w Stanach Zjednoczonych, w głębi jednej z najważniejszych dolin bogatych w żelazo i węgiel. Przypomniałem sobie, panie Barker, że według pana istnieje jakiś związek między zagłębiami węglowymi i pierwszą żoną pana Douglasa. Nie byłby to zatem zbyt daleko posunięty wniosek, że litery „D. V.” na kartce znalezionej przy zwłokach mają oznaczać „Dolina Vermissy” i że ta właśnie dolina, z której wyruszyli zabójcy, jest Doliną Trwogi, o której słyszeliśmy. To jasne. A teraz oczekujemy wyjaśnień z pańskich ust, panie Barker.

Warto było zobaczyć wyrazistą twarz Cecila Barkera podczas tej przemowy wielkiego detektywa. Kolejno pojawiały się na niej gniew, zdumienie, konsternacja i niepewność. W końcu uciekł się do cierpkiej ironii.

— Pan wie tak wiele, panie Holmes, że może pan nam powiedzieć jeszcze więcej — rzekł z przekąsem.

— Nie wątpię, że mógłbym powiedzieć więcej, ale wolałbym, panie Barker, aby mnie pan wyręczył.

— Tak pan sądzi? Otóż mogę co najwyżej powiedzieć, że jeśli jest tu jakaś tajemnica, to nie moja i nie mogę jej wyjawić.

— Jeśli pan tak stawia sprawę, panie Barker — rzekł spokojnie inspektor — to będziemy mieli pana na oku aż do nadejścia nakazu aresztowania.

— Mogą panowie robić, co chcą — odparł Barker wyzywająco.

Zdawało się, że nic więcej nie uzyskamy, gdyż jeden rzut oka na jego granitową twarz przekonywał, że żadna ludzka siła nie zdołałaby zmienić jego postanowienia. Ciszę przerwał jednak kobiecy głos. Pani Douglas, która stała w uchylonych drzwiach, przysłuchując się, weszła teraz do pokoju.

— Dostyc już dla nas zrobileś, Cecilu — rzekła. — Cokolwiek z tego wyniknie, zrobileś już dostyc.

— Dostyc i więcej niż dostyc — poważnie stwierdził Sherlock Holmes. — Bardzo pani współczuję i prosiłbym usilnie, aby zaufała pani naszym sądom i opowiedziała wszystko policji. Może zawniłem, że nie chciałem skorzystać z pani wskazówki, przekazanej przez mego przyjaciela, doktora Watsona, ale wówczas miałem podstawy sądzić, że jest pani bezpośrednio zamieszana w tę zbrodnię. Teraz wiem, że tak nie jest. Mimo to wiele rzeczy pozostaje niewyjaśnionych i dlatego dobrze by było, gdyby poprosiła pani pana Douglasa, żeby opowiedział swoją historię.

Po tych słowach pani Douglas wydała okrzyk zdziwienia. Detektywi i ja również nie mogliśmy powstrzymać okrzyku, kiedy spostrzegliśmy jakiegoś mężczyznę, który wyłonił

się jakby wprost ze ściany i szedł ku nam z ciemnego kąta. Pani Douglas odwróciła się i w jednej chwili otoczyła go ramionami. Barker uściśnął jego wyciągniętą dłoń.

— Tak będzie najlepiej, Jacku — powiedziała jego żona. — Jestem pewna, że tak będzie najlepiej.

— Istotnie, panie Douglas — rzekł Sherlock Holmes. — I ja jestem przekonany, że tak będzie najlepiej.

Mężczyzna stał, mrugając powiekami jak ktoś wychodzący z ciemności na światło. Miał godną uwagi twarz: bystre, szare oczy, szerokie, krótko przystryżone, siwawe wąsy, kwadratowy, wystający podbródek i kapryśne usta. Przyglądał się nam wszystkim, a potem ku mojemu zdumieniu podszedł do mnie i podał mi zwitek papieru.

— Słyszałem o panu — rzekł miękko, przyjemnym głosem, bez wyraźnego angielskiego czy amerykańskiego akcentu. — Pan jest kronikarzem tego towarzystwa. Zapewniam pana, doktorze, że nie spotkał się pan jeszcze z taką historią. O to jestem gotów się założyć. Opowie pan wszystko po swojemu, ale są tu fakty, które nie powinny pozostać tajemnicą. Byłem zamknięty przez dwa dni i spędziłem godziny dzienne, chociaż w tej norze niewiele miałem światła, na ubraniu faktów w słowa. Pozostawiam je ocenie pańskiej i publiczności. Oto historia Doliny Trwogi.

— To przeszłość, panie Douglas — rzekł Sherlock Holmes spokojnie. — Chcielibyśmy jednak usłyszeć, co się panu przytrafiło... teraz.

— Spełnię pańską prośbę, proszę pana — rzekł Douglas. — Czy mógłbym palić podczas opowiadania? Dziękuję, panie Holmes. Pan sam pali, o ile sobie przypominam, więc może pan sobie wyobrazić, jaka to męka siedzieć dwa dni z tytoniem w kieszeni i bać się zapalić, żeby dym mnie nie zdradził. — Oparł się o kominek i zaciągnął się dymem z cygara, które dał mu Holmes. — Słyszałem o panu, panie Holmes. Nigdy nie przypuszczałem, że się spotkamy. Ale zanim jeszcze pan się z tym zapozna — wskazał na podane mi papiery — musi pan przyznać, że zawdzięcza mi pan coś nowego.

Inspektor MacDonald przyglądał się nowo przybyłemu z największym zdumieniem.

— Zupełnie nie pojmuję! — zawołał wreszcie. — Jeśli pan jest Johnem Douglasem z Birlstone, to czyje zabójstwo badamy od dwóch dni i skąd pan się, u diabła, tu wziął? Wyskoczył pan jak diabeł z pudełka.

— Ach, inspektorze — rzekł Holmes, grożąc palcem na znak wyrzutu — nie chciał pan czytać miejscowej broszury opisującej ukrywanie się króla Karola. Ludzie kryli się wówczas w specjalnie zbudowanych kryjówkach, a kryjówka, z której korzystano, może być w każdej chwili ponownie wykorzystana. Przewidziałem, że znajdziemy pana Douglasa pod tym dachem.

— Jak długo pan sobie z nas żartował, panie Holmes? — powiedział gniewnie inspektor. — Jak długo kazał nam pan marnować czas na poszukiwania, które uważał pan za bezsensowne?

— Ani chwili, drogi inspektorze. Dopiero ubiegłej nocy wyrobiłem sobie jasny pogląd na sprawę. Ponieważ przed wieczorem nie mogłem uzyskać dowodów, zaproponowałem panu i pańskiemu koledze całodzienny spacer, cóż mogłem więcej zrobić? Kiedy znalazłem w fosie zawiniątko z ubraniem, stało się dla mnie od razu jasne, że ciało znalezione przez nas nie mogło być w ogóle ciałem pana Johna Douglasa, ale było ciałem cyklisty z Tunbridge Wells. Innego wniosku nie można było wyciągnąć. Dlatego postanowiłem przekonać się, gdzie jest sam pan Douglas, a przypuszczałem, że według wszelkiego prawdopodobieństwa z pomocą żony i przyjaciela ukrył się w domu tak dogodnym dla uciekiniera i czekał na sposobność, aby dokonać ostatecznej ucieczki.

— Tak, dobrze pan to ujął — rzekł pan Douglas z uznaniem. — Myślałem, że oszukam wasze brytyjskie prawo, bo nie wiedziałem, jak będę według niego odpowiadał za swoje czyny, a poza tym dostrzegłem sposobność, żeby ścigające mnie psy na zawsze zgubiły trop. Nie mam się czego wstydić i to, co zrobiłem, zrobiłbym ponownie, ale osądzą to panowie sami, kiedy opowiem moją historię. Nie potrzebuje mnie pan ostrzegać, panie inspektorze, za prawdę dam się zabić.

Nie chcę zaczynać od samego początku. Wszystko jest tam — wskazał na zwitek papierów, które trzymałem — i wiele szczegółów wprawi panów w zdumienie. Wszystko sprowadza się do tego, że pewni ludzie mają powody, żeby mnie nienawidzić i oddaliby ostatniego dolara, aby mnie dostać w swoje ręce. Jak długo żyję i jak długo oni żyją,

nie ma dla mnie bezpiecznego miejsca na świecie. Ścigali mnie z Chicago do Kalifornii, potem zmusili do ucieczki z Ameryki, ale kiedy się ożeniłem i osiadłem w tym zacisznym zakątku, sądziłem, że moje ostatnie lata upłyną w spokoju. Żonie nigdy nic nie mówiłem. Po co miałem ją do tego mieszać? Nie miałyby ani chwili spokoju i ciągle spodziewałyby się nieszczęścia. Przypuszczam, że coś wiedziała, bo mogłem się czasem zdradzić jakimś słowem, ale aż do wczoraj, jeszcze wówczas, kiedy panowie z nią rozmawiali, nie знаła całej prawdy. Powiedziała panom wszystko, co wiedziała, tak samo jak Barker, gdyż w nocy, kiedy się to wszystko stało, nie było czasu na wyjaśnienia. Teraz wie już wszystko i postąpiłbym mądrzej, gdybym jej o tym wcześniej powiedział. Ale to była trudna sprawa, najdroższa — ujął na chwilę jej dłoń — miałem najlepsze zamiary.

A zatem, panowie, w przeddzień tych fatalnych wydarzeń byłem w Tunbridge Wells i spostrzegłem na ulicy pewnego człowieka. Zaledwie jeden rzut oka, ale szybko się orientuję w tych sprawach i nie miałem wątpliwości. To był mój najgorszy wróg, który ścigał mnie od lat, jak głodny wilk ściga karibu. Wiedziałem, że grozi mi niebezpieczeństwo, dlatego po powrocie do domu przygotowałem się. Przypuszczałem, że dam sobie radę. Swego czasu moje szczęście było przysłowiowe w całych Stanach Zjednoczonych. Nie wątpiłem, że nie opuści mnie i teraz.

Przez cały następny dzień pilnowałem się i nie wychodziłem do parku. To mnie uratowało, bo w przeciwnym razie niechybnie by mnie zastrzelił. Kiedy podniesiono most — byłem zawsze spokojniejszy, kiedy wieczorem podnoszono most — zapomniałem o całej sprawie. Nie spodziewałem się, że mógłby wejść do domu i czyhać na mnie. Kiedy wieczorem jak zwykle obchodziłem dom dokoła i wszedłem do gabinetu, od razu zwietrzyłem niebezpieczeństwo. U człowieka, który był w życiu w niejednej niebezpiecznej sytuacji — a ja przeżyłem takich sytuacji wiele — wyrabia się jakby szósty zmysł, który ostrzega. Poczulem zatem sygnał bliskiego niebezpieczeństwa, chociaż nie mógłbym powiedzieć dlaczego. W następnej chwili dostrzegłem pod kotarą czubek buta i już wiedziałem, skąd moja instynktowna obawa.

W rękę miałem tylko świecę, ale przez otwarte drzwi wpadało jasne światło lampy z przedsonka. Postawiłem świecę i skoczyłem po młotek, który zostawiłem na kominiku. W tej samej chwili ten człowiek rzucił się na mnie. Ujrzałem błysk noża i uderzyłem napastnika młotkiem. Nóż upadł na podłogę. Umknął za stół szybko jak węgorz i w jednej chwili wyciągnął strzelbę spod palta. Usłyszałem, że odciąga kurki, ale chwyciłem za nią, zanim zdążył wypalić. Trzymałem za lufy i szamotałem się z nim przez minutę czy dłużej. Ten, który by wypuścił strzelbę z rąk, zginąłby. Trzymał ją mocno, ale w pewnym momencie zniżył kolbę. Może to ja pociągnąłem za spust. Może szarpnęliśmy za niego obaj. W każdym razie dostał prosto w twarz z obu luf i w chwilę potem ujrzałem, że Ted Baldwin pada na ziemię. Poznałem go w mieście i w momencie, kiedy się na mnie rzucił, ale teraz nie poznałaby go nawet rodzona matka. Jestem bardzo wytrzymały, ale na jego widok zrobiło mi się niedobrze.

Oparłem się o stół i w tej chwili wpadł Barker. Słyszałem, że nadchodzi moja żona, pobiegłem zatem do drzwi i zatrzymałem ją. Był to widok nie dla kobiety. Powiedziałem, że za chwilę przyjdę do niej na górę. Zamieniłem kilka słów z Barkerem, który momentalnie zorientował się w sytuacji, i czekałem, aż zjawi się służba. Ale nikt nie przyszedł. Zrozumieliśmy, że nikt nic nie słyszał i tylko my wiemy, co się stało.

W tej chwili błysnęła mi myśl, która mnie wprost olśniła. Rękaw mężczyzny podwinął się, odsłaniając na jego przedramieniu wypalone piętno łoży. Spójrzcie, panowie!

Douglas rozpiął surdut i koszulę, ukazując nam brązowy trójkąt w kole, taki sam, jaki widzieliśmy u zamordowanego.

— To mi podsunęło pomysł. W jednej chwili uprzytomniłem sobie wszystko. Jego wzrost, włosy i sylwetka były mniej więcej takie same jak moje. Twarzy nikt nie mógłby rozpoznać. Zdjąłem z trupa ubranie, a w kwadrans potem z pomocą Barkera założyłem na niego swój szlafrok i zostawiliśmy zwłoki w pozycji, w jakiej panowie znaleźli je później. Jego rzeczy związałyśmy razem i wyrzuciliśmy przez okno, obciążywszy je jedynym ciężarem, jaki miałem pod ręką. Kartkę, którą miał zamiar umieścić na moich zwłokach, położyliśmy obok niego. Na palce włożyłem mu moje pierścienie, ale kiedy przysła kolej na obrączkę — wyciągnął muskularną rękę — jak panowie widzą, nie dałem rady. Nie zdecydowałem jej od dnia ślubu i trzeba by ją było chyba przeciąć. Nie wiem, czy zdecy-

Walka

dowałbym się z nią rozstać, ale choćbym nawet chciał, nie mogłem tego zrobić. Daliśmy zatem spokój. Przyniosłem jednak kawałek plastra i przykleiłem go trupowi w miejscu, gdzie sam go nosiłem. Mimo całego swojego sprytu, panie Holmes, popełnił pan błąd, bo gdyby pan zdjął ten plaster, nie znalazłby pan pod nim żadnego zacięcia na skórze.

Tak to wyglądało. I gdybym mógł się na pewien czas ukryć, a potem uciec gdzieś, gdzie żona by potem do mnie dołączyła, moglibyśmy wreszcie spędzić resztę życia w spokoju! Te diabły nigdy nie dałyby mi spokoju, ale gdyby wyczytały w gazetach, że Baldwin mnie zabił, skończyłyby się moje kłopoty. Nie miałem czasu tłumaczyć tego Barkerowi i żonie, ale zrozumieli mnie na tyle, aby mi pomóc. Wiedziałem o tej kryjówce, podobnie jak Ames, chociaż nigdy nie przyszło mu do głowy, aby powiązać ją z tą sprawą. Schowałem się w niej i powierzyłem resztę Barkerowi.

Przypuszczam, że panowie wiedzą, jak się zabrał do rzeczy. Otworzył okno i poplamiał krwią futrynę, aby stworzyć pozory, że morderca uciekł tamtędy. Mało prawdopodobne, ale skoro most był podniesiony, nie było innej drogi. Potem, kiedy już wszystko przygotował, zaczął dzwonić na alarm. Wiedzą panowie, co się później stało. Proszę robić, co panowie uważają za stosowne, ale to jest cała prawda, klnę się na Boga. A teraz chciałem zapytać, jak wyglądam w świetle angielskiego prawa?

Zapadło milczenie, które przerwał Sherlock Holmes.

— Prawo angielskie jest na ogół sprawiedliwe. Potraktuje pana tak, jak pan na to zasłużył. Ale chciałem pana spytać, skąd ten człowiek wiedział, że pan tu mieszka, kto mu powiedział, jak dostać się do pańskiego domu i gdzie się ukryć, żeby dokonać zamachu?

— Tego nie wiem.

Twarz Holmesa pobladła i spoważniała.

— Obawiam się, że to jeszcze nie koniec — powiedział. — Mogą panu grozić gorsze niebezpieczeństwa niż angielskie prawo, a nawet pańscy wrogowie z Ameryki. Powinien pan nadal mieć się na baczności.

\*

A teraz, moi cierpliwi czytelnicy, proponuję wam przeniesienie się wraz ze mną na krótki czas w okolice położone z dala od dworu Birlstone w Sussex i w czasy dawniejsze niż rok pański, w którym odbyliśmy naszą pełną wydarzeń podróż, zakończoną poznaniem dziwnej historii człowieka zwanego Johnem Douglasem. Chciałbym, żebyście cofnęli się w czasie o dwadzieścia lat i przenieśli o tysiące mil na zachód, abym mógł wam opisać niezwykle i straszne wydarzenia, tak niezwykle i tak straszne, że trudno wam będzie uwierzyć moim słowom. Nie myślcie, że zaczynam drugą historię, nie skończywszy pierwszej. Czytając, przekonacie się, że tak nie jest. A kiedy opiszę odległe wydarzenia i odsłoni się przed wami zagadka przeszłości, spotkamy się znowu na Baker Street, gdzie te wypadki, jak wiele innych, niezwykle wydarzeń, znajdą swoje zakończenie.



# CZĘŚĆ DRUGA. RZĄDY TERRORU

## ROZDZIAŁ VIII. CZŁOWIEK

Było to czwartego lutego roku 1875. Zima była ostra i w wąwozach gór Gilmerton leżał głęboki śnieg. Stalowy pług oczyścił jednak tor kolejowy i wieczorny pociąg, łączący długi szereg osad przy kopalniach węgla i hutach żelaza, włókł się, chrapiąc po stromej pochyłości, która rozciąga się między Stagville na równinie a Vermissa, głównym miastem leżącym u wejścia do Doliny Vermissy. Od tego miejsca tor wiedzie w dół do Barton's Crossing, Helmdale i czysto rolniczych okolic Merton. Był to tor pojedynczy, ale przy każdym odgałęzieniu — a było ich wiele — długie szeregi wagonów z węglem i rudą żelaza świadczyły o ukrytych bogactwach, które sprowadziły twardych ludzi i ożywiony ruch w ten najbardziej zapadły kąt Stanów Zjednoczonych.

Rzeczywiście był zapadły. Pierwszy wędrowiec, który tu zawitał, nie przypuszczał zapewne, że najpiękniejsze prerie i najbujniejsze łąki nie miały żadnej wartości w porównaniu z tym ponurym krajem o czarnych urwiskach i gęstych lasach. Ponad ciemnymi i często trudnymi do przebycia borami na stokach gór widniały dumne, nagie, wierzchołki skał, pokryte śniegiem i poszarpane turnie, piętrzące się po obu stronach długiej, krętej doliny o nieregularnym przebiegu. Przez tę dolinę włókł się teraz krótki pociąg.

W wagonie pasażerskim na przodzie, długim i nędznym, w którym siedziało dwudziestu czy trzydziestu pasażerów, zapalono właśnie lampy naftowe. Większość podróżnych stanowili robotnicy, wracający z całodzienniej pracy w niżej położonych częściach doliny. Przynajmniej tuzin z nich, sądząc z brudnych twarzy i lampek bezpieczeństwa, było górnikami. Siedzieli razem, paląc, rozmawiając półgłosem i spoglądając od czasu do czasu na dwóch ludzi w drugim kącie wagonu, których mundury i odznaki zdradzały policjantów. Kilka pracownic i jeden czy dwóch podróżnych, którzy mogli być drobnymi kupcami, stanowili resztę towarzystwa. Prócz tego jakiś młody mężczyzna, siedzący osobno. Właśnie nim mamy się zająć. Przypatrzcie się mu dobrze, bo warto.

Jest to młody człowiek o świeżej cerze, średniego wzrostu, z wyglądu w okolicach trzydziestki. Ma wielkie, bystre, wesołe, szare oczy, którymi mruga od czasu do czasu, przyglądając się badawczo przez okulary siedzącym obok niego ludziom. Łatwo zgadnąć, że jest prosty, bezpośredni i towarzyski i gotów przyjaźnie odnosić się do każdego człowieka. Na pierwszy rzut oka robi wrażenie osoby otwartej i serdecznej, pogodnego usposobienia i lubiącej żarty. Gdyby mu się jednak ktoś lepiej przyjrzał, zauważyłby silne szczęki i zaciśnięte usta, które ostrzegłyby, że pod pozorami kryje się nieznaną głębia i że ten przyjemny, ciemnowłosy, młody Irlandczyk nieuchronnie wyciśnie swoje piętno, dobre czy złe, w każdym środowisku, w jakim się znajdzie.

Wypowiedziawszy kilka zdań do najbliższego górnika i otrzymawszy tylko krótkie, opryskliwe odpowiedzi, podróżny umilkł zrezygnowany, przypatrując się przez okno okolicy. Nie był to zachęcający widok. W zapadającym mroku pulsowały czerwienią hutnicze piece na zboczach wzgórz. Wielkie hałdy żużli i stosy popiołu wznosiły się na stokach, a ponad nimi górowały wielkie szyby węglowe. Tu i ówdzie wzdłuż linii kolejowej rozsiane skupiska nędznych, drewnianych domów, których okna zaczynały zarysowywać się światłem na tle mroków nocy, a na częstych przystankach roilo się od ich śniadych mieszkańców. Obfitujące w żelazo i węgiel doliny okręgu Vermissy nie były siedliskiem kultury czy lenistwa. Na każdym kroku widniały ponure ślady ciężkiej walki o byt, czekającej w przyszłości pracy i prostych, silnych robotników, którzy ją mieli wykonać.

Młody podróżny przyglądał się ponurej okolicy z twarzą, na której malował się wstręt i zaciekawienie, świadczące, że widok był dla niego nowością. Od czasu do czasu wyjmował z kieszeni gruby list, przeglądał go i robił notatki na marginesach. W pewnym momencie wydobył z marynarki przedmiot, o którego posiadanie nikt by nie posądził tak spokojnie wyglądającego człowieka. Był to rewolwer wojskowy największego kalibru. Kiedy odwrócił go do światła, błysk miedzianych lusek w bębunku wskazał, że był naładowany. Schował go szybko z powrotem, ale siedzący na sąsiedniej ławce robotnik zdążył go zauważyć.

— Oho, przyjacielu! — rzekł — Widzę, żeś dobrze przygotowany.

Podróż

Młody mężczyzna uśmiechnął się zakłopotany.

— Tak — rzekł. — W okolicach, skąd przybywam, to konieczne.

— A skąd to?

— Ostatnio z Chicago.

— Pierwszy raz tutaj?

— Tak.

— Przyda ci się i tu — rzekł robotnik.

— Ach! Doprawdy? — Młody człowiek wydawał się zaciekawiony.

— Nie słyszałeś, co się tu dzieje?

— Niczego szczególnego.

— Jak to? Myślałem, że mówią o tym w całej okolicy. Niedługo usłyszysz. Co cię tu sprowadza?

— Słyszałem, że nie brak tu roboty.

— Należysz do Związku?

— Jasne.

— No to dostaniesz jakąś robotę. Masz tu przyjaciół?

— Jeszcze nie, ale łatwo ich zdobędę.

— Jak to?

— Jestem członkiem Prześwietnego Zakonu Wolnych Ludzi. Nie ma miasta bez łoża, a gdzie jest łoża, będę miał i przyjaciół.

Słowa te wywarły na jego towarzyszu niezwykle efekt. Rozejrzał się podejrzliwie po wagonie. Górnicy nadal szepotali ze sobą. Obaj policjanci drzemali. Przeszedł przez wagon, usiadł przy młodym podróżnym i wyciągnął rękę.

— Daj dłoń! — powiedział.

Zamienili uścisk dłoni.

— Widzę, że mówisz prawdę. Ale muszę się upewnić.

Podniósł prawą rękę do prawego oka. Podróżny w tej chwili podniósł lewą rękę do swojego lewego oka.

— Ciemne noce są przykre — rzekł robotnik.

— Tak, zwłaszcza dla obcych w podróży — odpowiedział młodzieniec.

— To wystarczy. Jestem brat Scanlan, łoża 341, Dolina Vermissy. Cieszę się, że cię tu widzę.

— Dziękuję. Jestem brat John McMurdo, łoża 29, Chicago, mistrz J. H. Scott. Mam szczęście, że tak prędko spotkałem brata.

— Jest nas tu wielu. Nigdzie w całych Stanach Zjednoczonych Zakon nie rozwinął się tak bardzo, jak właśnie w Dolinie Vermissy. Tacy jak ty bardzo nam się przydadzą. Nie rozumiem tylko, dlaczego tak silny, zdrowy człowiek, i to należący do Związku nie mógł znaleźć pracy w Chicago?

— Pracy mi nie brakowało — odparł McMurdo.

— A zatem?...

McMurdo wskazał na policjantów i uśmiechnął się.

— Ucieszyliby się z pewnością, gdybym im powiedział — rzekł.

Scanlan chrząknął porozumiewawczo.

— W kłopotcie? — zapytał szeptem.

— Ciężkim.

— Sprawa kryminalna?

— I tak dalej.

— Zabójstwo?

— Szkoda słów — rzekł McMurdo z miną człowieka, który spostrzegł, że powiedział zbyt wiele. — Miałem swoje powody, żeby opuścić Chicago, i niech ci to wystarczy. Po co się o to pytasz?

Jego szare oczy błysnęły gniewnie zza okularów.

— Dobrze, przyjacielu. Nie chciałem cię obrazić. Nasi chłopcy nie będą zgorszeni. Ale gdzie jedziesz?

— Do Vermissy.

— To trzeci przystanek. A gdzie chcesz się zatrzymać?

McMurdo wyjął kopertę i zbliżył ją do słabego światła lampy naftowej.

— Tu jest adres. Jakub Shafter, Sheridan Street. To pensjonat, który mi polecono w Chicago.

— Nie znam go, ale Vermissa to nie mój rejon. Mieszkam w Hobson's Patch, właśnie tam dojeżdżamy. Ale chciałbym ci dać jedną radę, zanim się pożegnamy. Gdybyś miał jakieś kłopoty w Vermissie, idź do Domu Związkowego i zobacz się z szefem McGintym. Jest mistrzem łoży w Vermissie i nie dzieje się tu nic, co by mu nie pasowało. Na razie, przyjacielu! Może spotkamy się kiedyś wieczorem w łoży. Ale pamiętaj: gdybyś był w kłopotach, idź do McGinty'ego.

Scanlan wysiadł i McMurdo pozostał znowu sam ze swoimi myślami. Noc zapadła, a płomienie licznych pieców strzelały w górę i huczały w ciemnościach. Na ich czerwonym tle ciemne postacie pochylały się i prostowały, kręciły się i poruszały w rytmie ustawicznego stukotu i ryku.

— Tak pewnie musi wyglądać piekło — odezwał się jakiś głos.

McMurdo odwrócił się i ujrzał, że jeden z policjantów wstał z miejsca i patrzył w przestrzeń oświetloną ogniami.

— Jeśli o to chodzi — rzekł drugi policjant — masz rację. Tak musi wyglądać piekło. Jeśli diabli w nim są gorsi niż pewni ludzie, których znamy, musi być straszliwe. Zdaje mi, że jest pan przyjezdny, młodzieńcze?

— I co z tego? — odparł kwaśnym tonem McMurdo.

— Radziłbym tylko ostrożnie dobierać przyjaciół. Nie zaczynałbym na pańskim miejscu od Mike'a Scanlana i jego bandy.

— Co, u diabła, obchodzą pana moi przyjaciele? — ryknął McMurdo takim tonem, że zwróciły się ku niemu wszystkie głowy w wagonie. — Czy prosiłem o radę? Czy wyglądam na takiego dzieciaka, że się bez niej nie ruszę? Niech pan się nie odzywa z radami, jak pana nie proszą, a Bóg jeden wie, że jeśli o mnie chodzi, możesz pan długo czekać.

Zwrócił się twarz ku policjantom i wpatrywał się w nich z wyszczerzonymi zębami jak warczący pies.

Ich zaś, ociężalych, dobrodusznych ludzi zaskoczyła niezwykła porywcość, z jaką odrzucił ich życzliwą radę.

— Nie ma się o co obrażać — powiedział jeden z nich. — Ostrzegaliśmy dla pańskiego dobra, bo sam pan mówił, że jest pan tu obcy.

— Jestem obcy, ale znam was i wam podobnych — zawołał rozwścieczony McMurdo. — Wszędzie wścibiacie nos swój, chociaż nikt was o to nie prosi.

— Kto wie, czy wkrótce nie poznamy się bliżej — odparł z uśmiechem jeden z policjantów. — Niezły z ciebie ptaszek, jeśli się nie mylę.

— I ja tak sądzę — zauważył drugi. — Myślę, że się jeszcze spotkamy.

— Nie boję się was — zawołał McMurdo. — Nazywam się John McMurdo. Znajdziecie mnie w każdej chwili u Jakuba Shaftera na Sheridan Street w Vermissie. Nie mam zamiaru się przed wami ukrywać. Czy w dzień, czy w nocy, spojrzę wam w twarz. Bądźcie tego pewni.

Miedzy górnikami, obserwującymi śmiało zachowanie przybysza, rozległ się szmer podziwu i sympatii. Policjanci wzruszyli ramionami i zaczęli znów rozmawiać ze sobą.

Kilka minut później pociąg zajechał na słabo oświetloną stację. Wszyscy zaczęli wysiadać, gdyż Vermissa była największą osadą na tej linii. McMurdo podniósł swoją skórzaną podręczną walizkę i już miał ruszyć w ciemność, kiedy zaczął go jeden z górników.

— Daję słowo, przyjacielu, wiesz, jak rozmawiać z łapsami<sup>39</sup> — rzekł głosem pełnym uznania. — Miło było cię słuchać. Daj, poniosę ci walizkę i doprowadzę. Przechodzę koło Shaftera w drodze do domu.

Kiedy schodzili z peronu, inni górnicy chóralnie żegnali ich życzeniami dobrej nocy. Porywczy McMurdo zdobył sobie uznanie w Vermissie, zanim jeszcze postawił stopę w mieście.

Okolica budziła grozę, ale samo miasto wywoływało jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie. Długa dolina miała przynajmniej coś z groźnej wielkości w swoich potężnych ogniach i chmurach unoszącego się w niebo dymu, podczas gdy o sile i przedsiębiorczości człowieka świadczyły monumentalne wzgórza, spiętrzone obok potwornych dołów. Ale

<sup>39</sup>łaps (pot.) — policjant. [przypis edytorski]

miasto utrzymywało się wyłącznie na poziomie brzydoty i brudu. Szeroka ulica wskutek panującego na niej ruchu zmieniona została w pooraną kołami masę pomieszanego z błotem śniegu. Chodniki były wąskie i pełne wyrw. Liczne lampy gazowe uwydatniały tylko niezwykley brud i zaniedbanie długiego szeregu drewnianych domów z werandami wychodzącymi na ulicę. Kiedy znaleźli się w środku miasta, scenę tę oświetliło kilka jasnych wystaw sklepowych i mnóstwo barów oraz domów gry, gdzie górnicy trwonili swój ciężko zapracowany, ale dobry zarobek.

— Oto Dom Związkowy! — powiedział przewodnik, wskazując na lokal, który urastał niemal do godności hotelu. — Tu rządzi John McGinty.

— Co to za człowiek? — zapytał McMurdo.

— Co? Nie słyszałeś nigdy o Szefie?

— Jak miałem słyszeć, przecież wiesz, że jestem tu obcy?

— Myślałem, że jego nazwisko jest znane w całym kraju. Często pojawiała się w gazetach.

— Z jakiego powodu?

— No... — górnik ściszył głos — z powodu tych afer.

— Jakich afer?

— Wielki Boże, człowieku, aleś cudak, za przeproszeniem. W tych stronach usłyszysz tylko o jednym rodzaju afer, o aferach Grasantów<sup>40</sup>.

— Zdaje mi się, że czytałem o nich w Chicago. To banda morderców, prawda?

— Cicho, jeśli ci życie mile! — zawołał górnik i przystanął zaniepokojony, spoglądając ze zdumieniem na towarzysza. — Człowieku, długo nie pożyjesz, jeśli będziesz się tu w ten sposób odzywał na środku ulicy! Niejednego zatłuczono kijami za mniejsze przewinienie.

— Cóż, nic o nich nie wiem. Tyle tylko, co czytałem.

— Nie mówię, że czytałeś kłamstwa — Rozglądał się nerwowo, kiedy mówił, wpatrując się w ciemności, jakby bał się jakiegoś niebezpieczeństwa. — Jeśli zabijanie jest morderstwem, to morderstw tutaj nie brakuje. Ale strzeż się wypowiedzieć w związku z nimi nazwisko McGinty'ego, bo każdy szept dochodzi do jego uszu, a on nie zapomina nigdy. Oto i dom, którego szukasz... ten trochę w tyle. Stary Jakub Shafter, który jest jego właścicielem, to jeden z najuczciwszych ludzi w mieście.

— Dziękuję — rzekł McMurdo i uściśnawszy dłoń swojego nowego znajomego, powlókł się z walizką w rękę dróżką do pensjonatu. Stanąwszy przed drzwiami, mocno zapukał. Otworzył mu ktoś, kogo się nie spodziewał.

Była to młoda dziewczyna, niezwykle piękna, w typie Szwedki, jasna blondynka. Jej włosy tworzyły pikantny kontrast z parą cudownych, czarnych oczu. Spoglądała na obcego ze zdziwieniem i uroczym zakłopotaniem, które zabarwiło rumieńcem jej blade lica. W jasnym świetle otwartych drzwi wydała się mu najpiękniejszym w świecie obrazem, jeszcze bardziej pociągającym przez kontrast z ponurym, ciemnym otoczeniem. Uroczy fiołek rosnący na zwalach żużlu przy kopalni nie wzbudziłby w nim większego zdziwienia. Był tak onieśmielony, że patrzył na nią bez słowa. Ona pierwsza przerwała milczenie.

— Myślałam, że to ojciec — powiedziała z przyjemnym szwedzkim akcentem. — Przyszedł pan do niego? Jest w mieście, ale oczekuję go lada chwila.

McMurdo przyglądał się jej wciąż z tak niekłamany zachwytem, że zakłopotana spuściła wzrok.

— Nie, panienko — rzekł wreszcie — Nie spieszy mi się go zobaczyć. Ale poleceno mi ten dom. Miałem nadzieję, że mógłbym tu zamieszkać, i widzę, że będzie mi odpowiadał.

— Szybko się pan decyduje — zauważyła z uśmiechem.

— Musiałbym chyba być ślepy, gdyby mi się tu nie podobało.

Roześmiała się na ten komplement.

— Proszę wejść, proszę pana — rzekła. — Nazywam się Ettie Shafter, jestem córką pana Shaftera. Moja matka nie żyje i sama prowadzę dom. Może pan zaczekać przy kominku we frontowym pokoju, dopóki ojciec nie przyjdzie. Ach, otóż i on. Może pan zaraz wszystko z nim uzgodnić.

<sup>40</sup>*grasant* (przestarz.) — człowiek, który grasuje, dokonuje napadów, kradzieży, gwałtów na jakimś terenie. [przypis edytorski]

Ścieżką szedł ociężały, starszy mężczyzna. McMurdo w kilku słowach wyjaśnił mu, o co chodzi. Pewien człowiek nazwiskiem Murphy podał mu ten adres w Chicago. Miał go od kogoś innego. Stary Shafter zdecydował się prędko. Nieznajomy nie targował się i przyjął od razu wszystkie warunki; widocznie pieniędzy mu nie brakowało. Zgodził się płacić za mieszkanie i utrzymanie dwanaście dolarów tygodniowo i uiszczył je z góry. W taki sposób McMurdo, uciekający, jak sam przyznał, przed sprawiedliwością, znalazł schronienie pod dachem Shafterów, co było pierwszym krokiem w długim szeregu mrocznych wydarzeń, które miały zakończyć się w dalekim kraju.

## ROZDZIAŁ IX. MISTRZ

McMurdo należał do ludzi, którzy potrafią szybko zwrócić na siebie uwagę. Przekonano się o tym wszędzie, gdzie się pojawił. W ciągu tygodnia stał się najważniejszą osobą u Shafterów. Mieszkało tam dziesięciu czy dwunastu gości, ale byli to uczciwi sztygarzy lub zwykli subiekt<sup>41</sup> sklepowi, ludzie odmiennego kalibru niż młody Irlandczyk. Wieczorami, kiedy zbierali się razem, jego dowcipy były zawsze najlepsze, rozmowa z nim najciekawsza, jego śpiew najładniejszy. Był znakomitym towarzyszem zabaw i umiał budzić wesołość. A jednak od czasu do czasu zdradzał, jak w wagonie kolejowym, skłonność do nagłego, niepohamowanego gniewu, budzącego szacunek, a nawet strach w tych, którzy mu się narazili. Dla prawa i wszystkich, którzy mu służyli, okazywał pogardę, która cieszyła jednych, a niepokoiła innych z jego współlokatorów.

Od pierwszej chwili swoim nieskrywanym zachwytem okazał, że uroczą córką pana domu zdobyła jego serce. Nie krył się ze swoją miłością. Na drugi dzień wyznał, że ją kocha, i odtąd powtarzał jej to stale, nie dbając zupełnie o to, co mogłaby mu odpowiedzieć, żeby go zniechęcić.

— Ktoś inny? — zawołałby — Tym gorzej dla niego! Niech się strzeże! Czy pozwoliłbym sprzątnąć sobie szczęście sprzed nosa? Może mi pani odmawiać, Ettie! Przyjdź dzień, kiedy powie pani „tak”. Jestem młody, mogę czekać.

Był niebezpiecznym wielbicielem ze swymi eleganckimi, ujmującymi manierami i ostrym, irlandzkim dowcipem. Miał zresztą coś z człowieka doświadczonego, tajemniczego, co pociąga kobietę i w końcu każe jej kochać. Mężczyzna, Kobieta

Opowiadał o słodkich dolinach hrabstwa Monaghan<sup>42</sup>, skąd pochodził, o uroczej, dalekiej wyspie, o niskich wzgórzach i zielonych łąkach, które wydawały się jeszcze piękniejsze, kiedy marzyło się o nich wśród śniegu i brudu. Potem opisywał życie w miastach na północy Stanów, w Detroit i w osadach drwali w Michigan, o Buffalo i w końcu o Chicago, gdzie pracował w tartaku. A potem wspominał o dziwnych zdarzeniach, romantycznych przygodach, które przeżył w tym wielkim mieście, tak niezwykłych i tajemniczych, że nie można było o nich mówić. Wspominał o nagłym wyjeździe, o zerwaniu dawnych związków i ucieczce w obcy świat, która go sprowadziła do tej smutnej doliny, a Ettie słuchała z oczyma pełnymi współczucia i litości, tych dwóch uczuć, które tak szybko i tak łatwo mogą przekształcić się w miłość. Współczucie, Miłość

McMurdo znalazł chwilowe zajęcie jako księgowy, gdyż był człowiekiem wykształconym. Pracując przez cały dzień, nie miał dotąd czasu zgłosić się do mistrza łoży Prześwieczonego Zakonu Wolnych Ludzi. O tym zaniedbaniu przypomniała mu jednak pewnego wieczoru wizyta Mike'a Scanlana, jego towarzysza podróży koleją. Scanlan, niski, nerwowy, o wyrazistej twarzy i czarnych oczach, ucieszył się bardzo, że znów się z nim spotkał. Po jednym czy dwóch szklankach whisky wyłuszczył cel swoich odwiedzin.

— Słuchaj, McMurdo, przypomniałem sobie twój adres — rzekł — i dlatego zaglądnąłem do ciebie. Dziwię się, że dotąd nie przedstawiłeś się mistrzowi. Czemu jeszcze nie poszedłeś do Szefa?

— Znalazłem pracę. Jestem bardzo zajęty.

— Musisz znaleźć czas. Wielki Boże, popełniłeś straszne głupstwo, nie zgłosiwszy się do Domu Związkowego zaraz pierwszego dnia po przybyciu.

McMurdo zdziwił się nieco.

<sup>41</sup>subiekt (przestarz.) — sprzedawca. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>Monaghan — hrabstwo w Irlandii. [przypis edytorski]

— Jestem członkiem loży od ponad dwóch lat, ale nigdy nie słyszałem, żeby to była taka pilna sprawa.

— Może w Chicago...

— Przecież to to samo stowarzyszenie.

— Doprawdy?

Scanlan przyjrzał mu się długo i uważnie. W jego oczach było coś złowrogiego.

— Więc nie?

— Powiesz mi o tym za miesiąc. Słyszałem, że miałeś małe starcie z policjantami po tym, jak wysiadłem z pociągu.

— Skąd wiesz?

— Och, słyszałem... nowiny rozchodzą się tu prędko, na dobre i na złe.

— Tak jest. Powiedziałem tym psom, co o nich myślę.

— Na Boga, sądzę, że przypadniesz do serca McGinty'emu.

— Czyżby nie lubił policjantów?

Scanlan wybuchnął śmiechem.

— Idź i zobacz się z nim, mój chłopcze — powiedział, żegnając się. — Inaczej całą swoją nienawiść do policji przeleje na ciebie. Dlatego usłuchaj przyjacielskiej rady i idź zaraz.

Tak się złożyło, że tego samego wieczoru McMurdo miał jeszcze jedną, ważniejszą sprawę, która skłoniła go, by poszedł za radą. Być może zaloty do Ettie stały się bardziej widoczne, a może gospodarz dopiero teraz zdał sobie z nich sprawę, dość że wezwał młodzieńca do swojego prywatnego pokoju i od razu przystąpił do rzeczy.

— Zdaje się, mój panie — rzekł — że Ettie wpadła panu w oko. Czy to prawda?

— Tak, to prawda — odpowiedział młody człowiek.

— Otóż chciałem panu powiedzieć, że nic z tego nie będzie. Stara się o nią ktoś inny.

— Mówiła mi o tym.

— Mówiła panu prawdę. Ale czy wspominała, kto to taki?

— Nie. Pytałem, ale nie chciała mi powiedzieć.

— Nie śmiała powiedzieć. Może nie chciała pana przestraszyć.

— Przestraszyć? — McMurdo zaperzył się w jednej chwili.

— A tak, mój przyjacielu! Nie ma się co wstydzić tego strachu! To Teddy Baldwin.

— I któż to jest, u diabła?

— Jeden z szefów Grasantów.

— Słyszałem już o nich. Wspomina się o Grasantach to tu, to tam, a zawsze szeptem. Czego się ich wszyscy tak boicie? Kim są ci Grascanci?

Właściciel pensjonatu instynktownie zniżył głos, jak każdy, kto mówił o straszliwym stowarzyszeniu.

— Grascanci — rzekł — to Prześwietny Zakon Wolnych Ludzi.

Młody człowiek drgnął.

— Jak to?! Przecież sam należę do tego zakonu.

— Pan? Nie użyczyłbym panu gościny, gdybym wiedział... nawet za sto dolarów tygodniowo.

— Ale co jest złego z Zakonem? Ma na celu miłosierdzie i wzajemną pomoc. Tak głosi reguła.

— Może gdzie indziej. Nie tutaj!

— A tutaj?

— To związek morderców, nic więcej.

McMurdo uśmiechnął się z powątpiewaniem.

— Jakże pan ma dowody? — zapytał.

— Dowody? Czy pięćdziesiąt morderstw to mało? Śmierć Milmana i van Shorsta, i rodziny Nicholsonów, i starego pana Hyama, i małego Billy'ego Jamesa i innych. Oto dowody! Wie o tym każdy mężczyzna i każda kobieta w tej dolinie.

— Niech pan posłucha! — powiedział poważnie McMurdo. — Albo pan cofnie te słowa, albo się pan wytłumaczy. Zrobi pan to, zanim wyjdę z pokoju. Proszę się postawić na moim miejscu. Jestem obcy w tym mieście. Należę do stowarzyszenia, o którego

niewinności jestem przekonany. Jest ono znane w całych Stanach jako organizacja zupełnie niewinna. W chwili, kiedy zamierzam dołączyć do niej tutaj, mówi mi pan, że to banda morderców zwanych Grasantami! Myślę, że powinien mnie pan przeprosić albo się wytłumaczyć, panie Shafter.

— Mogę powiedzieć to tylko, co wszyscy wiedzą, proszę pana. Szefowie jednej organizacji są szefami drugiej. Jeśli obrazi się jednego, drugi uderza. Przekonaliśmy się o tym często.

— To plotki! Żądam dowodów! — rzekł McMurdo.

— Jeśli pan tu zostanie, dowodów znajdzie się dosyć. Ale zapomniałem, że pan należy do nich. Będzie pan wkrótce taki sam jak inni. Proszę poszukać sobie innego mieszkania. Nie chcę pana mieć w swoim domu. Nie dość, że jeden z tych ludzi zaleca się do mojej Ettie, a ja nie śmiem wyrzucić go za drzwi, teraz jeszcze drugi wprowadza się pod mój dach. Tak jest, nie życzę sobie, żeby pan tu jutro nocował.

McMurdo nie tylko został skazany na wygnanie z wygodnego mieszkania, ale i odsunięty od ukochanej dziewczyny. Spotkał się z nią w jadalni tego samego wieczoru i zwierzył się ze swoich kłopotów.

— Pani ojciec wypowiedział mi mieszkanie — rzekł. — Mniejsza o pokój, ale do prawdy, Ettie, chociaż znam panią dopiero od tygodnia, nie mogę żyć bez pani.

— Cicho, cicho! Niech pan tak nie mówi! — odparła. — Czyż nie powiedziałam, że zjawił się pan za późno? Jest już ktoś inny i chociaż nie przyrzekłam mu małżeństwa natychmiast, nie mogę go obiecywać innemu.

— A gdybym był pierwszy, czy miałbym nadzieję?

Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach.

— Och, gdyby pan był pierwszy! — wyjąkała przez łzy.

McMurdo padł przed nią na kolana.

— Na miłość Boską, niech tak będzie! — zawołał. — Czy chcesz złamać życie sobie i mnie z takiego powodu? Posłuchaj głosu serca, najdroższa! To najlepszy doradca.

Ujął białe rączki Ettie w swoje silne, ogorzałe dłonie.

— Powiedz, że będziesz moja, a damy sobie radę.

— Nie tutaj?

— Tak, tutaj.

— Nie, nie, Jack! — Wtuliła się w jego ramiona. — Tutaj to niemożliwe. Nie możesz mnie stąd zabrać?

Przez chwilę widać było, że McMurdo walczy ze sobą, ale za moment jego twarz stężała jak wykuta w granicie.

— Nie, tutaj — rzekł. — Obronię cię przed całym światem, Ettie.

— Dlaczego nie możemy wyjechać razem?

— Nie, Ettie, nie mogę stąd wyjechać.

— Ale dlaczego?

— Spaliłbym się ze wstydu, gdybym się dał stąd wypędzić. Zresztą, czego mam się bać? Czy nie jesteśmy wolnymi obywatelami w wolnym kraju? Jeśli ty mnie kochasz, a ja ciebie, kto odważy się stanąć między nami?

— Nie wiesz, Jack. Jesteś tu od niedawna. Nie znasz Baldwina. Nie znasz McGinty'ego i jego Grasantów.

— Tak, nie znam ich, nie boję się ich i nie wierzę w to, co o nich mówią! — odparł McMurdo. — Żyłem wśród grubiańskich ludzi, najukochańsza, ale się nich nie bałem i zawsze koniec końców to oni bali się mnie. To szaleństwo, Ettie. Jeśli ci ludzie, jak twierdzi twój ojciec, popełnili w tej dolinie tyle zbrodni i jeśli wszyscy ich znają, to czemu żaden z nich nie stanął przed sądem? Powiedz mi, Ettie.

— Ponieważ nikt nie śmie zeznawać przeciwko nim. Nie przeżyłby wówczas nawet miesiąca. Mają zresztą swoich ludzi, którzy przysięgną, że oskarżony był z dala od miejsca zbrodni. Musiałeś chyba o tym czytać, Jack! Sądziłam, że o tych wypadkach pisały wszystkie gazety w Stanach.

— Prawda, trochę o tym czytałem, ale uważałem, że to takie sobie historyjki. A może ci ludzie mają jakieś powody, żeby tak robić. Może są krzywdzeni i nie umieją sobie inaczej poradzić?

— Och, Jack, nie mów w ten sposób! On też tak mówi... ten drugi!

— Baldwin. A więc on tak mówi?

— I dlatego się nim brzydzę. Och, Jack, teraz mogę ci powiedzieć prawdę. Nienawidzę go z całego serca, ale i boję się go. Boję się go ze względu na siebie, ale przede wszystkim ze względu na ojca. Czuję, że gdybym powiedziała, co o nim naprawdę myślę, sprowadziłabym na nas wielkie nieszczęście. Dlatego ludziłam go półobietnicami. To była nasza jedyna nadzieja. Ale gdybyś zgodził się ze mną uciec, Jack, zabralibyśmy ojca i żyli razem daleko stąd, gdzie nie sięga władza tych przeklętych ludzi.

Znowu na twarzy McMurdo odmalowała się walka i znowu jego twarz skamieniała.

— Nic złego ci się nie stanie, Ettie, ani twojemu ojcu. A co do tych przeklętych ludzi... kto wie, czy za jakiś czas nie przekonasz się, że jestem równie zły co najgorszy z nich.

— Nie, nie, Jack. Zawsze będę w ciebie wierzyła.

McMurdo zaśmiał się gorzko.

— Mój Boże, jak mało o mnie wiesz! Twoja niewinna dusza, najdroższa, nie zdaje sobie nawet sprawy, co dzieje się w mojej. Ale kto to zawiał?

Drzwi otworzyły się nagle i wszedł młody człowiek z miną, która wskazywała, że czuje się tu jak u siebie w domu. Był przystojny, rzutki, mniej więcej w tym samym wieku i o tej samej budowie co McMurdo. Spod czarnego filcowego kapelusza z szerokim rondem, którego nie raczył zdjąć, wyzierała przystojna twarz o groźnych, władczych oczach i zakrzywionym orlim nosie. Spojrzał ze złością na siedzącą przy kominku parę.

Ettie zerwała się na nogi, zmieszana i zaniepokojona.

— Cieszę się, że pana widzę, panie Baldwin — rzekła. — Przychodzi pan wcześniej, niż sądziłam. Proszę spocząć.

Baldwin stał z rękami na biodrach i wpatrywał się w McMurdo.

— Kto to taki? — zapytał krótko.

— To mój znajomy, panie Baldwin, nasz nowy lokator. Panie McMurdo, pozwoli pan, że mu przedstawię pana Baldwina.

Obaj młodzi ludzie skłonili się sobie niechętnie.

— Zapewne panna Ettie wspomniała panu, co nas łączy? — rzekł Baldwin.

— Nie sądzę, żeby pana z nią coś łączyło.

— Doprawdy? To zaraz się pan dowie. Mówię panu, że ta młoda dama jest moja, dlatego radzę, żeby pan skorzystał z pięknego wieczoru i udał się na spacer.

— Dziękuję, nie mam ochoty.

— Nie ma pan ochoty? — Dzikie oczy mężczyzny zabłyśły gniewnie. — A może ma pan ochotę się bić, panie lokatorze?

— Owszem — zawołał McMurdo, zrywając się na nogi. — Z prawdziwą przyjemnością.

— Na miłość boską, Jack! Och, na miłość Boską! — zawołała biedna, zrozpaczona Ettie. — Och, Jack! Jack, on ci zrobi coś złego!

— Och, więc to już „Jack”? — rzekł Baldwin z przekleństwem. — Jużście się porozumieli?...

— Och, Ted, zastanów się... nie rób głupstw! Zrób to dla mnie, Ted, jeśli mnie kiedykolwiek kochałeś, bądź wspinałomyślny i miej litość!

— Sądzę, Ettie, że najlepiej zrobisz, jeśli zostawisz nas samych — spokojnie rzekł McMurdo. — A może, panie Baldwin, ma pan ochotę wybrać się ze mną za miasto? Wieczór jest ładny, a za rogiem jest otwarty plac.

— Poradzę sobie z tobą, nie brudząc rąk — odparł jego przeciwnik. — Zanim z tobą skończę, pożałujesz, że twoja noga stanęła w tym domu!

— Najlepiej teraz! — zawołał McMurdo.

— Sam wybiorę czas. Znajdę odpowiednią chwilę. Spójrz tutaj! — Odwinął rękaw i odsłonił na przedramieniu tajemniczy znak, który wyglądał jak wypalony żelazem. Był to trójkąt w kole. — Wiesz, co to znaczy?

— Nie wiem i nie obchodzi mnie to!

— A zatem się dowiesz. To ci obiecuję. Nie będziesz długo czekał. Może panna Ettie coś ci o tym opowie. Co do ciebie, Ettie, przyjdiesz do mnie na kolanach. Słyszysz, dziewczyno? Na kolanach. I wtedy powiem ci, jak cię ukarzę. Nawarzyłaś piwa... i na Boga, wypijesz je!



Obrzucił ich wzrokiem pełnym wściekłości. Potem odwrócił się i za chwilę drzwi z trzaskiem zamknęły się za nim.

McMurdo i dziewczyna stali czas pewien w milczeniu. Potem zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Och, Jack, jaki jesteś dzielny! Ale to na nic... Musisz uciekać. Jeszcze tej nocy, Jack... tej nocy! To jedyny twój ratunek. On cię zabije. Wyczytałam to w jego straszliwym spojrzeniu. Co poradzisz w walce z wieloma, kiedy mają za sobą McGinty'ego i całą potęgę łoży?...

McMurdo uwolnił się z jej uścisku, ucałował ją i delikatnie posadził na krześle.

— Cicho, najdroższa, cicho! Nie martw się i nie bój się o mnie. Sam jestem jednym z Wolnych Ludzi. Właśnie powiedziałem o tym twojemu ojcu. Może nie jestem lepszy niż inni, dlatego nie rób ze mnie świętego. A może mnie już nienawidzisz, skoro ci to powiedziałem.

— Nienawidzić cię, Jack? Nigdy w życiu. Słyszałam, że gdzie indziej bycie Wolnym Człowiekiem to nic złego, że tylko tutaj jest inaczej, dlatego więc miałabym o tobie złe sądzić? Jeśli jednak jesteś jednym z nich, Jack, dlaczego nie pójdziesz i nie zyskasz przychylności McGinty'ego? Och, śpiesz się, Jack, śpiesz się! Musisz się z nim rozmówić, inaczej te psy rzucą się na ciebie.

— I ja tak myślę — rzekł McMurdo. — Pójdę tam teraz i załatwię całą sprawę. Powiedz swojemu ojcu, że dzisiaj jeszcze tu przenocuję, a rano znajdę sobie inną kwatery.

Bar McGinty'ego był jak zwykle zatłoczony, gdyż tu najchętniej zbierały się najgorsze szumowiny miasta. Właściciel był człowiekiem popularnym ze względu na swoje szorstkie, jowialne usposobienie, które stanowiło maskę, skrywającą wiele rzeczy. Pominąwszy jednak tę popularność, lęk, jaki budził w całym mieście i w długiej na trzydzieści mil dolinie, a nawet za górami, wystarczał, żeby zapęłnić lokal, gdyż nikt nie ośmielał się lekceważyć jego gościny.

Poza tą tajną władzą, z której, jak powszechnie sądzono, korzystał w bezwzględny sposób, zajmował także wysokie stanowiska publiczne. Był radcą miejskim i pełnomocnikiem do spraw komunikacji, wybranym głosem bandytów, którym odwdzięczał się z kolei w rozmaity sposób. Podatki i opłaty były olbrzymie, o sprawy publiczne nikt nie dbał, przekupieni urzędnicy sprzeniewierzali dochody, a uczciwy obywatel musiał opłacać złodziei publicznego dobra i trzymać język za zębami z obawy, by nie spotkało go coś gorszego. I tak z roku na rok brylantowe szpilki od krawata McGinty'ego coraz bardziej rzucały się w oczy, jego złoty łańcuch stawał się coraz cięższy na coraz obszerniejszej kamizelce, a jego knajpa coraz bardziej się rozrastała się, aż w końcu niemal pochłonęła całą stronę rynku.

McMurdo pchnął wahadłowe drzwi baru. Torował sobie drogę przez tłum w sali wypełnionej dymem tytoniowym i wyziewami alkoholu. Lokal był jasno oświetlony, a wielkie, ciężkie, pozłacane lustra na wszystkich ścianach odbijały i uwydatniały wspaniałość iluminacji. Barmani z podwiniętymi rękawami krzątali się, przyrządzając napitki dla gości, którzy tłoczyli się do szerokiej, okutej grubą blachą lady. Na jej końcu, wsparty o nią całym ciałem, z cygarem w kącie ust, stał rosły, silny, dobrze zbudowany mężczyzna, który mógł być tylko sławnym McGintym. Był to czarnogrzywy olbrzym, z brodą zachodzącą aż za policzki i kruczą czupryną, która spadała mu na kołnierz. Cerę miał smagłą jak Włoch, a jego oczy miały dziwny, martwy, czarny kolor, co w związku z lekkim zezem nadawało im złowrogi wyraz. Poza tym wszystko w tym człowieku — jego szlachetna postać, regularne rysy i otwartość — zgadzało się z jowialnymi manierami, które przybrał. Oto, powiedziałbyś, człowiek prosty, uczciwy, który ma prawe serce, chociaż czasem mogą mu się wymknąć szorstkie słowa. Dopiero kiedy martwe, czarne oczy, głębokie i bezlitosne, spoczęły na rozmówcy, pojmował on, że stoi twarzą w twarz z ucieleśnieniem zła, wspartym siłą, odwagą i chytryością, które czyniły je tysiącokrotnie straszliwszym.

Przypatrzysz się mu dokładnie, McMurdo utorował sobie do niego drogę łokciami z wrodzoną sobie bezwzględną śmiałością i przecisnął się przez grupkę pochlebców, którzy otaczali wszechpotężnego Szefa i rechotali na całe gardło z jego najdrobniejszych żartów. Bystre, szare oczy młodego nieznajomego spoglądały nieustraszenie przez okulary w matowe, czarne oczy, które groźnie zwróciły się ku niemu.

— Nie przypominam sobie pana, młodzieńcze.

— Jestem tu obcy, panie McGinty.

— Ale powinien pan przynajmniej wiedzieć, jaki noszę tytuł.

— To radca McGinty, młody człowieku — odezwał się ktoś z grupki.

— Przepraszam, panie radco. Nie znam tutejszych stosunków. Ale poradzono mi, żebym się z panem zobaczył.

— To już mnie pan widzi. Taki właśnie jestem. I cóż pan o mnie myśli?

— Trudno powiedzieć od razu. Jeśli pańskie serce nie ustępuje pańskiemu ciału, a dusza jest równie piękna jak rysy twarzy, to nic więcej nie potrzeba — odparł McMurdo.

— Na Boga, masz pan irlandzki dowcip! — zawołał właściciel baru, nie wiedząc, czy żartować z tak śmiałym gościem, czy też zachować powagę stosowną do swojej godności.

— A zatem, łaskawco, podoba ci się mój wygląd?

— Jasne — odparł McMurdo.

— I powiedziano ci, żebyś się ze mną zobaczył?

— Tak właśnie.

— A kto ci powiedział?

— Brat Scanlan z łoży 341, Dolina Vermissy. Piję za pańskie zdrowie, panie radco, i za naszą bliższą znajomość! — Podniósł do ust szklanekę, którą mu podano, i dał znak małym palcem, kiedy ją wychylał.

McGinty, który obserwował go uważnie, uniósł swoje gęste, czarne brwi.

— Ach, więc to tak? — rzekł. — Cóż, muszę przyjrzeć się temu bliżej, panie...

— McMurdo.

— Trochę bliżej, panie McMurdo, bo w tych stronach nie ufamy ludziom tak łatwo ani nie wierzymy we wszystko, co mówią. Chodźmy tu na chwilę, za bar!

Był tam mały pokój z rzędami beczek. McGinty zamknął ostrożnie drzwi, po czym usiadł na jednej z nich, gryząc cygaro i przyglądając się młodzieńcowi swoimi niepokojącymi oczyma. Przez kilka minut siedział w zupełnym milczeniu.

McMurdo zniósł te oględziny z humorem, trzymając jedną rękę w kieszeni, drugą podkręcając brązowego węża. Nagle McGinty pochylił się i wyciągnął groźnie wyglądający rewolwer.

— Przypatrz się tu, żartowniszu — rzekł. — Gdybym przypuszczał, że szykujesz nam jakiś kawał, nie robiłbym z tobą ceremonii.

— Dziwne przywitanie — odpowiedział McMurdo z godnością — jak na mistrza łoży w stosunku do nieznanego brata.

— Owszem, ale tego właśnie masz dowiedzieć, że jesteś bratem — rzekł McGinty — i niech Bóg cię ma w opiece, jeśli nie zdołasz. Gdzie cię wtajemniczano?

— W łoży 29, w Chicago.

— Kiedy?

— 24 czerwca 1872 roku.

— Kto jest tam mistrzem?

— James H. Scott.

— Kto zarządza okręgiem?

— Bartholomew Wilson.

— Hm, odpowiadasz dość pewnie. Co tu robisz?

— Pracuję, jak i pan, ale w gorszej robocie.

— Widzę, że nie zastanawiasz się dwa razy nad odpowiedzią.

— Tak, zawsze byłem prędko w mowie.

— A w działaniu?

— Cieszyłem się pewną sławą w gronie znajomych.

— Dobrze, przekonamy się o tym wcześniej, niż przypuszczasz. Słyszałeś już coś o łoży w tych stronach?

— Słyszałem, że bratem może być tylko prawdziwy mężczyzna.

— To prawda, panie McMurdo. Dlaczego opuściłeś Chicago?

— Niech mnie powiesz, jeśli powiem.

McGinty otworzył oczy. Nie był przyzwyczajony, by odpowiadano mu w podobny sposób, i to go rozbawiło.

— Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

— Bo żaden brat nie powinien okłamywać brata.

— A zatem prawda jest aż tak zła?  
— Może pan myśleć, co się panu podoba.  
— Słuchaj no, nie możesz oczekiwać, że ja, mistrz, przyjmę do łoży kogoś, czyjej przeszłości nie znam.

McMurdo zmieszał się. Potem wyciągnął z wewnętrznej kieszeni pomięty wycinek z gazety.

— Nie wyda mnie pan? — zapytał.

— Dostaniesz w gębę, jeśli jeszcze raz odezwiesz się do mnie w podobny sposób! — zawołał McGinty z gniewem.

— Ma pan słuszność, panie radco — powiedział potulnym tonem McMurdo. — Proszę o wybaczenie. Nie zastanowiłem się nad swoimi słowami. Wiem, że mogę panu zaufać. Proszę spojrzeć na ten wycinek.

McGinty przebiegł wzrokiem wzmiankę o zastrzeleniu w pierwszym tygodniu stycznia 1874 roku niejakiego Jonasa Pinto, w barze przy Market Street w Chicago.

— Tyś to zrobił? — zapytał, oddając mu wycinek.

McMurdo skinął potakująco.

— Czemu go zastrześliłeś?

— Pomagałem Wujowi Samowi<sup>43</sup> robić dolary. Być może moje nie były tak dobre jak jego, ale wyglądały równie dobrze i były tańsze. Ten człowiek, Pinto, pomagał mi puścić je w obieg... Potem groził, że mnie wyda. Może mnie wydał. Nie czekałem na to. Zabiłem go i dałem nura do tego górniczego okręgu...

— Dlaczego tutaj?

— Bo wyczytałem w gazetach, że tu nie zwracają uwagi na podobne drobiazgi.

McGinty roześmiał się.

— Byłeś najpierw fałszerzem, potem mordercą, a teraz przyjechałeś w te strony, myśląc, że powitamy cię tu z otwartymi rękami?

— Otóż to — odpowiedział McMurdo.

— Mam wrażenie, że daleko zajdziesz. Powiedz, czy potrafisz jeszcze robić te dolary?

McMurdo wyjął kilka monet z kieszeni.

— Te nigdy nie widziały mennicy w Waszyngtonie — rzekł.

— Nie mów! — McGinty trzymał je do światła na swej ogromnej, owłosionej jak u goryla ręce. — Nie widzę różnicy. No, będziesz, jak sądzę, bardzo użytecznym bratem. Przyda nam się paru takich ludzi. W dzisiejszych czasach musimy dbać przede wszystkim o siebie. Wkrótce zostalibyśmy zepchnięci pod ścianę, gdybyśmy nie odpychali tych, którzy nas popychają.

— Cóż, myślę, że sprawię się w tym równie dobrze co reszta braci.

— Masz, zdaje się, mocne nerwy. Nawet nie drgnąłeś, kiedy do ciebie wymierzyłem.

— Bo to nie mnie coś groziło.

— Więc komu?

— Panu, panie radco. — McMurdo wyciągnął z bocznej kieszeni kurtki rewolwer z odwiedzionym kurkiem. — Przez cały czas mierzyłem do pana. Sądzę, że mój strzał padłby równocześnie z pańskim.

McGinty poczerwieniał z gniewu, a potem wybuchnął śmiechem.

— No! — rzekł. — Sądzę, że łoża będzie z ciebie dumna... Czego chcesz, u diabła! Czy nie mogę z nikim pomówić sam na sam przez pięć minut, żeby mi ktoś nie przeszkadzał?

Barman stał speszony.

— Przepraszam, panie radco, ale to pan Ted Baldwin. Mówi, że musi się z panem zaraz widzieć.

Niepotrzebnie się tłumaczył, gdyż sponad jego ramienia wyjrzała już wzburzona, okrutna twarz samego Baldwina. Odepchnął barmana i zamknął za nim drzwi.

— A więc — rzekł, obrzucając McMurdo spojrzeniem pełnym wściekłości — przybiegłeś tu pierwszy, tak? Panie radco, chcę panu coś powiedzieć o tym człowieku.

— To mów pan zaraz, tu, przy mnie! — zawołał McMurdo.

— Powiem, kiedy mi się będzie podobało i gdzie zechcę.

<sup>43</sup>Wuj Sam (ang. *Uncle Sam*) — narodowa personifikacja Stanów Zjednoczonych; przedstawiany najczęściej jako srogi, starszy mężczyzna z siwymi włosami i bródką, w ubraniu o barwach i elementach zaczerpniętych z flagi amerykańskiej. [przypis edytorski]

— Spokojnie, spokojnie! — upomniął McGinty, wstając z beczki. — Tak nie można. To nasz nowy brat i nie możemy go witać w taki sposób. Uściśnij mu rękę, człowieku, i pogódź się z nim!

— Nigdy! — zawołał rozwścieczony Baldwin.

— Proponowałem, żebyśmy się bili, jeśli uważa się za pokrzywdzonego — rzekł McMurdo. — Jestem gotów z nim walczyć na pięści lub, jeśli woli, w każdy inny sposób, jaki wybierze. A teraz proszę nas rozsądzić, panie radco, jako mistrz łoży.

— O co chodzi?

— O młodą damę. Ma prawo wybrać, kogo chce.

— Doprawdy? — zawołał Baldwin.

— Ma w każdym razie prawo wybierać między dwoma braćmi z łoży — oznajmił McGinty.

— Och, taka jest pańska decyzja?

— Tak, taka jest moja decyzja — odparł McGinty, patrząc na niego ze złością. — Zamierzasz ją kwestionować?

— Więc chce pan odepchnąć człowieka, który stał przy panu przez te pięć lat, dla kogoś, kogo pan nigdy wcześniej na oczy nie widział? Nie jest pan mistrzem na całe życie i na Boga, przy następnych wyborach...

McGinty skoczył na niego jak tygrys. Chwyił go jedną ręką za gardło i rzucił na beczkę. We wściekłym gniewie wycisnąłby z niego życie, gdyby McMurdo się nie wtrącił.

— Niech się pan opanuje, panie radco! Niech się pan uspokoi, na miłość boską! — wołał, odciągając go.

McGinty wypuścił z rąk Baldwina, a ten, wzburzony i wystraszony, chwytając w płuca powietrze i drżąc na całym ciele jak człowiek, który zaglądnął śmierci w oczy, siadł na beczce.

— Dawno się o to prosiłeś, Ted. I teraz masz za swoje — zawołał McGinty, dysząc ciężko. — Może ci się zdaje, że gdybym w wyborach stracił urząd mistrza, to zajmiesz moje miejsce? To łoża rozstrzygnie. Ale dopóki ja przewodzę łoży, nie zniosę, aby ktoś występował przeciw mnie i moim decyzjom.

— Nie mam nic przeciw panu — wyjąkał Baldwin, dotykając gardła.

— A więc wszystko w porządku — zawołał McGinty dawnym jowialnym tonem. — Jesteśmy wszyscy dobrymi przyjaciółmi i na tym koniec.

Zdjął z półki butelkę szampana i odkorkował.

— Słuchajcie — ciągnął dalej, napełniwszy trzy szklanki — wypijmy toast zgody przepisany przez łożę. Po tym toaście, jak wiecie, powinny zniknąć wszelkie wzajemne urazy. Dalej, Ted, połóż lewą rękę na mojej szyi i mów, jaka krzywda cię spotkała!

— Czarne chmury nawisły — odpowiedział Baldwin.

— Ale rozproszą się na zawsze.

— Na to przysięgam.

Wypili szampana, po czym tę samą ceremonię powtórzyli między sobą McMurdo i Baldwin.

— Koniec sporu — zawołał McGinty, zacierając ręce. — Inaczej łoża się wami zajmie, a ma ciężką rękę w tych stronach, jak o tym dobrze wie brat Baldwin i o czym ty, bracie McMurdo, prędko się przekonasz, gdybyś się jej naraził.

— Nie mam najmniejszej ochoty — rzekł McMurdo. Wyciągnął rękę do Baldwina. — Jestem skory do kłótni, ale i do zgody. To wina mojej irlandzkiej krwi, jak mówią. Ale to już minęło i nie żywię urazy.

Baldwin musiał uściśnąć wyciągniętą dłoń, gdyż czuł na sobie groźny wzrok straszliwego Szefa. Ale jego ponura twarz świadczyła, że słowa przeciwnika nie odniosły skutku.

McGinty poklepał ich po plecach.

— Och! Te dziewczyny, te dziewczyny! — zawołał. — I pomyśleć, że dwóch moich chłopców musiało się zakochać w tej samej spódniczce. To ci pech! Cóż, dziewczyna musi sama zdecydować, bo takie sprawy nie podpadają pod osąd mistrza. I dzięki Bogu! Mam już i tak dosyć kłopotów bez kobiet. Zostaniesz wprowadzony do łoży 341, bracie McMurdo. Mamy własne sposoby i metody, inne niż w Chicago. W sobotę w nocy mamy zebranie, na którym na wieczne czasy wyzwolimy cię w Dolinie Vermissy.

Przemoc

## ROZDZIAŁ X. LOŻA 34I, VERMISSA

Nazajutrz, po wieczorze obfitującym w tak wiele ważnych wypadków, McMurdo wywodził się od starego Jakuba Shaftera i zamieszkał u wdowy MacNamara, na samym końcu miasta. Scanlan, jego dawny znajomy z kolei, niedługo potem przeniósł się do Vermissy i obaj zamieszkali razem. Byli jedynymi lokatorami, a gospodyni, dobrodusznica, stara Irlandka, nie wtrącała się do ich spraw, tak że mogli mówić i robić, co się im podobało — rzecz bardzo dogodna dla ludzi, którzy mieli wspólne tajemnice. Shafter złagodniał na tyle, że pozwolił McMurdo przychodzić na posiłki, tak że stosunki z Ettie nie zostały zerwane. Przeciwnie, z upływem tygodni stały się bardziej zażyłe i przyjazne.

W swoim nowym mieszkaniu McMurdo mógł zupełnie bezpiecznie wyjąć formy do odlewania fałszywych monet i pod wieloma przysięgami zachowania tajemnicy pozwolił niektórym braciom obejrzeć je i wziąć po kilka sztuk, tak zręcznie zrobionych, że puszczenie ich w obieg nie przedstawiało najmniejszej trudności czy ryzyka. Dlaczego, będąc posiadaczem tak cudownej tajemnicy, McMurdo w ogóle godził się pracować, było to dla jego towarzyszy zagadką, ale każdemu, kto go o to pytał, tłumaczył, że gdyby żył, nie mając żadnych widocznych źródeł dochodów, policja prędko wpadłaby na jego ślad.

Jeden z policjantów już go nawet śledził, ale wypadek ten na szczęście sprawił awanturnikowi więcej dobrego niż złego. Po pierwszej bytności w barze McGinty'ego nie było niemal wieczoru, żeby tam nie zachodził, aby poznać się bliżej z „chłopcami”, jak dobrodusznicy nazywali siebie członkowie niebezpiecznej bandy, zbierającej się w lokalu. Jego rzutkość i śmiały język uczyniły go ulubieńcem wszystkich, a umiejętny i szybki sposób rozprawiania się z przeciwnikami w barze zyskały mu szacunek nieokrzesej kompanii. Ale pewien wypadek przysporzył mu jeszcze więcej przyjaciół.

Pewnego wieczoru, w czasie największego tłoku, drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna w niebieskim, schludnym mundurze i szpiczastej czapce Policji Kopalnianej. Był to specjalny oddział utworzony przez właścicieli kopalń i linii kolejowych do pomocy zwykłej policji, która czuła się zupełnie bezsilna wobec zorganizowanego bandytyzmu, będącego postrachem całej okolicy. Kiedy wszedł, nastąpiła cisza, w jego stronę zwróciło się wiele ciekawskich spojrzeń, że jednak stosunki między policjantami i przestępcami mają w Stanach szczególny charakter, stojący za ladą McGinty nie okazał żadnego zdziwienia na widok inspektora, który wmieszał się w tłum gości.

— Czystą whisky, bo wieczór mroźny! — rzekł policjant. — Chyba się dotąd nie spotkaliśmy, panie radco?

— Pan jest nowym kapitanem? — zapytał McGinty.

— Właśnie. Mam nadzieję, że pan i inni wpływowi obywatele pomogą nam w utrzymaniu prawa i porządku w mieście. Nazywam się Marvin... kapitan Marvin, z Policji Kopalnianej.

— Dalibyśmy sobie radę i bez pana, kapitanie Marvin — rzekł zimno McGinty. — Mamy swoją własną policję miejską i przybyszów nam nie potrzeba. Jesteście tylko płatnym narzędziem w rękach kapitalistów, wynajętym, aby gnębić i zabijać uboższych współobywateli.

— Dobrze, dobrze, nie będziemy się o to spierać — rzekł pogodnie policjant. — Myślę, że wszyscy spełniamy swoje obowiązki tak, jak je rozumiemy, tylko patrzmy na to inaczej. — Wychylił szklankę i chciał odejść, kiedy jego wzrok padł na twarz Jacka McMurdo, który stał ponury tuż obok. — O, witam! — zawołał, przypatrując mu się od stóp do głów. — Stary znajomy!

McMurdo odsunął się od niego.

— Nigdy nie byłem pańskim przyjacielem ani żadnego innego przeklętego łapsa — odparł.

— Znajomy nie zawsze jest przyjacielem — zauważył, uśmiechając się, kapitan. — Pan jest z pewnością Jack McMurdo z Chicago. Nie zaprzeczy pan chyba?

McMurdo wzruszył ramionami.

— Nie przeczę — odparł. — Myśli pan, że się wstydzę swojego nazwiska?

— Owszem, byłyby pewne powody.

— Co pan przez to rozumie? — ryknął, zaciskając pięści.

— No, no, Jack. Mnie nie oszukasz. Przed przyjazdem do tej dziury węglowej służyłem w Chicago i od razu rozpoznaję każdego tamtejszych hultajów, kiedy którego zobaczę.

McMurdo zmieszał się.

— Nie jest pan chyba kapitanem Marvinem z centrali w Chicago? — zawołał.

— Ten sam Teddy Marvin do usług. Nie zapomnieliśmy tam jeszcze o zastrzeleniu Jonasa Pinto.

— Nie zastrzeliłem go.

— Doprawdy? Co za bezstronne wyznanie, prawda? Jego śmierć przyszła dla pana w samą porę, inaczej odpowiadałbyś pan za fałszerstwo pieniędzy. Ale mówiąc między nami, możemy o tym zapomnieć. Właściwie nie powinienem o tym wspominać, bo nie znaleziono przeciw panu dowodów i Chicago stoi przed panem otworem, może pan wracać chociażby jutro.

— Tu mi zupełnie dobrze.

— Za taką wiadomość powinien mi pan podziękować, a nie się naburmuszać.

— Cóż, sądzę, że chciał pan dobrze, i dziękuję panu — odrzekł niezbyt grzecznym tonem McMurdo.

— Będę milczał, póki pan się będzie porządnie prowadził — rzekł kapitan. — Ale jeśli narazi się pan władzom... nie obiecuję! Dobranoc panu... dobranoc, panie radco.

Opuścił knajpę, ale stworzył lokalnego bohatera. Przedtem o chicagowskich wyczynach McMurdo mówiono szeptem. Wszystkie pytania zbywał uśmiechem, jak człowiek, któremu skromność nie pozwala opowiadać o własnych wielkich czynach. Teraz jednak pogłoski zostały potwierdzone. Goście w barze otoczyli go i serdecznie ściskali mu dłoń. Od tej chwili był już kimś. Mógł pić i miał mocną głowę, ale tego wieczoru, gdyby nie współtowarzysz Scanlan, który go odprowadził do domu, fetowany bohater z pewnością spędziłby noc pod ladą.

W sobotę w nocy McMurdo został wprowadzony do łoży. Sądził, że zostanie przyjęty bez zwykłych ceremonii, jako wtajemniczony już w Chicago. Ale w Vermissie panowały szczególne zwyczaje, z których bracia byli dumni i które obowiązywały każdego wstępującego. Zebranie miało miejsce w przeznaczonych do tego celu obszernej sali Domu Związkowego. W samej Vermissie wspólnota liczyła około sześćdziesięciu członków, ale nie była to cała organizacja. W dolinie istniało jeszcze kilka innych łoż, a za górami po obu stronach doliny były jeszcze inne. Do poważniejszych spraw wypożyczały sobie członków, tak że zbrodni dokonywali ludzie nieznani na miejscu. Ogółem liczyły nie mniej niż pięciuset braci, rozsianych po całym zagłębiu.

W sali posiedzeń mężczyźni zgromadzili się wokół długiego stołu. Obok stał drugi, zastawiony szklankami i butelkami, ku któremu zwracały się już oczy niektórych członków kompanii.

McGinty, w płaskiej czapeczce z czarnego jedwabiu na kędzierzawej, nieuczesanej, czarnej czuprynie i w purpurowej stule wokół szyi, co czyniło go podobnym do kapłana dokonywującego jakiegoś diabelskiego obrządku, siedział u szczytu stołu. Po lewej i prawej ręce miał starszynę łoży. Wśród nich widać było okrutną, przystojną twarz Teda Baldwina. Każdy z nich nosił szarfę lub medalion jako oznakę swojego urzędu. Byli to w większości ludzie dojrzały, ale reszta towarzystwa składała się z młodzieńców w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat, chętnych i pojętnych wykonawców rozkazów swych przełożonych. Między starszymi było wielu, których rysy twarzy zdradzały krwiożercze, zdeprawowane dusze, ale patrząc na zwykłych członków, trudno było uwierzyć, że ci rzutcy i serdeczni młodzieńcy stanowili właściwie niebezpieczną bandę morderców, których zmysły uległy tak kompletnemu moralnemu zwyrodnieniu, że z dumą opowiadali o swoich czynach i z najgłębszym szacunkiem patrzyli na człowieka, o którym wiadomo było, że dokonał, jak to nazywali, „mokrej roboty”. Ich spaczonym naturom wydawało się rzeczą wzniosłą i rycerską dybać na zgubę człowieka, który nie zrobił im żadnej krzywdy i którego w wielu przypadkach nigdy wcześniej nie widzieli. Po dokonaniu zbrodni klócili się o to, kto zadał śmiertelny cios, i zabawiali się nawzajem opisywaniem krzyków i konwulsyjnych ruchów ofiary. Z początku kryli się z swoimi czynami, ale w czasie, w którym rozgrywa się to opowiadanie, działali otwarcie, gdyż częste porażki prawa udowodniły, że z jednej strony nikt nie ośmielił się ich oskarżyć, z drugiej zaś, że rozporządzają całym

szeregiem pewnych świadków, na których mogą się powołać, oraz dobrze wypełnionym skarbcom, skąd mogą czerpać fundusze na pozyskanie najlepszych prawników w Stanach. W ciągu dziesięciu długich lat gwałtów nie było ani jednego wyroku skazującego i jedynie niebezpieczeństwo groziło Grasantom ze strony samej ofiary. Chociaż zaskoczona zniecka i przez przeważającą liczbę, mogła jednak dać się — i czasem dawała się — we znaki napastnikom.

McMurdo wiedział, że czeka go jakaś próba, ale nikt mu nie chciał powiedzieć, na czym polega. Dwóch milczących braci zaprowadziło go do bocznego pokoju. Przez cienką ściankę słyszał szmer wielu głosów dochodzący z pokoju zebrań. Raz czy dwa razy dosłyszał swoje nazwisko i domyślił się, że mówią o jego kandydaturze. Potem zjawił się strażnik z zielono-złotą szarfą na piersiach.

— Mistrz rozkazał go związać, związać mu oczy, a potem wprowadzić — powiedział.

We trzech zdjęli mu marynarkę, podwinęli prawy rękaw koszuli, owinęli wokół jego ciała linę i mocno skrępowali go powyżej łokci. Następnie założyli mu na głowę sięgający połowy twarzy, szczelny, czarny kaptur, tak że nic nie widział. Potem zaprowadzili go do sali zgromadzeń.

Pod kapturem było mu ciemno i duszno. Słyszał szepty i poruszenia otaczających go ludzi, a potem dotarł do jego uszu, z oddali i jakby przytłumiony, głos McGinty'ego.

— Johnie McMurdo — spytał głos — czy jesteś już członkiem Prześwietnego Zakonu Wolnych Ludzi?

Skłonił się na znak potwierdzenia.

— Czy twoja łoża to łoża 29 w Chicago?

Skłonił się znowu.

— Ciemne noce są przykre — rzekł głos.

— Tak, zwłaszcza dla obcych w podróży — odpowiedział.

— Chmury są ciężkie.

— Tak, burza nadchodzi.

— Czy bracia są zadowoleni? — zapytał mistrz.

Rozległ się głośny szmer potwierdzenia.

— Poznaliśmy, bracie, z twoich odpowiedzi, że rzeczywiście należysz do naszego grona — rzekł McGinty. — Musisz jednak wiedzieć, że w tych stronach mamy pewne własne rytuały i próby, którym sprostać może tylko człowiek dzielny. Czy zgadzasz się na nie?

— Tak.

— Czy jesteś śmiałego serca?

— Tak.

— Postąp krok naprzód, żeby udowodnić.

W tej chwili poczuł na oczach dwa ostrza, które cisnęły tak silnie, że ruch w przód groził utratą wzroku. Mimo to zebrał się na odwagę i śmiało zrobił krok naprzód, a wtedy poczuł, że ostrza cofnęły się. Rozległ się cichy szmer podziwu.

— Jest śmiałego serca — stwierdził głos. — Czy potrafisz znieść ból?

— Nie gorzej od innych.

— Poddajcie go próbie.

Z wielkim trudem powstrzymał się od krzyku, gdy przedramię przeszył mu straszliwy ból. O mało nie zemdlał, ale zagryzł wargi i zacisnął dłonie, żeby nie się zdradzić, jak cierpi.

— To głupstwo — rzekł. — Zniosę więcej.

Tym razem rozległ się gromkie brawa. Nikt lepiej nie przeszedł prób wstąpienia do łoży. Klepano go po plecach, zerwano mu kaptur z głowy. Stał, mrugając oczyma i przyjmując z uśmiechem życzenia braci.

— Jeszcze tylko słowo, bracie McMurdo — rzekł McGinty. — Złożyłeś już przysięgę wierności i milczenia i wiesz, że karą za jej złamanie jest szybka i nieuchronna śmierć?

— Wiem — odparł McMurdo.

— I poddajesz się wszelkim rozkazom mistrza?

— Tak.

— A więc w imieniu łoży 341, Vermissa, dopuszczam cię do jej obrad i przywilejów. Podaj butelki na stół, bracie Scanlan, napijemy się za zdrowie naszego godnego brata.

Przyniesiono marynarkę McMurdo, ale zanim ją włożył, oglądnął swoje prawe ramię, które nadal go mocno bolało. Na przedramieniu widać było wyraźny znak koła z wpisanym w nie trójkątem, głęboki, czerwony, wypalony przez piętnujące żelazo. Paru sąsiadów podwinęło rękawy i pokazało mu takie same znaki łoży.

— Wszyscy mamy ten znak — rzekł któryś — ale nie każdy zdobył go w tak dzielny sposób.

— Mniejsza z tym. To drobnostka — odpowiedział. Ale ramię wciąż paliło i bolało dotkliwie.

Kiedy już wypili, jak zwykle po ceremonii inicjacji, przystąpiono do spraw łoży. McMurdo przywykł jedynie do prozaicznych zebrań w Chicago, przysłuchiwał się temu, co nastąpiło, z otwartymi uszami i większym zdziwieniem, niż okazywał.

— Pierwszy punkt porządku dziennego — rzekł McGinty — to list, który zaraz odczytam, od okręgowego mistrza Windle, hrabstwo Merton, łoża 249. Píše nam:

Szanowny Panie! Jest zadanie do wykonania z Andrew Rae z firmy Rae i Sturmash, właścicielem pobliskich kopalni węgla. Przypomina Pan sobie zapewne, że Pańska łoża jest nam winna rewanż za skorzystanie ubiegłej jesieni z usług dwóch naszych braci w sprawie policjanta. Proszę o wysłanie dwóch odpowiednich ludzi do naszego skarbnika Higgensa, którego adres pan zna. Powie im, kiedy i gdzie działać. Pański zawsze wolny

*J. W. Windle.*

— Windle nigdy nam nie odmówił, kiedy prosiliśmy o wypożyczenie jednego czy dwóch ludzi, dlatego i my nie możemy mu odmówić. — McGinty przerwał i rozglądał się po pokoju ponurymi, złymi oczyma. — Kto na ochotnika?

Kilku młodzieńców podniosło ręce do góry. Mistrz spojrział na nich z zadowoleniem.

— Ty pójdiesz, Tygrysie Cormac. Jeśli sprawisz się tak dobrze jak ostatnim razem, nie zostaniesz pominięty. I ty, Wilson.

— Nie mam rewolweru — odpowiedział ochotnik, jeszcze bardzo młody chłopak.

— To twój pierwszy raz, prawda? Cóż, kiedyś musisz przejść krwawy chrzest. Będzie to dla ciebie ładny początek. Co do rewolweru, z pewnością będzie na ciebie czekał. Jeśli zgłoszycie się w poniedziałek, znajdzie się jeszcze dosyć czasu. Po powrocie przywitamy was serdecznie.

— Dostaniemy jakąś nagrodę? — zapytał Cormac, krępy, ciemnolity młodzieniec o brutalnej twarzy, którego dzikość pozyskała mu przydomek „Tygrysa”.

— Nie myślcie o nagrodzie. Robicie to dla honoru. Może zresztą po wykonaniu roboty znajdzie się parę dolarów na dnie skrzyni.

— A co zrobił ten człowiek? — zapytał młody Wilson.

— Nie twoja sprawa pytać, co zrobił. Już go tam osądzili. Nie nasza sprawa. Do nas należy wykonać zlecenie, tak samo jak oni by to zrobili na naszą prośbę. A skoro już o tym mowa, to w przyszłym tygodniu przybywają do nas dwaj bracia z łoży w Merton, załatwiać dla nas pewne sprawy.

— Kto to będzie? — zapytał jakiś głos.

— Lepiej nie pytać. Jeśli nic nie wiesz, nie będziesz mógł nic zeznać i nie wplątasz się w żadne kłopoty. Ale to bracia, którzy potrafią wykonać robotę.

— Czas najwyższy! — zawołał Ted Baldwin. — Ludzie tutaj już się rozzuchwalili. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu sztygar Blaker wyrzucił trzech naszych. Należy się mu od dłuższego czasu i dostanie, na co zasłużył.

— Co dostanie? — zapytał McMurdo sąsiada.

— Kulkę w łeb — krzyknął mężczyzna, wybuchając śmiechem. — Co myślisz o naszych metodach, bracie?

Wyglądało na to, że przestępcza dusza McMurdo uległa już złym wpływom towarzystwa, którego był teraz członkiem.

— Bardzo mi się podobają — odparł. — Odpowiednie dla odważnych chłopaków.

Kilku siedzących w pobliżu usłyszało jego słowa i przyjęło je oklaskami.

— Co tam się dzieje? — zawołał czarnowłosy mistrz z drugiego końca stołu.



— Nowy brat mówi, że nasze sposoby mu się podobają.

McMurdo wstał.

— Chciałem powiedzieć, czcigodny mistrzu, że gdyby potrzebowano człowieka, uważałbym za zaszczyt, jeśli bym został wybrany, żeby przysłużyć się łożu.

Znowu rozległy się oklaski. Zrozumiano, że na horyzoncie pojawiła się nowa gwiazda. Kilku starszym ten postępek wydawał się nieco za prędko.

— Chciałbym podkreślić — rzekł sekretarz Harraway, starzec z siwą brodą i twarzą sępa, siedzący obok przewodniczącego — że brat McMurdo powinien czekać, aż łoża uzna za stosowne się nim posłużyć.

— Oczywiście, to miałem na myśli. Oddaję się w wasze ręce — odparł McMurdo.

— Przyjdzie czas i na ciebie, bracie — rzekł mistrz. — Zauważyliśmy, że sam się zgłosiłeś, i jesteśmy przekonani, że czeka cię w tej okolicy ładna praca. Mamy dziś w nocy do załatwienia drobną sprawę, w której możesz wziąć udział, jeśli chcesz.

— Wolalbym zaczekać na coś grubszego.

— Mimo to idź dzisiejszej nocy, to da ci wyobrażenie, jak wielką władzę mamy w tej okolicy. Szczegóły podam później. Tymczasem — spojrzał na porządek dzienny — musimy omówić jeszcze jedną czy dwie sprawy. Przede wszystkim chciałbym zapytać skarbnika, jak się przedstawia nasz rachunek bankowy. Chodzi o wdowę po Jimie Carnawayu. Zginął w służbie łożu i naszym obowiązkiem jest ją zaopatrzyć.

— Jim został zastrzelony w ubiegłym miesiącu, kiedy próbowano zabić Chestera Wilcoxa z Marley Creek — poinformował sąsiad McMurdo.

— W tej chwili radzimy sobie dobrze — rzekł skarbnik, patrząc w księgę bankową. — Firmy były bardzo hojne w ostatnim czasie. Max Linder and Co zapewniła sobie spokój za cenę pięciuset dolarów. Bracia Walker posłali sto, ale zwróciłem im tę sumę, żądając pięciuset. Jeśli do wtorku nie otrzymam odpowiedzi, ich maszyny staną. Musieliśmy ubiegłego roku spalić im szyb, zanim zmadrzeli. Następnie, swoją roczną składkę zapłacił Zachodni Oddział Kompanii Węglowej. Możemy wobec tego pokryć wszelkie zobowiązania.

— A co z Archiem Swindonem? — zapytał jeden z braci.

— Sprzedał wszystko i wyjechał z okręgu. Stary diabeł zostawił nam list z oświadczeniem, że woli być prostym robotnikiem w Nowym Jorku niż właścicielem wielkiej kopalni zależnym od garści bandytów. Dobrze zrobił, że uciekł, zanim otrzymaliśmy ten list. Sądzę, że nie odważy się już pokazać w dolinie.

Starszy mężczyzna bez zarostu, z uprzejmą twarzą i dobronudszym wejrzeniem, wstał z miejsca na drugim końcu stołu.

— Panie skarbniku — zawołał — chciałbym się dowiedzieć, kto kupił własność tego człowieka, którego wypędziliśmy z okręgu?

— Dobrze, bracie Morris. Kupiło ją Towarzystwo Kolejowe State and Merton.

— A kto kupił kopalnię Todmana i Lee, które z podobnych powodów wystawiono na sprzedaż w ubiegłym roku?

— To samo Towarzystwo, bracie Morris.

— A kto kupił huty Mansona i Shumana, Van Dehera i Atwooda, porzucone ostatnio przez właścicieli?

— Kupiło je Zachodnie Towarzystwo Górnicze Gilmerton.

— Sądzę, bracie Morris — rzekł przewodniczący — że to dla nas obojętne, kto je kupuje, bo i tak nie może ich wynieść z okręgu.

— Przepraszam, czcigodny mistrzu, ale sądzę, że to ma dla nas wielkie znaczenie. Dzieje się to już od dziesięciu lat. Wypędziliśmy stopniowo wszystkich mniejszych przedsiębiorców. I z jakim rezultatem? Zamiast nich mamy do czynienia z wielkimi towarzystwami, takimi jak kolejowe i górniczo-hutnicze, których dyrekcje znajdują się w Nowym Jorku lub w Filadelfii i nic sobie nie robią z naszych gróźb. Możemy sprzątnąć miejscowych przedstawicieli, ale na ich miejsce przyjdą inni. Postępując w ten sposób, stwarzamy dla siebie bardzo niebezpieczną sytuację. Mniejsi przedsiębiorcy nie mogą nam zaszkodzić. Nie mają ani władzy, ani pieniędzy. Jeśli nie będziemy ich zanadto ciśnąć, pozostaną na miejscu i pod naszym wpływem. Jeśli jednak wielkie towarzystwa dojdą do przekonania, że niekorzystnie wpływamy na ich dochody, nie będą szczerzyć trudu i kosztów, aby nas wyśledzić i postawić przed sądem.

Po tych złowróżbnych słowach zapadło milczenie, twarze posmutniały i wymieniano niespokojne spojrzenia. Uważali się za tak potężnych i bezpiecznych, że myśl o grożącej karze nigdy nie zaprzętała ich umysłów. A jednak przypuszczenie to przyprawiło o dreszcz nawet najodważniejszych.

— Radziłbym więc — ciągnął dalej Morris — abyśmy obchodzili się łagodniej z mniejszymi przedsiębiorcami. Tego dnia, kiedy wypędzimy ich wszystkich, potęga naszego związku się załamie.

Nieprzyjemna prawda nie jest popularna. Zaledwie mówiący usiadł, odezwały się gniewne okrzyki. McGinty wstał z ponurą twarzą.

— Bracie Morris — rzekł — zawsze kraczesz. Jak długo członkowie łoży trzymają się razem, nie ma siły w Stanach, która mogła by im zagrozić. Czyż nie przekonaliśmy się o tym niejednokrotnie przed sądem? Myślę, że wielkie towarzystwa będą wolały płacić niż walczyć, tak samo jak mniejsze. A teraz bracia... — McGinty zdjął czarną jedwabną czapkę i stulę — posiedzenie łoży jest na dziś zakończone, wyjąwszy drobną sprawę, o której wspomnę przy pożegnaniu. Czas na braterskie rozrywki i wspólną pogawędkę.

Dziwna jest ludzka natura. Oto ludzie, dla których morderstwo było chlebem powszednim, którzy niejednokrotnie zabijali ojców rodzin, osoby, z którymi nic ich nie łączyło, bez litości i współczucia dla oplakujących ich żon i bezradnych dzieci, a którzy jednak pod wpływem żalostnej, tęsknej muzyki wzruszali się do łez. McMurdo miał ładny tenorowy głos i gdyby sobie już wcześniej nie pozyskał braci, zdobyłby sobie ich uznanie, zaśpiewawszy: *Czekam przy przelazie, Mary*<sup>44</sup> i *Nad brzegami Allan Water*<sup>45</sup>. Już pierwszej nocy nowy członek łoży stał się jednym z najpopularniejszych braci, przeznaczanym z góry na awans i wysokie godności. Ale poza trzeba było mieć jeszcze inne zalety, nie tylko być dobrym towarzyszem, a ich przykład dał, zanim wieczór się skończył. Butelka whisky krążyła już długo, twarze poczerwieniały, a ludzie stali się pochopni do rozmaitych złych czynów, kiedy mistrz wstał i raz jeszcze zwrócił się do nich:

— Chłopcy — rzekł — mamy tu w mieście człowieka, który potrzebuje nauczki, i waszą rzeczą będzie postarać się o to. Mówię o Jakubie Stangerze z „Heralda”. Widzieliście, że znowu szczekał na nas?

Rozległ się szmer potwierdzenia i szereg cichych przekleństw. McGinty wyjął z kieszeni kamizelki ćwiartkę papieru i zaczął czytać:

Prawo i Porządek! — oto nagłówek. — Rządy terroru w zagłębiu węglowo-hutniczym. Minęło dwanaście lat od chwili, kiedy pierwsze zabójstwa dowiodły istnienia wśród nas zbrodniczej organizacji. Od tego czasu gwałty nie ustały, tak że dziś staliśmy się hańbą cywilizowanego świata. A więc dlatego kraj nasz przyjmuje gościnnie obcych, którzy uciekają przed despotyzmem Europy, aby się ci stali tyranami dla ludzi, którzy użyczyli im schronienia, i aby terror i bezprawie zapanowało w cieniu gwiazdzonego sztandaru wolności, terror, który wzbudziłby grozę w naszych umysłach, gdybyśmy czytali o nim, że panoszy się w najbardziej zmurszałej monarchii Starego Świata? Ludzie są znani. Organizacja jest jawna i ogólnie znana. Jak długo będziemy to znosić? Czy mamy wiecznie żyć...

— Przeczytałem dosyć! — zawołał przewodniczący, rzucając gazetę na stół. — Oto jego słowa. Pytam, jak mamy na nie odpowiedzieć?

— Zabić go! — zawołało kilkanaście dzikich głosów.

— Protestuję — rzekł brat Morris, mężczyzna z gładką twarzą i dobrodusznym wejściem. — Mówię wam, bracia, że ręka nasza cięży za bardzo nad tą doliną i że w pewnej chwili wszyscy złączą się w samoobronie, aby nas zniszczyć. Jakub Stanger to stary człowiek. Cieszy się szacunkiem w mieście i całym okręgu. Jego dziennik reprezentuje wszystkich uczciwych obywateli doliny. Jeśli zabijemy tego człowieka, wywołamy wzburzenie w całym Stanach, które zakończy się naszym zniszczeniem.

<sup>44</sup>*Czekam przy przelazie, Mary* (ang. *I'm Sitting by the Stile, Mary*) — ludowa piosenka imigrantów irlandzkich. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*Nad brzegami Allan Water* (ang. *Banks Of Allan Water*) — szkocka piosenka autorstwa Matthew Gregory'ego Lewisa (1775–1818). [przypis edytorski]

— A jak nas zniszczą, Panie Trwożliwy? — zawołał McGinty. — Z pomocą policji? Przecież połowa jest na naszym żołdzie, a druga połowa się nas boi. A może na drodze sądowej? Czy już tego nie doświadczyliśmy? I co z tego wynikło?

— Może nam dać radę sędzia Lincz — odparł brat Morris.

Słowa te przywiał okrzyk gniewu.

— Wystarczy, że kiwnę palcem — zawołał McGinty — a zjawi się tu dwustu ludzi, którzy oczyszczą całe miasto.

Potem, podnosząc głos i groźnie marszcząc potężne, czarne brwi, dodał:

— Bracie Morris, już od pewnego czasu mam cię na oku. Nie masz odwagi i próbujesz pozbawić jej innych. Będzie to dla ciebie fatalny dzień, bracie Morris, kiedy twoje nazwisko znajdzie się na porządku dziennym, i sądzę, że powinienem je już teraz zanotować.

Moris zbladł śmiertelnie i padł na krzesło, jakby nie mogąc utrzymać się na nogach. Podniósł drżącą ręką szklankę i wychylił ją, zanim zdobył się na odpowiedź.

— Przepraszam cię, czcigodny mistrzu, i przepraszam wszystkich braci w loży, jeśli powiedziałem więcej, niż było trzeba. Jestem wiernym członkiem, wiecie to wszyscy, i tylko obawa o lożę każe mi mówić w ten sposób. Ale ufam bardziej twojemu sądowi niż mojemu, czcigodny mistrzu, i przyrzekam, że to się więcej nigdy nie powtórzy.

Rysy mistrza wypogodziły się na te pełne pokory słowa.

— Bardzo dobrze, bracie Morris. Mnie samemu byłoby przykro, gdybyśmy musieli dać ci nauczki, ale jak długo ja jestem mistrzem, w loży będzie panować jedność w słowach i w czynie. A teraz, chłopcy... — mówił dalej, rozglądając się po towarzystwie — powiem tyle, że gdyby Sanger dosłał to, na co w zupełności zasługuje, ściąglibyśmy na siebie ciężki kłopot. Ci redaktorzy trzymają się razem i wszystkie gazety w Stanach zaczęłyby wołać o policję i wojsko. Ale możecie mu dać porządną nauczki. Może ty się tym zajmiesz, bracie Baldwinie?

— Oczywiście! — z zapalem zawołał młody człowiek.

— Ilu ludzi ci potrzeba?

— Z sześciu i dwóch do pilnowania drzwi. Pójdiesz ty, Gower, ty, Mansel, ty, Scanlan, i dwóch Willabych.

— Przyrzekłem nowemu bratu, że też pójdzie — zauważył mistrz.

Ted Baldwin spojrział na McMurdo wzrokiem, który wskazywał, że nie zapomniał i nie przebaczył.

— Może iść, jeśli chce — rzekł kwaśnym tonem. — Tylu wystarczy. Im wcześniej zajmujemy się sprawą, tym lepiej.

Towarzystwo rozeszło się z krzykiem, wyciem i pijackimi śpiewami. Bar był jeszcze przepelniony nocnymi gośćmi i sporo braci dołączyło do nich. Mała grupka wybranych do zadania rozdzieliła się i podążyła chodnikiem parami i trójkami, aby nie zwracać na siebie uwagi. Noc była mroźna, a na usianym gwiazdami niebie jasno świecił sierp księżyca. Mężczyźni zatrzymali się przed wysokim budynkiem. Między jasno oświetlonymi oknami widniały złote litery: „Vermissa Herald”. Ze środka dobiegał hałas pracującej prasy drukarskiej.

— Ty tutaj — powiedział Baldwin do McMurdo — staniesz na dole przy drzwiach i będziesz pilnował, żeby nam kto nie odciął odwrotu. Artur Willaby może zostać z tobą. Reszta pójdzie ze mną. Nie bójcie się, chłopcy, mamy z tuzin świadków, że jesteśmy w tej chwili w barze związkowym.

Dochodziła północ i ulice były prawie puste. Tylko tu i ówdzie jakiś hulaka wracał do domu. Przeszli więc przez ulicę i otworzyli drzwi redakcji. Baldwin i jego towarzysze wpadli do środka i wbiegli po schodach. McMurdo i Willaby zostali na dole. Z góry doleciał krzyk, wołanie o pomoc, a potem tupot nóg i odgłos przewracanych krzeseł. W chwilę później na schody wybiegł siwowłosy mężczyzna. Pochwycono go, zanim zdołał pobiec dalej. Jego okulary potoczyły się do stóp McMurdo. Upadł z jękiem na ziemię. Leżał na twarzy, a tuzin kijów wzięło go w obroty. Wił się, a jego długie, cienkie kończyły drgały pod uderzeniami. Inni przestali w końcu, ale Ted Baldwin, z okrutną twarzą, ściągniętą w diabelskim uśmiechu, tłukł go wciąż po głowie, którą tamten nadaremnie osłaniał ramionami. Smugi krwi zboczyły jego siwe włosy. Baldwin wciąż pochylał się nad swoją

Przemoc

ofiara i zadawał krótkie, okrutne ciosy, gdzie tylko dostrzegł odsłonięty kawałek ciała, kiedy McMurdo wbiegł po schodach i odepchnął go na bok.

— Zabijesz go! — krzyknął. — Zostaw!

Baldwin spojrział na niego ze zdumieniem.

— Niech cię diabli wezmą! — wrzasnął. — Kim jesteś, żeby się wtrącać?... Ty, nowicjusz w loży? Odsuń się!

Uniósł kij, ale McMurdo wydobyl z kieszeni rewolwer.

— Ty się odsuń! — zawołał. — Rusz mnie, a wpakuję ci kulę. Mistrz nie pozwolił zabijać tego człowieka, a ty co robisz, próbujesz go zatłuc?

— Ma rację — zauważył jeden z mężczyzn.

— Pośpieszcie się! — zawołał Willaby z dołu. — W oknach pozapalały się światła i za pięć minut będziemy mieli na karku całe miasto.

Istotnie, na ulicy słychać było wołania, a w przedsionku na dole zebrała się grupka zecerów i łamaczy składu, gotowa wkroczyć w każdej chwili. Zbrodniarze zbiegli po schodach, pozostawiając na górze bezwładne, nieruchome ciało redaktora, i szybkim krokiem ruszyli ulicą. Po dojściu do Domu Związkowego niektórzy wmieszali się w tłum w barze McGinty'ego, szeptem przekazując Szefowi, że robota została wykonana. Inni, a wśród nich McMurdo, poszli bocznymi uliczkami i okrężną drogą wrócili do domów.

## ROZDZIAŁ XI. DOLINA TRWOGI

Kiedy McMurdo zbudził się nazajutrz rano, przypomniał sobie od razu swoje wstąpienie do loży. Głowa bolała go od wypitych trunków, a ramię w miejscu, gdzie je napiętnowano, było obrzękłe i gorące.

Mając własne, szczególne źródło dochodów, nie przejmował się godzinami pracy, zjadł zatem późno śniadanie i został przez cały ranek w domu, pisząc długi list do przyjaciela. Potem przeglądnął „Heralda”. W osobnej kolumnie, złożonej w ostatniej chwili, przeczytał: „Napad na redakcję »Heralda«. Redaktor ciężko ranny”. Był to krótki opis faktów, o których sam wiedział lepiej niż piszący. Kończył się stwierdzeniem:

Sprawa jest w ręku policji, ale nie należy się ludzić, aby jej wysiłki odniosły lepszy skutek niż dawniej. Kilku napastników rozpoznano i może da się im udowodnić winę.

Źródłem napaści — nie trzeba chyba wspominać — była ta ohydna organizacja, która od tak dawna daje się we znaki tutejszej ludności i wobec której „Herald” zajął tak bezwzględne stanowisko. Pocięchą dla wielu przyjaciół pana Stangera będzie wiadomość, że chociaż został okrutnie i brutalnie pobity i odniósł szereg ciężkich obrażeń na głowie, życiu jego nie zagraża bezpośrednio niebezpieczeństwo.

Na dole znajdowała się wzmianka, że do obrony redakcji zawezwano straż z Policji Kopalnianej, uzbrojoną w winchestery<sup>46</sup>.

McMurdo złożył gazetę i drżącą ręką zapalił fajkę, kiedy zapukano do drzwi i gospodyni przyniosła mu kartkę, wręczoną jej przez jakiegoś chłopca. Była bez podpisu i brzmiała następująco:

Chciałbym pomówić z panem, ale nie u pana w domu. Czekam obok masztu w Miller Hill. Mam do powiedzenia coś ważnego, zarówno dla pana, jak i dla mnie.

McMurdo przeczytał kartkę dwukrotnie, niezmiernie zdziwiony, gdyż nie mógł pojąć, co oznacza i kto był jej autorem. Gdyby była napisana ręką kobiecą, mógłby przypuszczać, że to początek jednej z tych przygód, które dobrze znał z dawnych czasów. Ale było to pismo mężczyzny, w dodatku dobrze wykształconego. W końcu po pewnym wahaniu postanowił usłuchać wezwania.

Miller Hill to zapuszczony park publiczny na wzgórzu w centrum miasta. W lecie odwiedzają go tłumy ludzi, ale w zimie jest pusty. Ze szczytu rozciąga się widok nie tylko

<sup>46</sup>*winchester* — amerykański karabin powtarzalny produkowany przez Winchester Repeating Arms Company, którego kolejne wersje cieszyły się popularnością na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

na brudne, rozległe miasto, ale i na krętą dolinę z jej kopalniami i fabrykami czerniącymi śnieg na stokach i pokrytymi lasem górami, które ją otaczają. McMurdo szedł powoli na wzgórze krętą ścieżką obramowaną żywopłotem, aż wreszcie znalazł się przed opuszczoną restauracją, ośrodkiem letnich spotkań towarzyskich. Opodal stał maszt, teraz bez flagi, a pod nim człowiek z nasuniętym na czoło kapeluszem i podniesionym kołnierzem pałta. Kiedy się odwrócił, McMurdo rozpoznał brata Morrisa, który ubiegłej nocy naraził się na gniew mistrza. Przywitali się, wymieniając znaki łoży.

— Chciałem z panem pomówić, panie McMurdo — powiedział starszy mężczyzna z pewnym wahaniem, które wskazywało, że sprawa jest delikatnej natury.

— Dlaczego się pan nie podpisał?

— Lepiej być ostrożnym. Nigdy nie wiadomo, jaki obrót przybierze sprawa. Nie wiadomo, komu zawierzyć, a komu nie.

— Chyba można wierzyć braciom z łoży?

— Nie, nie zawsze — zawołał gwałtownie Morris. — Cokolwiek się mówi, a nawet myśli, zdaje się docierać McGinty'ego.

— Zwracam panu uwagę — rzekł surowo McMurdo — że dopiero ubiegłej nocy, jak pan wie, przysiągłem wierność naszemu mistrzowi. Czy chce pan, abym złamał przysięgę?

— Jeśli tak pan na to patrzy — odrzekł Morris smutno — szkoda, że pana fatygowałem. Źle się dzieje, jeśli dwaj wolni obywatele nie mogą swobodnie rozmawiać o tym, co myślą.

McMurdo, który przyglądał się bacznie swojemu towarzyszowi, zmiękł na te słowa.

— Mówię tylko za siebie — powiedział. — Jestem tutaj nowy, jak pan wie, i nie orientuję się w tutejszych stosunkach. Nie moja to rzecz, panie Morris, zabierać głos w tej sprawie, ale jeśli ma mi pan coś do powiedzenia, słucham.

— I powtórzę mistrzowi McGinty'emu — rzekł Morris z goryczą.

— Jest pan niesprawiedliwy! — zawołał McMurdo. — Pozostanę lojalny wobec łoży i zaznaczam to z góry, ale byłbym podły, gdybym powtórzył to, co mi pan powie w sekrecie. Ostrzegam jednak, proszę nie liczyć ani na moją pomoc, ani współczucie.

— Od dawna ich się nie spodziewam — rzekł Morris. — Oddaję się panu na łaskę i niełaskę, ale chociaż nie jest pan złym człowiekiem — ubiegłej nocy zdawało mi się, że chce pan jednak dorównać najgorszym z nich — wszystko to jest jeszcze dla pana nowe i dlatego nie może pan być jeszcze tak zepsuty jak inni. Dlatego postanowiłem z panem pomówić.

— I cóż chce mi pan powiedzieć?

— Jeśli mnie pan zdradzi, bodajby pan zginął.

— Mówiłem, że pana nie zdradzę.

— Chciałem zapytać, czy wstępując do łoży w Chicago i składając ślub braterstwa i miłości bliźnich, mógł pan przypuszczać, że doprowadzi to pana do zbrodni?

— Jeśli nazywa pan to zbrodnią... — odpowiedział McMurdo.

— Nazywam to zbrodnią — zawołał Morris głosem drżącym z oburzenia. — Jeszcze mało pan widział? Czy to nie było zbrodnią, że stary człowiek, który mógłby być pańskim ojcem, został pobity do krwi? Czy to nie zbrodnia? Jakże pan to nazwie?

— Niektórzy nazwaliby to wojną — odparł McMurdo. — Zaciętą walką klasową, walką bez pardonu.

— Czy spodziewał się pan jednak czegoś podobnego, kiedy wstępował pan do łoży w Chicago?

— Nie, przyznaję otwarcie, że nie.

— Ani ja, kiedy wstępowałem w Filadelfii. Był to klub dobroczynny i miejsce zebrań towarzyskich. Potem usłyszałem o tym miejscu — niechaj będzie przeklęta godzina, kiedy raz pierwszy jego miano obito mi się o uszy! — i wybrałem się tu, aby sobie poprawić byt. Mój Boże, poprawić byt! Zabrałem ze sobą żonę i troje dzieci. Otworzyłem sklep na Market Street i dobrze mi się powodziło. Rozeszła się wieść, że należę do Wolnych Ludzi i zostałem zmuszony wstąpić do miejscowej łoży, tak samo jak pan wczoraj. Na przedramieniu noszę piętno hańby, a jeszcze gorsze piętno na sercu. Przekonałem się, że podlegam rozkazom przestępcy i że wpadłem w gniazdo zbrodniarzy. Co miałem robić? Wszelkie moje szlachetniejsze rady uważano za zdradę, tak jak ubiegłej nocy. Nie mogę

wyjechać, bo całym moim majątkiem jest sklep. Jeśli opuszczę łóżę, zamordują mnie, cóż się stanie wówczas z moją żoną i dziećmi? Och, to straszne... straszne! — Ukrył twarz w dłoniach, a jego ciałem wstrząsało konwulsyjne łkanie.

McMurdo wzruszył ramionami.

— Pan jest za miękki — rzekł. — Nie nadaje się pan do tego.

— Mam sumienie i zasady religijne, a jednak zrobili ze mnie zbrodniarza. Przydzielono mi zadanie. Wiem, co by się stało, gdybym się uchylił. Może jestem tchórzem. A może myśl o biednej żonie i dzieciach robi ze mnie tchórza. Tak czy owak, zgodziłem się. Będzie mnie to dręczyć do końca życia. To był dom na odludziu, o dwadzieścia mil stąd, za górami. Kazano mi zostać przed drzwiami, jak panu ubiegłej nocy. Nie uważali mnie za zdolnego do roboty. Inni weszli do środka. Kiedy wyszli, ich dłonie były zbroszone krwią. Gdy odchodziliśmy, usłyszałem z domu za nami krzyk dziecka. To był pięcioletni chłopczyk, któremu zamordowano ojca na jego oczach... Zrobiło mi się słabo, a jednak musiałem pokazać uśmiechniętą i pewną twarz, bo dobrze wiedziałem, że w przeciwnym razie następnym domem, z którego wyjdą z zakrwawionymi rękoma, będzie mój dom i że mój mały Fred będzie opłakiwał swojego ojca. Ale stałem się zbrodniarzem, współwinnym morderstwa, straconym dla tego i tamtego świata na zawsze. Jestem dobrym katolikiem, ale ksiądz nie chciał ze mną rozmawiać, kiedy się dowiedział, że jestem Grantem. Kościół mnie odrzucił. Oto, czym jestem. A teraz widzę, że wchodzi pan na tę samą drogę i pytam: jak się to wszystko skończy? Czy decyduje się pan zostać bezlitosnym mordercą, czy też zdołamy znaleźć razem jakąś radę i zapobiec temu?

— Co pan chce zrobić? — zapytał krótko McMurdo. — Zawiadomić władze?

— Broń Boże! — zawołał Morris. — Samą myśl o tym przypląciłbym życiem.

— To dobrze — rzekł McMurdo. — Sądzę, że jest pan słabym człowiekiem i że za bardzo przejmuję się pan tymi sprawami.

— Za bardzo? Niech pan zaczeka, aż pan pożyje tu dłużej. Niech pan spojrzy na dolinę! Popatrz na setki dymiących kominów! Mówię panu, że zbrodnia wisi nad głowami mieszkańców w gęstszych i groźniejszych obłokach niż chmury dymu. To Dolina Trwogi... Dolina Śmierci. Strach gnieździ się w sercu każdego w dzień i w nocy. Poczekaj, młodzieńcze, a sam się przekonasz...

— Dobrze, wówczas powiem panu, co o tym sądzą — rzekł obojętnie McMurdo. — Jasne tylko, że to nie miejsce dla pana i im prędzej pan wszystko sprzeda, nawet gdyby dawano tylko dziesiątaka za dolara wartości sklepu, tym lepiej dla pana. O tym, co mi pan mówił, nie wspomnę nikomu, ale gdybym się przekonał, że jest pan donosicielem...

— Nie, nie jestem! — zawołał Morris żalonym tonem.

— Cóż, poprzestańmy na tym. Zapamiętam sobie, co mi pan powiedział, i może kiedyś do tego wrócę. Mam nadzieję, że mówił to pan w najlepszych zamiarach. A teraz wracam do domu.

— Jeszcze słowo — powiedział Morris. — Mogli nas widzieć razem. Może nas zapytają, o czym rozmawialiśmy.

— Ach, dobrze by było się nad tym zastanowić.

— Proponowałem panu posadę subiekta w moim sklepie.

— A ja odrzuciłem propozycję. To temat naszej rozmowy. Życzę szczęścia w przyszłości, bracie Morris.

Tego samego popołudnia, kiedy McMurdo siedział, paląc papierosa przy kominku w swoim pokoju, zatopiony w myślach, drzwi otworzyły się nagle i na progu stanęła rosła postać mistrza McGinty'ego. Powitał go znakiem, a potem, siadłszy naprzeciwko młodzieńca, przez pewien czas wpatrywał się w niego badawczo. Spotkał się jednak z równie nieustępliwym spojrzeniem.

— Nieczęsto składam wizyty, bracie McMurdo — rzekł w końcu. — Jestem zbyt zajęty przyjmowaniem własnych gości. Pomyślałem jednak, że zrobię wyjątek i odwiedzę cię w twoim domu.

— To dla mnie zaszczyt, panie radco — odpowiedział serdecznie McMurdo, stawiając na stole flaszkę whisky. — To zaszczyt, którego się nie spodziewałem.

— Jak ręka? — zapytał Szeff.

McMurdo skrzywił się.

— Nie daję o sobie zapomnieć — odrzekł. — Ale jestem zadowolony.

— Tak. Ci, którzy są lojalni, mogą być zadowoleni i są dla loży rzeczywiście pomocą. O czym rozmawiałeś z bratem Morrisem w Miller Hill dziś rano?

Pytanie padło tak nagle, że dobrze się stało, iż McMurdo miał z góry przygotowaną odpowiedź. Wybuchnął serdecznym śmiechem.

— Morris nie wiedział, że mogę zarobić na życie tu, w domu, i nie dowie się, bo uważam go za człowieka pełnego skrupułów. Ale ma dobre serce. Zdawało mu się, że nie mam roboty, i chciał mi pomóc, proponując posadę w swoim sklepie.

— Ach tak, o to chodziło?

— Tak, o to.

— I odmówiłeś?

— Oczywiście. Czyż nie zarobię dziesięć razy więcej w domu, pracując tylko cztery godziny dziennie?

— Słusznie. Ale na twoim miejscu nie zadawałbym się zbyt z Morrisem.

— Dlaczego?

— Choćby dlatego, że ja tak mówię. Większości ludzi w tych stronach tyle wystarczy.

— Może większości, ale nie mnie, panie radco — rzekł śmiało McMurdo. — Jeśli zna się pan na ludziach, powinien pan wiedzieć.

Olbrzym popatrzył na niego, a jego włochata łapa zacisnęła się na szklance, jakby chciał ją cisnąć w głowę rozmówcy. Potem wybuchnął swoim nieszczerym, hałaśliwym śmiechem.

— Cudaczny z ciebie człowiek — rzekł. — Dobrze, jeśli chcesz, podam ci powody. Czy Morris nie mówił nic złego o loży?

— Nie.

— Ani o mnie?

— Nie.

— To dlatego, że ci nie ufa. Ale w głębi duszy nie jest lojalnym bratem. Wiemy o tym dobrze i dlatego go śledzimy, czekając, aż przyjdzie pora udzielić mu napomnienia. Sądzę, że to już niedługo. W naszej zagrodzie nie ma miejsca dla parszywych owiec. A gdybyś zadawał się z kimś nielojalnym, mogliśmy i o tobie pomyśleć to samo. Pojmujesz?

— O to nie ma obawy, bo go nie lubię — odpowiedział McMurdo. — A jeśli chodzi o moją nielojalność, to gdyby chodziło o kogo innego, nie o pana, mistrzu, nie powtórzyłby drugi raz tego słowa.

— Cóż, to wystarczy — rzekł McGinty, opróżniając swoją szklankę. — Przyszedłem cię ostrzec w stosownym czasie i ostrzegłem.

— Chciałbym się jednak dowiedzieć, kto panu powiedział, że w ogóle rozmawiałem z Morrisem.

McGinty roześmiał się.

— To mój obowiązek wiedzieć, co się dzieje w mieście — odparł. — Dobrze, żebyś o tym pamiętał. No, czas na mnie, powiem jeszcze tylko...

Ale jego pożegnanie zostało przerwane w niespodziewany sposób. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i trzy poważne, surowe oblicza spojrzały do środka spod daszków policyjnych czapek. McMurdo skoczył na nogi i sięgnął po rewolwer, ale zatrzymał się, widząc wycelowane w swoją głowę dwa winchestery. Do pokoju wszedł mężczyzna w mundurze, z sześciostrażalowym rewolwerem w ręku. Był to kapitan Marvin, niegdyś z Chicago, obecnie z Policji Kopalnianej. Potrząsnął głową z uśmiechem, patrząc na McMurdo.

— Byłem pewny, że będzie pan miał kłopoty, panie oszuście McMurdo z Chicago — rzekł. — Nie może się pan od tego powstrzymać, co? Bierz pan kapelusz i chodź z nami!

— Zapłaci pan za to, kapitanie Marvin — odezwał się McGinty. — Jakim prawem wdiera się pan w ten sposób do prywatnego domu i napastuje uczciwych, praworządnych obywateli?

— To nie o pana chodzi, radco McGinty — odparł kapitan policji. — Przyszliśmy nie po pana, tylko po McMurdo. Pańskim obowiązkiem jest nam pomóc, a nie przeszkadzać.

— To mój przyjaciel, za którego odpowiadam — rzekł Szef.

— Kiedyś przyjdzie czas, że będzie pan musiał odpowiadać i za siebie — odparł kapitan policji. — Ten McMurdo był przestępcą, zanim tu przybył, i jest przestępcą nadal. Trzymajcie go na muszce, posterunkowy, a ja go rozbroję.

— Oto mój rewolwer — rzekł McMurdo spokojnym głosem. — Gdybyśmy byli sami, kapitanie Marvin, nie oddałbym go tak łatwo.

— Gdzie nakaz aresztowania? — zapytał McGinty. — Słowo daję, z takimi ludźmi w policji jak pan bez różnicy, czy człowiek żyje w Rosji, czy w Dolinie Vermissy. To kapitalistyczna przemoc i nie puszcę tego płazem.

— Zrobi pan, panie radco, co pan uważa za stosowne. My zrobimy swoje.

— O co jestem oskarżony? — zapytał McMurdo.

— O udział w pobiciu starego redaktora Stangera w biurze „Heralda”. I niech się pan cieszy, że nie chodzi o morderstwo.

— Jeśli to wszystko, co mu zarzucacie — zawołał, śmiejąc się, McGinty — to szkoda zachodu. Ten człowiek był w moim barze i grał w pokera do północy, co może poświadczyć z tuzin świadków.

— To pańska sprawa. Jutro wyjaśni się w sądzie. Tymczasem chodź, McMurdo, i zachowuj się spokojnie, inaczej kula w łeb. Proszę się odsunąć, panie McGinty, bo ostrzegam, że na służbie nie zniosę żadnego oporu.

Kapitan miał tak stanowczy wyraz twarzy, że zarówno McMurdo, jak i jego mistrz musieli się podporządkować. McGinty zdołał jeszcze szepnąć kilka słów więźniowi, zanim się rozstali.

— A co z... — gestem kciuka wskazał, że chodzi o prasę do bicia monet.

— Wszystko w porządku — szepnął McMurdo, który bezpiecznie ukrył ją pod podłogą.

— Do widzenia! — rzekł mistrz, ściskając mu rękę. — Pomówię z adwokatem Reillym i zajmę się twoją obroną. Możesz mi wierzyć, że wkrótce będziesz wolny.

— Nie liczyłbym na to. Pilnujcie więźnia i strzelajcie, jeśli będzie próbował jakichś sztuczek. Przeszukam jeszcze dom.

Tak też zrobił, ale najwidoczniej nie znalazł ukrytej prasy. Kiedy zszedł na dół, razem z swoimi ludźmi odprowadził McMurdo na komendę policji. Zapadła ciemność i zanosilo się na śnieżycę, więc ulice były prawie puste. Znalazło się jednak paru gapiów, którzy szli za nimi i ośmieleni mrokiem rzucali obelgi i przekleństwa pod adresem więźnia.

— Zlinczować przekłętą Grasanta! — wołali. — Zlinczować!

Śmiali się i szydzili, kiedy go wprowadzano budynku policji. Po krótkim przesłuchaniu przed dyżurnym inspektorem zamknięto go w ogólnej celi. Został tu już Baldwina i trzech innych towarzyszy z ubiegłej nocy, których zaaresztowano po południu i którzy czekali na proces następnego ranka.

A jednak nawet do środka tej twierdzy prawa sięgało długie ramię Wolnych Ludzi. Późno w nocy strażnik, który przyniósł wiązkę słomy na posłanie, wyjął z niej dwie butelki whisky, kilka szklanek i talię kart. Spędzili wesołą noc, bez najmniejszych wątpliwości co do wyniku porannej rozprawy.

Jak się okazało, naprawdę nie mieli się czego obawiać. Sędzia pokoju<sup>47</sup> nie mógł na podstawie materiału dowodowego uznać ich winy i przekazać sprawy wyższej instancji. Z jednej strony zecerzy musieli przyznać, że światło było słabe, że byli sami mocno przestraszeni i że nie mogą z absolutną pewnością stwierdzić pod przysięgą tożsamości napastników, chociaż, jak się im zdaje, oskarżeni byli między nimi. W krzyżowym ogniu pytań zręcznego obrońcy, opłaconego przez McGinty’ego, zeznania ich stały się jeszcze bardziej mgliste. Sam pobity zeznał już, że zaskoczono go zniemacka i że niczego sobie nie przypomina, oprócz tego, że pierwszy, który go uderzył, nosił wąsy. Dodał, że wie, iż byli to Grasanci, gdyż poza nimi nikt w mieście nie żywił do niego żadnej urazy, a oni grozili mu od dawna z powodu jego energicznych artykułów. Z drugiej strony wykazano niezbitcie na podstawie zgodnego świadectwa sześciu obywateli, w ich liczbie wysokiego urzędnika miejskiego, radcy McGinty’ego, że ludzie ci cały czas grali w karty w Domu Związkowym, nawet jeszcze w godzinę po napadzie. Nie trzeba dodawać, że uwolniono ich z przeprosinami za doznane nieprzyjemności, a kapitanowi Marwinowi i policji udzielono napomnienia za zbytnią gorliwość.

<sup>47</sup>sędzia pokoju — wybieralny sędzia najniższej instancji, orzekający o winie w sprawach drobnych przestępstw i wykroczeń. [przypis edytorski]



Zebrana w sądzie publiczność, wśród której McMurdo dostrzegł wiele znajomych twarzy, powitała werdykt głośnym aplauzem. Bracia z łoży uśmiechali się i machali kapeluszymi. Ale byli też tacy, którzy siedzieli z zaciśniętymi wargami i ponurymi oczyma, kiedy oskarżeni opuszczali salę. Jeden z nich, niski, czarnobrody, śmiały mężczyzna ubrał w słowa myśli swoje i towarzyszy, kiedy zwolnieni aresztanci przechodzili obok.

— Przekłęci mordercy! — rzekł. — Dostaniemy was jeszcze!

## ROZDZIAŁ XII. CZARNA GODZINA

Jeśli coś mogło jeszcze zwiększyć popularność McMurdo wśród towarzyszy, to jego aresztowanie i zwolnienie. To, że ktoś w tę samą noc, kiedy go przyjęto do łoży, uczynił coś, co go sprowadziło przed sąd, było w dziejach stowarzyszenia wydarzeniem zupełnie nowym. Zdobył już sobie reputację dobrego kompana, wesołego towarzysza i człowieka ambitnego, który nie zniosłby obelgi nawet samego mistrza. Ale w dodatku wpoił w towarzyszy przekonanie, że nikt tak jak on nie potrafi nakreślić planu zbrodni i tak dobrze go wykonać. „To będzie człowiek od mokrej roboty” — mówiła do siebie starszyzna i czekała na okazję, żeby go użyć. McGinty miał dosyć powolnych sobie narzędzi, ale rozumiał, że to było znakomite. Doświadczał uczucia człowieka trzymającego na smyczy krwiożerczego psa. Miał mniejsze pieski do pośledniej roboty, ale wiedział, że pewnego dnia poszczuje go na odpowiednią ofiarę. Niektórzy z członków łoży, w ich liczbie Ted Baldwin, krzywo patrzyli na nagły awans obcego i zniechęcili go za to, ale trzymali się od niego z daleka, gdyż równie skory był do bitki, jak i do zabawy.

Ale o ile zyskiwał względy towarzyszy, tracił je na terenie, który dla niego był wiele ważniejszy. Ojciec Ettie Shafer nie chciał mieć z nic wspólnego i zakazał mu wstępu do swojego domu. Ettie za bardzo go kochała, aby się go wyrzec, a jednak sam rozum ostrzegł ją przed małżeństwem z człowiekiem, który był uważany za zbrodniarza. Pewnego ranka, po bezsennej nocy, postanowiła się z nim zobaczyć, być może po raz ostatni, i wszelkimi siłami spróbować wyzwolić ukochanego spod wpływów, które go pociągnęły na dno. Udała się do niego do domu, o co ją często prosił, i weszła do jego pokoju. Siedział przy stole odwrócony plecami do drzwi i pisał list. Przyszedł jej nagle do głowy dziewczęcy figiel — miała dopiero dziewiętnaście lat. Nie słyszał, że otworzyła drzwi. Zbliżyła się do niego na palcach i położyła mu lekko rękę na ramieniu.

Jeśli chciała go przestraszyć, to w pełni jej się udało, ale przestraszyła się również sama. Skoczył ku niej jak tygrys i prawą ręką chwycił ją za gardło. W tej samej chwili drugą ręką zmiął leżący przed nim papier. Przyglądał się jej przez chwilę. Potem miejsce dzikiej wściekłości, która wykrzywiła jego rysy, tak dzikiej, że Ettie cofnęła się z przerażeniem, jak przed czymś okropnym, co nigdy wcześniej nie zaburzyło jej spokojnego życia, zajęły zdumienie i radość.

— To ty! — rzekł, składając twarz do uśmiechu. — I pomyśleć, że kiedy przyszedł do mnie, najdroższa, nie mogłem zrobić nic lepszego niż próbować cię udusić. Chodź, kochanie! — I wyciągnął ręce. — Muszę to naprawić.

Ale nie ochłonęła jeszcze po niespodziewanym widoku trwogi winowajcy, który wyczytała na jego twarzy.

Kobięcy instynkt mówił jej, że nie był to tylko przestach człowieka zaskoczonego. Poczucie winy — oto z czym miała do czynienia — wina i strach.

— Co się stało, Jack? — zawołała. — Czemuś się tak przestraszył? Och, Jack, gdybyś miał czyste sumienie, nie przyglądałbyś mi się w ten sposób.

— Prawda, myślałem o innych rzeczach i kiedy podeszłaś do mnie na paluszkach...

— Nie, nie, to było coś więcej, Jack. — Nagle zrodziło się w niej podejrzenie. — Pokaż list, który pisałeś.

— Nie mogę tego zrobić, Ettie.

Jej podejrzenia przerodziły się w pewność.

— To list do kobiety! — zawołała. — Jestem tego pewna. Bo czemu nie chciałeś mi go pokazać? Czy to może list do żony? Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś żonaty... ty, obcy, którego nikt tu nie zna?

— Nie mam żony, Ettie. Przysięgam. Jesteś dla mnie jedyną kobietą na świecie. Przysięgam na mękę Zbawiciela!

List

Poblądł i mówił z takim przekonaniem, że musiała mu wierzyć.

— Więc dlaczego — zawołała — nie chcesz mi pokazać tego listu?

— Powiem ci, najdroższa — rzekł. — Zakazano mi tego pod przysięgą i tak samo, jak nie złamię słowa danego tobie, tak dotrzymam tego przyrzeczenia. To sprawa łoży i nawet dla ciebie musi pozostać tajemnicą. A jeśli się przestraszyłem, kiedy poczułem dłoń na ramieniu, to zrozum, że mogła to być również dłoń detektywa.

Czuła, że mówi prawdę. Ujął ją w ramiona i pocałunkami rozproszył jej wątpliwości i obawy.

— Usiądź przy mnie. Niewygodny to tron dla mojej królowej, ale najlepszy, jakim dysponuje twój kochanek. Postara się dla ciebie kiedyś o ładniejszy, jak sądzę. Jesteś już spokojna?

— Jak mogę być spokojna, Jack, kiedy wiem, że jesteś zbrodniarzem między zbrodniarzami... kiedy lada dzień mogę usłyszeć, że sądzą cię za morderstwo? „McMurdo Grant”, tak wczoraj nazwał cię jeden z naszych lokatorów. Czułam się, jakby mi ktoś wbił nóż w samo serce.

— Od wymysłów jeszcze nikt nie umarł.

— Ale to była prawda.

— Najdroższa, nie jest tak źle, jak ci się zdaje. Jesteśmy biednymi ludźmi, którzy na swój sposób próbują walczyć o swoje prawa.

Ettie zarzuciła ręce na szyję ukochanego.

— Rzuć to, Jack! Dla mnie, dla własnego spokoju, rzuć to! Przyszłam cię o to prosić. Och, Jack, proszę cię na klęczkach. Na klęczkach błagam cię, rzuć to!

Podniósł ją i uspokoił, tuląc jej główkę do piersi.

— Nie wiesz, najdroższa, o co prosisz. To byłoby złamaniem przysięgi i sprzeniewierzeniem się towarzyszom. Gdybyś wiedziała, jak sprawy stoją, nie prosiłabyś mnie o to. Zresztą, gdybym chciał, jak to zrobić? Nie przypuszczasz chyba, że łoża pozwoliłaby odejść człowiekowi, który zna wszystkie jej tajemnice?

— Myślałam o tym, Jack. Wszystko zaplanowałam. Ojciec zaoszczędził trochę pieniędzy. Chce rzucić tę okolicę, gdzie strach przed tymi ludźmi czyni nasze życie przykrym. Ucieklibyśmy razem do Filadelfii lub do Nowego Jorku, gdzie bylibyśmy bezpieczni.

McMurdo roześmiał się.

— Łoża ma długie ręce. Myślisz, że nie osiągnęłyby nas w Filadelfii czy w Nowym Jorku?

— Dobrze, a zatem na zachód, do Anglii lub do Szwecji, skąd przybył ojciec. Gdziekolwiek, byleby tylko uciec z tej Doliny Trwogi.

McMurdo przypomniał sobie brata Morrisa.

— Już drugi raz słyszę tę nazwę — rzekł. — Jej cień padł, zdaje się, na wielu z was.

— Zaciemnia każdą chwilę naszego życia. Myślisz, że Ted Baldwin nam przebaczył? Gdyby nie to, że się ciebie boi, jak sądzisz, co by się z nami stało? Gdybyś widział spojrzenie jego czarnych, pożądliwych oczu, ile razy mnie spotka!

— Nauczę go lepszych manier, jak go na tym przyłapię! Ale wierz mi, dziewczyno, nie mogę stąd wyjechać. Nie mogę. Zrozum to raz na zawsze. Ale jeśli pozostawisz mi znalezienie jakiegoś wyjścia, obmyślę sposób wydostania się stąd z honorem.

— W takich sprawach nie ma honoru.

— Zależy, jak się na to zapatrujesz. Jeśli jednak dasz mi sześć miesięcy, postaram się z tego tak wydostać, abym nie wstydził się spojrzeć ludziom w twarz.

Dziewczyna roześmiała się, uradowana.

— Sześć miesięcy! — zawołała. — Czy to obietnica?

— Może siedem czy osiem. Ale nim rok upłynie, opuścimy dolinę.

Było to wszystko, co Ettie mogła uzyskać, ale zawsze było to coś. Było jak dalekie światelko przenikające przez mroki bezpośredniej przyszłości. Pierwszy raz wróciła do domu weselsza niż kiedykolwiek, odkąd Jack McMurdo pojawił się w jej życiu.

\*

McMurdo mógłby sądzić, że jako członek będzie powiadamiany o wszystkich sprawach stowarzyszenia, ale wkrótce przekonał się, że organizacja była rozleglejsze i bardziej

złożona niż pojedyncza łoża. Nawet mistrz McGinty nie wiedział o wielu rzeczach, gdyż w Hobson's Patch, nieco dalej na tej samej linii kolejowej, mieszkał człowiek mianowany delegatem na całe hrabstwo, któremu podlegało kilka łoż i który kierował nimi w sposób samowolny i bezwzględny. McMurdo widział go tylko raz, chytrego, małego, siwowłosego szczura, o śliskich ruchach i skośnym wejrzeniu złośliwych oczu. Nazywał się Evans Pott i nawet wielki mistrz Vermissy odczuwał wobec niego wstręt i strach, podobny do strachu, jaki uczuwał olbrzymi Danton<sup>48</sup> przed słabowitym, lecz niebezpiecznym Robespierre'em<sup>49</sup>.

Pewnego dnia Scanlan, który mieszkał razem z McMurdo, otrzymał od McGinty'ego kartkę z dołączonym do niej listem Evansa Potta. Ten donosił, że posyła dwóch pewnych ludzi, Lawlera i Andrewsa, którym polecono załatwić pewne rzeczy w okolicy, chociaż ze względu na dobro sprawy nie podawał bliższych szczegółów. Prosił mistrza o przygotowanie mieszkania i wszelkie ułatwienia do czasu, kiedy przystąpią do działania. McGinty dodał, że ponieważ w Domu Związkowym nie dałoby się zachować ich obecności w tajemnicy, będzie zobowiązany, jeśli McMurdo i Scanlan przyjmą przybyszów na kilka dni do swojego mieszkania.

Tego samego dnia, wieczorem zjawili się dwaj ludzie z walizkami. Lawler był starszym człowiekiem, sprytnym, milczącym i panującym nad sobą, ubranym w stary, czarny frak, który wraz z miękkim kapeluszem i nieuczesaną, siwą brodą nadawał mu wygląd podróźującego kaznodziei. Jego towarzysz, Andrews, był prawie chłopcem, o wesołej, szczerej twarzy, z miną kogoś, kto wyjechał na wakacje i chce cieszyć się każdą ich chwilą. Obaj nie pili i zachowywali się jak przykładni członkowie społeczeństwa, z tym wyjątkiem, że byli mordercami, którzy niejednokrotnie okazali się znakomitym narzędziem w ręku tego zbrodniczego zrzeczenia. Lawler miał już na sumieniu czternaście takich zbrodni, a Andrews trzy.

Jak stwierdził McMurdo, chętnie mówili o swoich dawnych postępkach i robili to z pewną dumą, jak ludzie, którzy spełnili dobry i bezinteresowny uczynek dla dobra ogółu. Ale nie wspominali ani słówkiem o czekającym ich w najbliższej przyszłości zadaniu.

— Wybrali nas, bo ani ja, ani ten chłopak nie pijemy — wyjaśnił Lawler. — Mogą być pewni, że będziemy trzymać język za zębami. Nie bierzcie nam tego za złe, ale taki mamy rozkaz delegata okręgowego.

— Jesteście między swoimi — powiedział Scanlan, kiedy cała czwórka siedziała razem przy kolacji.

— To prawda i dlatego możemy mówić o zabójstwie Charlie'go Williamsa, Simona Birda czy innych naszych dawniejszych zadaniach. Ale dopóki nie będzie skończona, o tej robocie nic nie powiemy.

— Jest tu przynajmniej z tuzin takich, z którymi mam na pieńku — rzekł McMurdo z przekleństwem. — Przypuszczam, że nie chodzi o Jacka Knoxa z Ironhill? Chciałbym, żeby kiedyś dostał, na co zasłużył.

— Nie, to nie on.

— A może Herman Strauss?

— Nie, on też nie.

— Trudno, nie możemy was zmuszać, jeśli nie chcecie powiedzieć, ale jestem bardzo ciekaw.

Lawler uśmiechnął się i potrząsnął głową. Nie dał się pociągnąć za język. Mimo niechęci swoich gości Scanlan i McMurdo postanowili, że będą obecni przy tym, co tamci nazywali „zabawą”. Kiedy zatem wczesnym ranem McMurdo usłyszał, że przybysze schodzą cicho ze schodów, obudził Scanlana i obaj czym prędzej się ubrali. Kiedy byli gotowi, przekonali się, że goście już się wymknęli, zostawiając drzwi otwarte. Było jeszcze ciemno

<sup>48</sup>*Danton, George* (1759–1794) — mówca i jeden z największych mężów stanu w czasie Rewolucji Francuskiej; w czasach terroru jakobińskiego poróżniony z Robespierre'em, został oskarżony o spisek przeciw rządowi i zdradę kraju, skazany na śmierć i zgilotynowany. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*Robespierre, Maximilien de* (1758–1794) — jeden z przywódców Rewolucji Francuskiej, czołowa postać klubu jakobinów; po przejściu władzy przez jakobinów, co zapoczątkowało okres oficjalnego rewolucyjnego terroru i dyktatury, został członkiem i nieformalnym przywódcą Komitetu Ocalenia Publicznego; w wyniku przewrotu został razem z innymi przywódcami jakobinów obalony, aresztowany i zgilotynowany. [przypis edytorski]

i w świetle lamp ulicznych dostrzegli dwie oddalające się sylwetki. Pospieżyli za nimi, stąpając cicho przez głęboki śnieg.

Dom, w którym mieszkali, stał prawie na skraju miasta, tak że wkrótce znaleźli się poza jego obrębem. Na skrzyżowaniu dróg czekało tu trzech ludzi, z którymi Lawler i Andrews odbyli krótką, ożywioną naradę. Potem ruszyli razem. Widocznie była to jakaś poważna robota, która wymagała większej liczby uczestników. Od skrzyżowania odchodziło kilka ścieżek do różnych kopalni. Piątka śledzonych skierowała się w stronę Crow Hill, dużego przedsiębiorstwa, zarządzanego silną ręką energicznego i nieustraszonego Josiaha H. Dunna z Nowej Anglii, który potrafił utrzymać w nim porządek i dyscyplinę przez długi czas panowania terroru w dolinie.

Zaczęło świtać i na czarnej ścieżce ukazał się szereg robotników, w grupkach i pojedynczo powoli idących do pracy.

McMurdo i Scanlan wmieszali się między nich, nie tracąc z oczu mężczyzn, za którymi podążali. Krajobraz spowijała gęsta mgła. Nagle z jej środka rozległ się gwizd syreny parowej. Był to sygnał, że za dziesięć minut klatki zostaną pojadą w dół i rozpocznie się codzienna praca.

Kiedy weszli na otwartą przestrzeń dokoła szybu, czekało tam już około stu górników, którzy tupali nogami i chuchali w dłonie, gdyż mróz był siarczysty. Obcy stanęli razem w cieniu budynku, gdzie się mieściły maszyny. Scanlan i McMurdo weszli na kupę żużłu, skąd wszystko widać było jak na dłoni. Zobaczyli inżyniera kopalni, wielkiego, brodatego Szkota nazwiskiem Menzies, który wyszedł z maszynowni i gwizdkiem dał znak do opuszczenia klatek. W tej samej chwili szybkim krokiem do wieży szybu podszedł wysoki, niezgrabny, młody mężczyzna z wygoloną, poważną twarzą. Jego wzrok padł na stojącą pod budynkiem milczącą, nieruchomą grupkę. Nieznajomi nacisnęli na oczy kapelusze i podnieśli kołnierze, by zakryć twarze. Przez chwilę przeczucie śmierci położyło swoją zimną rękę na sercu zarządcy. Ale otrząsnął się natychmiast i widział tylko to, co mu nakazywał obowiązek wobec intruzów.

— Kim jesteście? — zapytał, podchodząc bliżej. — Czemu się tu kręcicie?

Nie było odpowiedzi, tylko młody Andrews wystąpił naprzód i strzelił mu w brzuch. Stu oczekujących górników stało bez ruchu i bezradnie, jak sparaliżowani. Zarządca kopalni chwycił obiema rękami za ranę i zgiał się w pół. Potem chciał się cofnąć, ale gdy drugi z morderców strzelił, upadł na bok na kupę żużłu, kopiąc i drapiąc ziemię. Na ten widok Menzies ryknął z wściekłości i rzucił się z ciężkim żelaznym kluczem na morderców. Dosięgły go jednak dwie kule prosto w twarz i padł u ich stóp martwy. Część górników ruszyła naprzód, rozległy się nieartykułowane okrzyki żalu i gniewu, ale gdy obcy zaczęli strzelać z rewolwerów nad głowami tłumu, rozproszyli się i jak szaleni uciekali do domów w Vermissie. Kiedy kilku odważniejszych ochłonęło i zawróciło do kopalni, banda morderców zniknęła już w porannej mgle, tak że żaden świadek nie mógłby stwierdzić pod przysięgą tożsamości ludzi, którzy wobec setki widzów dokonali tej podwójnej zbrodni.

Scanlan i McMurdo zawrócili do domu; Scanlan trochę przybity, gdyż było to pierwsze morderstwo, które widział na własne oczy, i wydało mu się mniej zabawne, niż się spodziewał. Straszliwy lament żony zarządcy ścigał ich, kiedy śpieszyli do miasta. McMurdo był milczący i zamyślony, ale nie okazywał zrozumienia dla uczuć towarzysza.

— To tylko wojna — powtarzał. — Wojna między nami a nimi. Bijemy, jak się uda.

Tego wieczoru w sali łoży w Domu Związkowym hucznie świętowano, nie tylko z powodu zabicia zarządcy i inżyniera w kopalni Crow Hill, które stawiało ją w szeregu innych terroryzowanych i gnębionych przedsiębiorstw w okolicy, ale i z powodu triumfu odniesionego dość daleko, osiągniętego siłami samej łoży. Okazało się, że delegat okręgowy, posyłając na robotę w Vermissie pięciu pewnych ludzi, zażądał w zamian, aby wybrano w sekcji trzech ludzi z Vermissy i wysłano ich celem zabicia Williama Halesa ze Stake Royal, jednego z najpopularniejszych i najlepiej znanych właścicieli kopalń w okręgu Gilmerston, człowieka, o którym sądzono, że nie ma na świecie ani jednego wroga, gdyż był pod każdym względem wzorem pracodawcy. Domagał się jednak rzetelnej pracy i dlatego wydalili kilku pijaków i leniwych nierobów, którzy byli członkami wszechmocnego związku. Przybijane do drzwi ostrzeżenia nie osłabiły jego energii, i tak w wolnym, cywilizowanym kraju został skazany na śmierć.

Wyrok wykonano zgodnie z postanowieniami. Przywódcą grupy był Ted Baldwin, który siedział teraz rozparty na honorowym miejscu obok mistrza. Jego zaczerwieniona twarz i szklane, nabiegłe krwią oczy świadczyły o nieprzespanej nocy i nadużywaniu truneków. On i jego dwaj towarzysze spędzili poprzednią noc w górach. Mieli rozczochrane włosy i zmęczone twarze. Jednak żaden bohater wracający z niebezpiecznej wyprawy nie spotkałby się z gorętszym powitaniem ze strony towarzyszy. Wśród okrzyków zachwytu i wybuchów śmiechu opowiadano i powtarzano historię ich wyczynu. Czekali, aż ich ofiara powróci o zmierzchu do domu, urządziwszy na nią zasadzkę na szczycie stromego pagórka, gdzie koń musiał zwolnić do stępa<sup>50</sup>. Hales był tak otulony w futro przed zimnem, że nie mógł nawet wyciągnąć broni. Ściągnęli go z konia i zabili paroma strzałami.

Żaden z nich nie znał tego człowieka, ale na tym właśnie polega wieczna tragedia zabójstwa, chodziło im zresztą o pokazanie Grasantom z Gilmerton, że na ludziach z Vermissy można polegać. Spotkali się z pewną przeszkodą, gdyż w chwili gdy jeszcze strzelali do milczącego ciała, nadjechał jakiś mężczyzna z żoną. Któryś z członków bandy zasugerował, żeby oboje zastrzelić, ale byli to nieszkodliwi ludzie, niemający nic wspólnego z kopalniami, więc surowo rozkazano im, żeby jechali swoją drogą i nikomu nic nie mówili, bo może ich spotkać coś złego. Zakrwawione zwłoki pozostawiono na drodze jako ostrzeżenie dla wszystkich równie zatwardziałyh pracodawców, a trzech szlachetni mściciele pospieszyli w góry, gdzie dziewicza przyroda schodzi aż po same hutnicze piece i zwały żużlu.

Był to dla Grasantów wielki dzień. Nad doliną zapadł jeszcze mroczniejszy cień. Tak jak mądry generał, który podwaja wysiłki w chwili zwycięstwa, aby wrogowie nie mieli czasu ochłonąć po klęsce, tak Szef McGinty, ponurym złośliwym wzrokiem przeglądając teren operacyjny, obmyślał nowy atak na swoich przeciwników. Tej samej nocy, kiedy na wpół pijana kompania odeszła do domów, położył dłoń na ramieniu McMurdo i zaprowadził go do pokoiku za barem, gdzie odbyła się ich pierwsza rozmowa.

— Wiesz, chłopcze — rzekł — mam dla ciebie wreszcie odpowiednią robotę. Oddaję ją całkowicie w twoje ręce.

— To dla mnie zaszczyt — odpowiedział McMurdo.

— Możesz wziąć ze sobą dwóch ludzi, Mandersa i Reilly'go. Uprzedziłem ich już. Nigdy nie zapanujemy w pełni nad doliną, dopóki nie rozprawimy się z Chesterem Wilcoxem, a wszystkie łoża zagłębia będą ci wdzięczne, jeśli go wykończysz.

— Postaram się. Kto to jest i gdzie go znajdę?

McGinty wyjął z kąta ust swoje nieodstępne, na wpół przeżute, na wpół wypalone cygaro, wyrwał z notesu kartkę i zaczął na niej szkicować plan terenu.

— Jest głównym brygadzystą w Iron Dike Company. To twardy obywatel, dawny sierżant sztabowy z tamtej wojny, siwy i pokryty bliznami. Dwa razy z nim próbowaliśmy, ale bez powodzenia, a Jim Carnaway przypłacił to życiem. Teraz ty musisz się do niego zabrać. Mieszka w samotnym domku na skrzyżowaniu przy Iron Dike, jak tu widzisz na tym szkicu. W pobliżu nie ma żadnych innych domów. W dzień trudno się do niego zbliżyć. Chodzi uzbrojony, strzela celnie i bez ostrzeżenia. Ale w nocy... Mieszka z żoną, trojgiem dzieci i służącą. Nie możesz wybierać. Wszyscy albo nikt. Jeśli uda ci się podłożyć ładunek prochu pod drzwi frontowe, ładunek z długim lontem...

— Co ten człowiek zrobił?

— Mówiłem przecież, że zastrzelił Jima Carnawaya.

— Czemu go zastrzelił?

— Co cię to, u diabła, obchodzi? Carnaway kręcił się w nocy koło jego domu, a on go zastrzelił. To mi wystarczy i tobie też powinno. Masz z nim zrobić porządek.

— Są jeszcze dwie kobiety i dzieci. Czy też mam je wysadzić w powietrze?

— Też, inaczej go nie dostaniemy.

— To ostro. One nic nie zrobiły.

— Co to za gadanie? Odmawiasz wykonania?

— Zaraz, zaraz, panie radco. Czy kiedy powiedziałem lub zrobiłem coś takiego, żeby mnie pan posądzał, że uchylę się przed wykonaniem rozkazu mistrza mojej łoży? To pańska rzecz decydować, czy to słuszne, czy niesłuszne.

<sup>50</sup>stępa — najwolniejszy chód konia. [przypis edytorski]

— A zatem zrobisz to.  
— Oczywiście.  
— Kiedy?  
— Niech mi pan da noc czy dwie, żebym sobie obejrzał dom i ułożył plan. Potem...  
— Dobrze — rzekł McGinty, ściskając mu dłoń. — Pozostawiam ci rozpatrzenie szczegółów. Będzie to wielki dzień, kiedy przyniesiesz nam dobrą wiadomość. To ostatni cios, który rzuci ich wszystkich na kolana.

McMurdo długo i głęboko rozmyślał nad sprawą, której wykonanie złożono tak niespodziewanie w jego ręce. Samotny dom, w którym mieszkał Chester Wilcox, znajdował się w odległości pięciu mil, w pobliskiej dolinie. Jeszcze tej samej nocy wybrał się sam, aby przygotować wszystko do zamachu. Wrócił z rekonesansu dopiero o świcie. Na drugi dzień odbył krótką naradę z Mandersem i Reillym, dwoma młodzieńcami bez skrupułów, którzy byli w tak wesołym usposobieniu, jakby chodziło o polowanie na rogacza. Nazajutrz w nocy wszyscy trzej spotkali się za miastem, uzbrojeni, a jeden z nich niosący worek z prochem, jakiego używano w kamieniołomach. Była już druga w nocy, kiedy dotarli do samotnego domku. Noc była wietrzna, a strzępione chmury przesuwały się szybko wzdłuż tarczy księżyca w trzeciej kwadrze. Ostrzegano ich przed psami, dlatego posuwali się naprzód ostrożnie, z odwiedzionymi kurkami rewolwerów. Ale nie było słychać żadnego szmeru oprócz wycia wichru i nic się poruszało prócz gałęzi nad nimi.

Murdo podkraść się do drzwi domu i nasłuchiwał, ale wewnątrz panowała cisza. Oparł o nie wór z prochem, nożem wyciął w nim dziurę i przymocował lont. Kiedy go zapalił, czym prędzej uciekli. Odbiegli dość daleko i ukryli się w rowie, kiedy głuchy, potężny grzmot walącego się budynku powiadomił ich, że robota ich została wykonana. W krwawych rocznikach towarzystwa nie odnotowano zręczniejszego dokonanego wyczynu. Ale dzieło tak dobrze obmyślane i śmiało wykonane poszło jednak na marne!

Ostrzeżony losem rozlicznych ofiar, wiedząc, że grozi mu śmierć, Chester Wilcox dzień wcześniej przeniósł się z rodziną w bezpieczniejsze, mniej znane okolice, gdzie objęła go ochroną policja. Proch zburzył tylko pusty dom, a srogi, stary sierżant dalej wpajał dyscyplinę górnikom z Iron Dike.

— Zostawcie go mnie — rzekł McMurdo. — To mój człowiek i dostanę go na pewno, choćbym miał czekać cały rok.

Na pełnym zebraniu loży wyrażono mu wdzięczność i zaufanie i na pewien czas sprawa przycichła. Kiedy kilka tygodni później gazety doniosły, że Wilcoxa zastrzelono z zasadzki, było publiczną tajemnicą, że McMurdo dokończył rozpoczętą robotę.

Takimi metodami operowało Stowarzyszenie Wolnych Ludzi i takie były czyny Grantów, dzięki którym utrwalili oni panowanie terroru w wielkim i bogatym okręgu, nękanym przez długi czas ich groźną obecnością. Po co miałbym plamić te karty opisywaniem dalszych zbrodni? Czyż nie powiedziałem wystarczająco dużo, co to byli za ludzie i na czym polegały ich metody? Dzieje zapisały ich czyny, a o szczegółach można się przeczytać w odnośnych sprawozdaniach. Można się z nich dowiedzieć o zastrzeleniu policjantów Hunta i Evansa, ponieważ ośmielili się aresztować dwóch członków stowarzyszenia... podwójnym morderstwie, zaplanowanym w loży Vermissy i dokonanym z zimną krwią na bezbronnych, nieuzbrojonych mężczyznach. Można tam również wyczytać o zastrzeleniu pani Larbey, która pielęgnowała męża, pobitego niemal na śmierć z rozkazu Szefa McGinty'ego. Zabójstwo starszego Jenkinsa i wkrótce potem jego brata, okaleczenie Jakuba Murdocha, wysadzenie w powietrze rodziny Staphouse'ów i zamordowanie Stendhalów — wszystko to następowało jedno po drugim tej samej strasznej zimy. Dolinę Trwogi spowijał ponury cień. Nadeszła wreszcie wiosna z jej wezbranymi potokami i kwitnącymi drzewami. Cała przyroda, spętana tak długo w żelaznym uścisku, cieszyła się nadzieją, ale dla mężczyzn i kobiet, żyjących w jarzmie terroru, nie było nadziei. Nigdy nie zgromadziły się nad nimi tak gęste i groźne chmury jak wczesnym latem 1875 roku.

## ROZDZIAŁ XIII. NIEBEZPIECZEŃSTWO

Było to u szczytu panowania terroru. McMurdo, który został już mianowany dziekanem loży i miał dobre widoki zostania kiedyś mistrzem po McGintym, był teraz tak niezbędny

Przemoc

na zgromadzeniach towarzyszy, że nie robiono niczego bez jego rady i pomocy. Im jednak większą popularność zyskiwał wśród Wolnych Ludzi, tym groźniejszymi okrzykami witano go na ulicach Vermissy. Mimo terroru obywatele odważali się jednoczyć siły przeciw gnębiicielom. Do loży doszły wieści o tajnych zebraniach w biurze „Heralda” i o rozdzielaniu broni palnej między praworządnych obywateli. Ale wiadomości te nie zaniepokoiły McGinty’ego i jego ludzi. Mieli przewagę liczebną, byli zdecydowani na wszystko i dobrze uzbrojeni. Ich przeciwnicy byli rozproszeni i bezsilni. „Wszystko skończy się, jak dawniej, na jałowej gadaninie i być może bezskutecznych aresztowaniach”. Tak mówił McGinty, McMurdo i inni śmielsi bracia.

Był sobotni majowy wieczór — w sobotę zawsze odbywały się zebrania loży — McMurdo właśnie miał zamiar wyjść z domu, aby na nie podążyć, kiedy Morris, ten lękliwy brat z zakonu, przyszedł go odwiedzić. Bruzdy na jego czole świadczyły o trosce, a na dobronusznej twarzy malował się strach.

— Czy mogę mówić z panem otwarcie, panie McMurdo?

— Oczywiście.

— Pamiętam dobrze, że kiedyś się panu zwierzyłem i zachował pan to dla siebie, chociaż sam mistrz przyszedł wypytywać pana o naszą rozmowę.

— Nie mogłem nadużyć pańskiego zaufania. To nie znaczy, żebym się z panem zgadzał.

— Wiem o tym bardzo dobrze. Ale tylko z panem mogę mówić szczerze, bez narażania się. Mam tu pewien sekret — położył rękę na piersiach — który mnie pali. Żałuję, że to ja się o nim dowiedziałem, a nie ktoś z was. Jeśli go wyjawię, z pewnością dojdzie do morderstwa. Jeśli tego nie zrobię, czeka nas wszystkich zguba! Boże dopomóż, odchodzę od zmysłów!

McMurdo przyjrzał mu się uważnie. Mężczyzna drżał na całym ciele. Nalał whisky do szklanki i podał mu.

— To dobre lekarstwo dla takich jak pan — rzekł. — A teraz słucham.

Morris wypił, a na jego bladą twarz wystąpił delikatny rumieniec.

— Mogę powiedzieć panu wszystko w jednym zdaniu — rzekł. — Detektyw jest na naszym tropie.

McMurdo spojrział na niego ze zdumieniem.

— Człowieku, pan chyba zwariował! — rzekł. — Czyż nie roi się tu od policjantów i detektywów? I co nam to szkodzi?

— Nie, nie, to nie ktoś miejscowy. Jak pan mówi, znamy ich wszystkich i wiemy, że nic nam nie mogą zrobić. Ale czy słyszał pan o ludziach Pinkertona<sup>51</sup>?

— Czytałem o różnych ludziach o tym nazwisku.

— Otóż może mi pan wierzyć, że skoro oni są na naszym tropie, nie mamy żadnych widoków. To nie jakaś państwowa instytucja, której nie obchodzi, czy kogoś złapią, czy nie. To bardzo poważna agencja, interes, w którym chodzi o wyniki i dążą do nich wszelkimi środkami. Jeśli sprawą zajęł się jeden z ludzi Pinkertona, jesteśmy wszyscy zgubieni.

— Trzeba go zabić.

— To pierwsza myśl, która przyszła panu do głowy. Zatem loża też będzie tego zdania. Czy nie mówiłem, że to się skończy morderstwem?

— I co z tego? Czy morderstwo nie jest tu czymś pospolitym?

— To prawda, ale nie chciałem wskazywać, kto ma zostać zamordowany. Nigdy więcej nie zaznałbym spokoju. A jednak chodzi o nasze głowy. Na miłość boską, co mam robić?

Wiercił się na krześle niezdecydowany. McMurdo głęboko przejął się jego słowami. Nietrudno było zauważyć, że zgadza się z nim co do niebezpieczeństwa i konieczności przeciwdziałania. Chwyił Morrisa za ramię i potrząsnął nim mocno.

— Słuchaj, człowieku — zawołał, prawie krzyżąc w podnieceniu — nic nie zyskasz, siedząc tu i narzekając jak baba! Przedstaw mi fakty! Kto to taki? Gdzie jest? Skąd się o nim dowiedziałeś? Dlaczego przychodzisz akurat do mnie?

— Przeszedłem do pana, bo tylko pan mi doradzi. Mówiłem panu, że miałem sklep na wschodzie kraju, zanim tu przyjechałem. Zostawiłem tam dobrych przyjaciół, z których

<sup>51</sup> *Pinkerton, Allan* (1819–1884) — słynny amerykański detektyw i wywiadowca, założyciel pierwszej na świecie agencji ochroniarsko-detektywistycznej, działającej od 1850 w USA. [przypis edytorski]

jeden pracuje w urzędzie telegraficznym. Oto list, który dostałem od niego wczoraj. Niech pan sam przeczyta ten ustęp na początku strony.

Oto co McMurdo przeczytał:

Co dzieje się z waszymi Grasantami? Ciągłe czytamy o nich w gazetach. Mówiąc między nami, oczekuję od was wkrótce wiadomości. Pięć wielkich przedsiębiorstw i dwa towarzystwa kolejowe zabrało się na serio do rzeczy. Zabrali się i sądzę, że się im powiedzie. Poczynili daleko idące przygotowania. Sprawę powierzyli Pinkertonowi, a jego najlepszy człowiek, Birdy Edwards, już działa. Najwyższy czas, żeby z tym skończyć.

— A teraz niech pan przeczyta dopisek.

Oczywiście, o tym, co piszę, dowiedziałem się w służbie i proszę o tajemnicę. Codziennie mam do czynienia z dziwnymi, szyfrowanymi depepszami w tej sprawie, ale się w nich nie rozeznaję.

McMurdo siedział przez pewien czas w milczeniu, trzymając list w drżących rękach. Mgła rozpięchła się na chwilę, odsłaniając przed nim przepaść.

— Czy ktoś jeszcze wie o tym? — zapytał.

— Nie mówiłem nikomu innemu.

— A ten człowiek, pański przyjaciel, czy ma tu jeszcze jakichś znajomych, do których mógł by pisać w tej sprawie?

— Tak, sądzę, że zna tu jedną czy dwie osoby.

— Z loży?

— Bardzo możliwe.

— Pytam, bo może opisał komuś wygląd tego Birdy'ego Edwarda. Moglibyśmy wówczas go wysledzić.

— Tak, to możliwe. Ale nie sądzę, żeby go znał. Pisze mi właśnie, że dowiedział się o tym w służbie. Skąd mógłby znać kogoś z agencji Pinkertona?

McMurdo nagle zerwał się.

— Mam go! — zawołał. — Jakiż głupiec ze mnie, że od razu na to nie wpadłem. Na Boga, mamy szczęście! Złapiemy go, zanim zdąży nam zrobić coś złego. Niech pan posłucha: zostawi pan tę sprawę w moich rękach?

— Oczywiście, abym tylko nie miał z tym nic wspólnego.

— Zajmę się tym. Może pan pozostać w ukryciu i zdać się na mnie. Nie wymienię nawet pańskiego nazwiska. Biorę wszystko na siebie, jakby ten list przyszedł do mnie. Zgadza się pan?

— O to właśnie chciałem prosić.

— A zatem postanowione. Teraz pójdę do loży. Postaramy się niebawem, żeby stary Pinkerton mocno pożałował.

— Nie zabijecie tego człowieka, prawda?

— Im mniej pan będzie wiedział, tym spokojniejsze będzie pan miał sumienie i sen. Niech pan o nic nie pyta i pozostawi rzeczy ich losowi. Sprawą zajmę się sam.

Morris ze smutkiem potrząsnął głową przy pożegnaniu.

— Czuję, że mam jego krew na rękach — jęknął.

— Samoobrona w każdym razie nie jest morderstwem — rzekł McMurdo, uśmiechając się ponuro. — Albo on, albo my. Jestem przekonany, że ten człowiek zgubiłby nas wszystkich, gdyby został dłużej w dolinie. Bracie Morris, powinniśmy jeszcze wybrać cię mistrzem, bo zaprawdę uratowałeś lożę.

A jednak z jego działań było widać, że zapatrywał się na sprawę poważniej, niż można by było wnioskować z jego słów. Może chodziło o poczucie winy, może o sławę, jaką się cieszyła agencja Pinkertona, może też o świadomość, że potężne, bogate towarzystwa postawiły sobie za cel zniszczenie Grasantów — w każdym razie przystąpił do działania jak człowiek, który przygotowuje się na najgorsze. Przed wyjściem z domu zniszczył wszystkie papiery, które by go mogły skompromitować. Potem odetchnął z ulgą, bo wydało mu się, że jest już bezpieczny. Jednak myśl o niebezpieczeństwie musiała mu ciążyć, gdyż w drodze do loży zaglądnął do starego Shaftera. Wstęp do domu miał wzbroniony, ale



kiedy zapukał do okna, Ettie wyszła na jego spotkanie. Z oczu jej kochanka zniknęły iskry niespokojnego irlandzkiego łobuzerstwa. Z poważnej twarzy wyczytała niebezpieczeństwo.

— Coś się stało! — zawołała. — Och, Jack, grozi ci niebezpieczeństwo!

— Nic wielkiego, moja najśladza. Ale może rozsądniej będzie, żebyśmy się ruszyli, zanim będzie gorzej.

— Ruszyli?

— Obiecałem ci kiedyś, że pewnego dnia wyjadę. Myślę, że nadszedł ten czas. Dziś wieczór otrzymałem wieści... złe wieści... i czuję zbliżające się niebezpieczeństwo.

— Policja?

— Nie, Pinkerton. Ale nie masz, najdroższa, pojęcia, czym to pachnie i co to oznacza dla mnie i takich jak ja. Za bardzo jestem w to wplątany i możliwe, że będę musiał szybko się wydostać. Powiedziałaś, że wyjedziesz ze mną.

— Och, Jack, to byłby dla ciebie ratunek.

— Pod pewnym względem, Ettie, jestem uczciwym człowiekiem. Za żadne skarby świata nie uszczknąłbym włosa z twojej drogiej główki i nie ściagnąłbym cię ze złocistego tronu ponad chmurami, gdzie cię zawsze widzę. Czy mi zaufasz?

Bez słowa złożyła swoją dłoń w jego dłoni.

— Dobrze, a zatem słuchaj, co ci powiem, i zrób, co ci każe, bo to naprawdę dla nas jedyne wyjście. W dolinie zbędą się działy różne rzeczy. Czuję to przez skórę. Wielu będzie musiało szukać dla siebie ratunku. Jestem jednym z nich. Jeśli będę musiał wyruszyć, w dzień czy w nocy, musisz pójść ze mną!

— Pójdę za tobą, Jack.

— Nie, nie, musisz pójść razem ze mną. Jeśli nigdy nie będę mógł wrócić do tej doliny, jak mógłbym cię tu zostawić, a samemu być może ukrywać się przed policją, bez nadziei na skontaktowanie się z tobą? Musisz jechać razem ze mną. Znam pewną dobrą kobietę tam, skąd przybyłem, u której możesz zostać, dopóki się nie pobierzemy. Pojedziesz ze mną?

— Tak, Jack, pojadę.

— Niech cię Bóg błogosławi za to zaufanie. Z piekła bym nie wyrzął, gdybym go nadużył. Teraz zapamiętaj, Ettie: dam ci znać tylko jednym słowem, a kiedy do ciebie dotrze, rzuć wszystko, przybiegnij prosto do poczekalni na dworzec i czekaj tam na mnie.

— W dzień czy w nocy, na twoje słowo przybiegnę, Jack.

Trochę uspokojony wstępny przygotowaniami do ucieczki, McMurdo udał się na posiedzenie łoży. Zebranie się już zaczęło i tylko dzięki skomplikowanym znakom i kontrznakom przebył zewnętrzne i wewnętrzne straże, które go pilnowały. Gdy wszedł, przywitał go szmer zadowolenia i radości. Wielka sala była zatłoczona, a przez kłęby tytoniowego dymu dojrzał zwichrzoną czarną grzywę mistrza, okrutną, nieprzyjemną twarz Baldwina, sępie oblicze sekretarza Harrawaya i z tuzin innych przywódców łoży. Ucieszył się, że wszyscy są na miejscu i będą się mogli naradzić nad przyniesionymi przez niego wieściami.

— Cieszy nas, że cię widzimy, bracie! — zawołał przewodniczący. — Mamy do rozpatrzenia sprawę, której rozstrzygnięcie wymaga salomonowego osądu<sup>52</sup>.

— Chodzi o Landera i Egana — wyjaśnił jego sąsiad, kiedy już zajął miejsce. — Obaj domagają się wyznaczonej przez łożę nagrody za zabicie starego Crabbe'a, tam w Stylestown, ale któż może stwierdzić, od czyjej kuli zginął?

McMurdo wstał z miejsca i podniósł rękę. Wyraz jego twarzy przykuł uwagę zebranych. Nastąpiła śmiertelna cisza oczekiwania.

— Czcigodny mistrzu — rzekł uroczystym głosem — chodzi o sprawę niecierpiącą zwłoki.

— Brat McMurdo prosi o głos w sprawie niecierpiącej zwłoki — rzekł McGinty. — W myśl obowiązujących w łoży praw ma pierwszeństwo przed innymi. Słuchamy cię, bracie.

McMurdo wyjął list z kieszeni.

<sup>52</sup>salomonowy osąd — taki, jak biblijnego Salomona, słynnego z mądrości króla Izraela, tj. mądra i sprawiedliwa decyzja kończąca bardzo trudny lub pozornie nierozwiązywalny spór. [przypis edytorski]

— Czcigodny mistrzu i wy, bracia — rzekł. — Przynoszę dzisiaj złe nowiny, ale lepiej, abyście je znali i omówili, niż żeby cios ten spadł bez ostrzeżenia, co by nas zgubiło. Otrzymałem wiadomość, że najpotężniejsze i najbogatsze towarzystwa w tym stanie porozumiały się ze sobą w sprawie zniszczenia nas i że w tej chwili w dolinie pracuje detektyw Pinkertona, niejaki Birdy Edwards, który zbiera dowody, aby zaprowadzić na stryczek wielu spośród nas, a każdego z zebranych w tym pokoju wysłać do więzienia. Oto sprawa do omówienia i dlatego prosiłem o głos.

W pokoju zaległa śmiertelna cisza. Przerwał ją przewodniczący.

— Jakie masz na to dowody, bracie McMurdo? — zapytał.

— Oto treść listu, który dostałem w swoje ręce — rzekł McMurdo. Przeczytał głośno jednostronny ustęp. — Dałem słowo honoru, że nie podam bliższych szczegółów na temat tego listu, ale zapewniam, że poza tym nie ma w nim nic takiego, co mogłoby łączyć zainteresować. Przedstawiam wam tę sprawę, jak do mnie dotarła.

— Pozwolę sobie zauważyć, panie przewodniczący — rzekł jeden ze starszych braci — że słyszałem już o Birdym Edwardsie i że cieszy się on opinią najlepszego z ludzi Pinkertona.

— Czy zna go ktoś z widzenia? — zapytał McGinty.

— Tak — odpowiedział McMurdo. — Ja go znam.

W sali dał się słyszeć szmer zdziwienia.

— Myślę, że mamy go w ręku — mówił dalej z wesołym uśmiechem na twarzy. — Jeśli będziemy działać szybko i roztropnie, przetniemy sprawę. Jeśli mi zaufacie i pomożecie, nie potrzebujemy się tak bardzo obawiać.

— Ale czego mielibyśmy się w ogóle bać? Co on może wiedzieć o naszych sprawach?

— Można by tak mówić, gdyby wszyscy byli tak nieugięci jak pan, panie radco. Ale człowiek ten ma za sobą miliony dolarów kapitalistów. Czy sądzi pan, że w naszych łóżach nie znajdzie się ani jeden słabszy brat, który dałby się kupić? Dotrze do naszych tajemnic... może się dotarł. Na to jest tylko jeden pewny sposób...

— Żeby nigdy nie opuścił doliny — rzekł Baldwin.

McMurdo skinął głową.

— Dobra rada, bracie Baldwinie — rzekł. — Często różniliśmy się między sobą, ale dziś masz słuszość.

— Gdzie on jest? Jak go poznamy?

— Czcigodny mistrzu — rzekł poważnie McMurdo. — Chciałem zwrócić pańską uwagę, że jest to dla nas zbyt żywotna sprawa, aby o niej mówić na pełnym zebraniu łoży. Uchowaj Boże, żebym chciał rzucić cię wątpliwości na kogoś z tu obecnych, jeśli jednak choćby słowo dojdzie do uszu tego człowieka, stracimy wszelkie szanse schwytania go. Chciałem prosić łożę o wybranie ściślejszego komitetu, złożonego z samego pana przewodniczącego, jeśli wolno mi proponować, z obecnego tu brata Baldwina i pięciu innych braci. Wówczas powiem otwarcie, co wiem i co moim zdaniem należy zrobić.

Propozycję przyjęto bez dyskusji i wybrano komitet. Oprócz przewodniczącego i Baldwina w jego skład wchodził Harraway, sekretarz o sępiej twarzy, tygrys Cormac, brutalny, młodociany morderca, skarbnik Carter i bracia Willaby, nieustraszeni i zdeterminowani ludzie, gotowi na wszystko.

Tym razem zwyczajne zebranie towarzyskie łoży było krótkie i niewesołe, gdyż na duszy mężczyzn ciążyła troska i wielu z nich po raz pierwszy ujrzało chmurę karzącego Prawa na pogodnym niebie, pod którym żyli tak długo. Okropności, jakie wyrządzali innym, tak bardzo stały się częścią ich życia, że myśl o zapłacie za nie uleciała daleko, toteż tym więcej przeraziło ich jej nagłe zjawienie się. Rozeszli się wcześniej, pozostawiając przywódców na naradzie.

— Teraz, McMurdo, mów — rzekł McGinty, kiedy już byli sami.

Siedmiu mężczyzn siedziało w fotelach bez ruchu.

— Powiedziałem już, że znam Birdy'ego Edwardsa — wyjaśniał McMurdo. — Nie potrzebuję wam mówić, że nie przebywa tu pod swoim nazwiskiem. To dzielny człowiek, przynajmniej, ale nie szaleniec. Podaje się za Steve'a Wilsona i zamieszkał w Hobson's Patch.

— Skąd to wiesz?

— Ponieważ z nim rozmawiałem. Wówczas się nad tym nie zastanawiałem i nie przyszłoby mi to do głowy, gdyby nie list, ale teraz jestem pewny. Spotkałem się z nim

w pociągu we wtorek. Mówił, że jest dziennikarzem. Wierzyłem mu wtedy. Chciał się dowiedzieć dla „New York Press” czego się da o Grasantach i ich „zbrodniach”, jak to nazwał. Zadawał mi rozmaite pytania, żeby zdobyć coś do gazety. Możecie być pewni, że nic nie powiedziałem. „Zapłaciłbym i to dobrze — powiedział — gdybym dowiedział się czegoś, co odpowiadałoby mojemu wydawcy”. Powiedziałem mu coś, o czym sądziłem, że będzie się mu podobać, a on wręczył mi czek na dwadzieścia dolarów w nagrodę za moje informacje. „Dostanie pan dziesięć razy tyle — rzekł — jeśli postara pan się o to, o co mi chodzi”.

— I co mu wtedy powiedziałeś?

— Nazmyślałem różnych rzeczy.

— Skąd wiesz, że to nie był dziennikarz?

— Powiem wam. Wysiadł w Hobson’s Patch i ja też. Tak się złożyło, że wszedłem do urzędu telegraficznego w chwili, kiedy właśnie stamtąd wychodził. „Niech pan spojrzysz — rzekł urzędnik po jego wyjściu — za coś takiego powinniśmy pobierać podwójną opłatę” „Myślę, że tak” — odpowiedziałem. Wypełnił blankiet czymś, co było dla nas chińszczyzną. „Codziennie wysyła całą taką stronę” — rzekł urzędnik. „Tak — powiedziałem. — To specjalne wiadomości dla jego gazety i boi się, żeby ktoś ich nie przechwycił”. Tak myślał telegrafista i ja wtedy też tak myślałem, ale dziś myślę całkiem inaczej.

— Jestem pewny, że masz rację! — rzekł McGinty. — Ale jak sądzicie, co powinniśmy zrobić?

— Może go sprzątnąć od razu? — poddał ktoś.

— Tak, im wcześniej, tym lepiej.

— Wyruszyłbym natychmiast, gdybym wiedział, gdzie go szukać — powiedział McMurdo. — Jest w Hobson’s Patch, ale nie wiem, gdzie dokładnie mieszka. Mam jednak pewien plan, jeśli się na niego zgodzicie.

— A więc?

— Wybiorę się jutro rano do Patch. Odszukam go przez urzędnika w biurze telegraficznym. Przypuszczam, że zna jego adres. Pójdę do niego i powiem, że sam należę do Wolnych Ludzi i za odpowiednią sumę przekażę mu wszystkie sekrety łoży. Możecie być pewni, że się na to złapie. Powiem, że dokumenty mam w domu, ale zbytnio obawiam się o życie, żeby pozwolić mu przyjść, kiedy w pobliżu kręcą się ludzie. Na pewno przyzna mi rację. Powiem, żeby przyszedł do mnie o dziesiątej w nocy, a wtedy wszystko mu pokażę. Jestem przekonany, że się zgodzi.

— I co dalej?

— Resztę obmyślicie sami. Dom wdowy MacNamara stoi na uboczu. Ona jest lojalna jak pies i głucha jak pień. W domu mieszkamy tylko we dwóch ze Scanlanem. Jeśli ten człowiek, że przyjdzie — a dam wam znać, jeśli tak się stanie — przyjdzie do mnie w siedmiu o dziesiątej. Wpuszczę go do domu, a jeśli wyjdzie żywy... no, to Birdy Edwards do samej śmierci będzie mógł się chwalić swoim niezwykłym szczęściem.

— Będzie wkrótce do wolna posada u Pinkertonów, jeśli się nie mylę — rzekł McGinty. — A zatem postanowione, McMurdo. Jutro o dziesiątej będziemy u ciebie. Gdy tylko zamkniesz za nim drzwi, resztę możesz nam pozostawić.

## ROZDZIAŁ XIV. ZASADZKA NA BIRDY’EGO EDWARDSA

McMurdo miał słuszość. Dom, w którym mieszkał, stał na uboczu i znakomicie nadawał się do uplanowanej zbrodni. Stał na skraju miasta, z dala od gościńca. W każdym innym wypadku spiskowcy wywołaliby po prostu swoją ofiarę, jak to już nieraz bywało, i podziurawiliby kulami, ale tym razem musieli koniecznie dowiedzieć się, co wie, w jaki sposób zebrał informacje i o czym powiadomił swoich pracodawców. Możliwe, że już było za późno i że zdążył już wykonać swoje zadanie. W tym wypadku mogli się przynajmniej na nim zemścić. Mieli jednak nadzieję, że detektyw nie dowiedział się jeszcze o niczym szczególnie ważnym, gdyż wówczas, jak sądzili, nie zadawałby sobie trudu wysyłania depeszy z takimi błahostkami, jakie podał mu McMurdo. Ale o tym mogli się dowiedzieć tylko od niego samego. Kiedy tylko dostaną go w swoje ręce, znajdą sposób, żeby zmusić go do mówienia. Nie pierwszy raz mieli do czynienia z opornym świadkiem.

Tak jak ustalili, McMurdo udał się do Hobson's Patch. Wydawało się, że tego ranka policja szczególnie się nim interesowała, a kapitan Marvin, który podawał się za starego znajomego z Chicago, zagadnął go nawet, kiedy czekał na dworcu na pociąg. McMurdo odwrócił się i nie chciał z nim mówić. Po południu wrócił z misji i spotkał się z McGintym w Domu Związkowym.

— Przyjdzie — rzekł.

— Dobrze — rzekł McGinty. Olbrzym stał z zakasnymi rękawami. Na obszernej kamizelce błyszczał łańcuszek od zegarka i breloki, a spod postrzępionej brody połyskiwała diamentowa spinka. Bar i polityka zrobiły z Szefa człowieka bogatego i potężnego. Tym groźniejsze było dla niego widmo szubienicy lub więzienia, które stało przed nim ubiegłej nocy.

— Myślisz, że dużo wie? — zapytał z niepokojem.

McMurdo z ponurą miną pokiwał głową.

— Jest tu już od jakiegoś czasu, co najmniej od sześciu tygodni. A myślę, że nie przyjechał dla przyjemności. Jeśli pracował wśród nas przez cały ten czas, rozporządzając pieniędzmi towarzystw kolejowych, należy się spodziewać, że zebrał sporo wiadomości i przekazał je dalej.

— W naszej loży nie ma słabych ludzi! — zawołał McGinty. — Wszyscy są pewni jak stal. A jednak... na Boga... ten tchórz Morris! Co o nim sądzisz? Tylko on mógłby nas wydać. Mam ochotę posłać do niego kilku chłopców jeszcze przed wieczorem, żeby kijami wydobyli od niego wszystko, co wie.

— To by nie zaszkodziło — odpowiedział McMurdo. — Nie przeczę, że mam słabość do Morrisa i byłoby mi przykro, gdyby stała mu się krzywda. Rozmawiał ze mną raz czy dwa razy o sprawach loży i chociaż nie zapatrywał się na nie tak jak ja i pan, nie sądzę, żeby był donosicielem. Ale to nie moja rzecz stawać między panem i nim.

— Zajmę się tym starym łajdakiem — rzekł McGinty z przekleństwem. — Cały rok mam go na oku.

— Pan wie najlepiej, co robić — odpowiedział McMurdo. — Ale cokolwiek pan zrobi, trzeba to odłożyć do jutra, bo musimy unikać rozgłosu, dopóki nie załatwi się sprawa z Pinkertonem. Nie możemy właśnie dziś stawiać policji na nogi.

— Masz rację — rzekł McGinty. — Dowiemy się od samego Birdy'ego Edwardsa, kto przekazał mu informacje, choćbyśmy musieli wydrzeć mu serce z piersi. Czy nie podejrzewał zasadzki?

McMurdo roześmiał się.

— Znalazłem jego słabą stronę — rzekł. — Gotów jest na wszystko, byleby wpaść na trop Grasantów. Wziąłem od niego pieniądze — McMurdo uśmiechnął się szyderczo, wyjmując plik banknotów dolarowych — i obiecał, że da mi drugie tyle, kiedy przejrzy moje dokumenty.

— Jakie dokumenty?

— No, nie ma żadnych dokumentów. Ale naopowiadałem mu różnych rzeczy o regulaminach, prawach i formach braterstwa. Spodziewa dowiedzieć się wszystkiego dzisiejszej nocy, zanim odjedzie.

— I ma rację — stwierdził ponuro McGinty. — Nie pytał, czemu sam nie przywiozłeś ze sobą papierów?

— Tak jakbym mógł nosić takie rzeczy przy sobie! Ja, człowiek podejrzany, a jeszcze dziś na dworcu zaczepił mnie kapitan Marvin.

— Tak, słyszałem o tym — powiedział McMurdo. — Obawiam się, że z całej tej sprawy wyniknie dla ciebie jakiś kłopot. Kiedy się z nim załatwimy, moglibyśmy go wrzucić do starego szybu, ale cokolwiek zrobimy, będzie wiadomo, że ten człowiek mieszkał w Hobson's Patch i że akurat dziś tam był.

McMurdo wzruszył ramionami.

— Jeśli wszystko dobrze urządzimy, nie udowodnią nam zabójstwa — odparł. — Nikt nie zobaczy w ciemnościach, że wszedł do mojego domu, i ręczę, że nikt nie ujrzy go wychodzącego. A teraz niech pan posłucha, mistrzu. Przedstawię panu plan i proszę, aby pan powiadomił o nim pozostałych. Przyjdziecie wszyscy w oznaczonym czasie. Bardzo dobrze. On przyjdzie o dziesiątej. Ma zapukać trzy razy, wówczas otworzę mu drzwi. Potem je za nim zamknę. Wtedy go mamy.

— To jasne i proste.

— Tak, ale następny krok wymaga zastanowienia. To twarda sztuka. Jest dobrze uzbrojony. Udało mi się go oszukać, ale mimo to zapewne będzie miał się na baczności. Przypuśćmy, że wprowadzę go do pokoju, w którym zamiast mnie jednego, jak się spodziewał, zostanie siedmiu ludzi. Dojdzie wówczas do strzelaniny i ktoś z nas może zostać ranny.

— Słusznie.

— A hałas ściągnie nam na głowy wszystkich przeklętych łapsów z całego miasta...

— Chyba masz rację.

— Oto, jakbym wszystko urządził. Wy będziecie w dużym pokoju, w tym, w którym rozmawiał pan ze mną. Otworzę mu drzwi, wprowadzę go do poczekalni przy wejściu i zostawię, żeby pójść po papiery. W ten sposób będę mógł powiedzieć wam, jak sprawy stoją. Potem wrócę do niego z jakimiś fałszywymi dokumentami, a kiedy je zacznie czytać, skoczę na niego i chwycę, żeby nie mógł wydobyć broni. Kiedy usłyszycie moje wołanie, wpadniecie do środka. Im szybciej, tym lepiej, bo jest to silny człowiek i mogę nie dać sobie z nim rady. Ale przypuszczam, że go utrzymam, dopóki nie nadbiegniecie.

— To dobry plan — rzekł McGinty. — Loża będzie ci bardzo zobowiązana. Myślę, że gdy opuszczę fotel przewodniczącego, będę mógł wskazać nazwisko mojego następcy.

— Doprawdy, panie radco, jestem jeszcze prawie nowicjuszem w loży — rzekł McMurdo, ale z jego twarzy widać było, jak bardzo schlebiał mu komplement wielkiego człowieka.

Po powrocie do domu zaczął przygotowania do wieczornego dramatu, który go oczekiwał. Najpierw wyczyścił, naoliwił i naładował rewolwer „Smith and Wesson”. Potem obejrzał pokój, do którego miał zostać zwabiony detektyw. Było to obszerne pomieszczenie z długim stołem na środku i wielkim kominkiem w głębi. Z obu stron znajdowały się okna. Nie miały okiennic, przysłaniały je tylko jedynie lekkie kotary. McMurdo przyjrzał im się uważnie. Bez wątplenia musiało go uderzyć, że ten pokój był za bardzo na widoku jak na załatwienie tak potajemnej sprawy. Ale odległość od drogi zmniejszyła niebezpieczeństwo. W końcu omówił sprawę z swoim współlokatorem. Scanlan, chociaż Grasant, był nieszkodliwym, szarym człowiekiem, zbyt słabym, żeby sprzeciwiać się towarzyszom, ale w głębi duszy przerażonym krwawymi czynami, w których niekiedy musiał brać udział. McMurdo powiedział mu w krótkich słowach, co zamierzają.

— Na twoim miejscu zwolniłbym się i trzymałbym się od tego z daleka. Dziś w nocy poleje się tu krew.

— Cóż, to nie chęci mi brakuje — odpowiedział Scanlan — ale nerwy odmawiają posłuszeństwa. Od chwili kiedy zobaczyłem, jak pada martwy zarządca Dunn, tam, w kopalni węgla, jestem cały rozbity. Nie nadaję się do tej roboty jak ty i McGinty. Jeśli loża nie weźmie mi tego za złe, usłucham twojej rady i zostawię was samych wieczorem.

Mężczyźni przyszli punktualnie w oznaczonym czasie. Wyglądali na porządnymi obywateli, dobrze i schludnie ubrani, ale ktoś umiejący czytać z twarzy nie znalazłby nadziei dla Birdy’ego Edwardsa w tych surowych, zaciśniętych ustach i bezlitosnych oczach. Nie było między nimi żadnego, którego ręce już wiele razy wcześniej nie zboczyły się krwią. Zabicie człowieka stanowiło dla nich coś tak pospolitego jak zabicie owcy dla rzeźnika. Na ich czoło wysuwał się oczywiście, zarówno z racji swojego wyglądu, jak i zbrodni na sumieniu, straszliwy Szef. Sekretarz Harraway, człowiek chudy, zgorzkniały, z długą, suchą szyją i nerwowymi, zwinnymi kończynami, był nieposzlakowanej prawości, jeśli chodziło o finanse Zakonu i nie uznawał poza nimi ani sprawiedliwości, ani uczciwości. Skarbnik, Carter był mężczyzną w średnim wieku o obojętnym, nawet tępym wyrazie twarzy i żółtej, pergaminowej skórze. Był dobrym organizatorem i opracowanie szczegółów prawie każdego napadu rodziło się w jego zdolnym do wszelkiej intrygi mózgu. Dwaj bracia Willaby byli ludźmi czynu, rosłe, młode zuchy z twarzami zdecydowanymi na wszystko, podczas gdy ich towarzysz Tygrys Cormac, ciężki, czarnowłosy młodzieniec ze względu na dziki charakter budził strach nawet w swoich kompanach.

Tacy to ludzie zebrali się tej nocy pod dachem McMurdo, by zabić detektywa wysłanego przez Pinkertona.

Gospodarz postawił na stole whisky, a oni zabrali się do niej przed czekającą ich robotą. Baldwin i Cormac byli już podpićci, a trunek wydobył na wierzch całą ich dzikość.

Podstęp

Cormac położył na chwilę ręce na kominku, w którym palił się ogień, gdyż noce były jeszcze chłodne.

— To się przyda — zauważył z przekleństwem.

— Aha! — dorzucił Baldwin, zrozumiałwszy go. — Jeśli się go przywiąże do pieca, wyśpiewa wszystko...

— Nie ma obawy, wydobędziemy z niego prawdę — rzekł McMurdo. Miał nerwy ze stali, bo chociaż powodzenie całej sprawy zależało wyłącznie od niego, jego zachowanie było równie spokojne i opanowane jak zawsze. Inni zauważyli to z zadowoleniem.

— Ty sobie z nim poradzisz — powiedział z uznaniem Szef. — Nie będzie niczego podejrzewał, dopóki nie chwycisz go za gardło. Szkoda, że tu nie ma okiennic.

McMurdo przeszedł od okna do okna i dokładnie zasunął kotary.

— No, teraz nas nikt nie podpatrzy. Godzina się zbliża.

— Może nie przyjdzie? Może zwęszył niebezpieczeństwo? — rzucił sekretarz.

— Przyjdzie, nie ma obawy — odpowiedział McMurdo. — Śpieszy mu się tak, jak i wam. Słyszycie?

Siedzieli jak figury z wosku, ze szklankami zatrzymanymi w pół drogi do ust. Trzy razy głośno zapukano do drzwi.

— Sza!

McMurdo ostrzegawczo uniósł dłoń. W oczach zebranych wokół stołu pojawił się wyraz zadowolenia, a ręce spoczęły na ukrytej broni.

— Ani pary z ust, jeśli wam życie miłe! — szepnął McMurdo, wychodząc z pokoju i zamykając drzwi za sobą.

Wszyscy czekali z nastawionymi uszami. Liczyli kroki McMurdo w korytarzu. Potem usłyszeli otwieranie drzwi zewnętrznych, kilka słów przywitania. A potem czyjeś kroki wewnątrz domu i jakiś obcy głos. W chwili później zatrzaśnięto drzwi i przekręcono klucz w zamku. Zdobycz wpadła w pułapkę. Tygrys Cormac zaśmiał się straszliwie, ale mistrz McGinty położył mu na ustach swoją wielką dłoń.

— Cicho, głupcze! — szepnął. — Jeszcze nam wszystko popsujesz.

Z sąsiedniego pokoju dochodził szmer rozmowy. Zdawała się przeciągać w nieskończoność. Potem drzwi się otworzyły i wszedł McMurdo z palcem na ustach.

Podszedł do stołu i wodził spojrzeniem po twarzach mężczyzn. Zaszła w nim jakaś nieuchwytna zmiana. Zachowywał się jak człowiek, który ma dokonać wielkiego dzieła. Na jego twarzy malował się granitowy spokój. Oczy zza okularów błyszczały dzikim podnieceniem. Stał się widocznym panem sytuacji. Spoglądali na niego w najwyższym napięciu, ale on milczał, tylko tym samym, szczególnym wzrokiem wodził kolejno po wszystkich zebranych.

— No i co? — zawołał w końcu McGinty. — Jest tu? Czy Birdy Edwards jest tutaj?

— Tak — odpowiedział powoli McMurdo. — Birdy Edwards jest tutaj. Birdy Edwards to ja!

Przez dziesięć sekund po tym krótkim wyznaniu panowała tak głęboka cisza, że mogło się zdawać, że w pokoju nikogo nie ma. Syczenie gotującego się na kominku kociołka nieprzyjemnie raziło ucho.

Siedem białych jak ściana twarzy, zwróconych w górę, ku stojącemu nad nimi mężczyźnie, znieruchomiła z przerażenia. Potem nagle prysnęły szyby, w oknach ukazały się błyszczące lufy karabinów, a zerwane z uchwytyw kotary opadły.

Na ten widok McGinty ryknął jak zraniony niedźwiedź i rzucił się do uchylonych drzwi. Spotkał się tu z wymierzonym w siebie rewolwerem i surowym spojrzeniem niebieskich oczu kapitana Marvina z Policji Kopalnianej, lśniących za muszką lufy. Cofnął się i opadł na krzesło.

— Tak lepiej, panie radco — rzekł człowiek, którego znali pod nazwiskiem McMurdo. — A ty, Baldwinie, jeśli nie zdejmiesz ręki z rewolweru, nie będziesz potrzebował czekać na szubienicę. Oddaj go zaraz albo, na Boga... Tak, teraz dobrze. Dom jest otoczony przez czterdziestu ludzi, sami oceńcie, jakie macie szanse. Marvin, niech ich pan rozbroi!

Pod lufami karabinów nie było mowy o oporze. Rozbrojono ich. Posępni, osłupiali, zdumieni siedzieli dalej wokół stołu.

— Chciałbym wam powiedzieć kilka słów, zanim się rozstaniemy — rzekł człowiek, który schwytał ich w pułapkę. — Myślę, że zobaczymy się dopiero w sądzie. Chciałbym jednak, żebyście mieli nad czym myśleć do tego czasu. Wiecie teraz, kim jestem. Wreszcie mogę wyłożyć karty na stół. Jestem Birdy Edwards z agencji Pinkertona. Wybrano mnie, abym rozbił waszą bandę. Czekala mnie ciężka i niebezpieczna gra. Żadna dusza, dosłownie żadna dusza, nawet najdrożsi ani i najbliżsi nie wiedzieli, że w to gram. Wiedzieli o tym tylko kapitan Marvin i moi pracodawcy. Ale to już koniec, dzięki Bogu, i wygrałem!

Siedem bladych, zdrętwiałych twarzy spojrzalo na niego. W ich oczach widać było straszliwą nienawiść. Wyczytał w nich bezlitosną groźbę.

— Może myślicie, że to jeszcze nie koniec? Trudno, zaryzykuję. W każdym razie kilku z was nie będzie już przeszkadzało, a oprócz tego jeszcze dzisiejszej nocy sześćdziesięciu waszych ludzi znajdzie się w więzieniu. Przyznam szczerze, że kiedy powierzono mi o zadanie, nie wierzyłem w istnienie takiego stowarzyszenia jak wasze. Sądziłem, że to gazetowe plotki i że uda mi się to udowodnić. Mówiono mi, że sprawa ma jakiś związek z Wolnymi Ludźmi, dlatego przybyłem do Chicago i zostałem jednym z nich. Wtedy byłem bardziej niż kiedykolwiek pewien, że to tylko kaczka dziennikarska, bo w tym stowarzyszeniu nie znalazłem nic zdroźnego, a wiele stron dobrych. Ale chciałem wywiązać się z zadania. Przyjechałem do dolin węglowych. Tu, na miejscu, przekonałem się, że się myliłem i sprawa wcale nie jest sensacyjną historyjką. Zostałem, aby się rozejrzeć. Nie zabiłem w Chicago żadnego człowieka. Nie sfalszowałem w życiu ani jednego dolara. Te, które wam dałem, były równie prawdziwe jak inne, ale nigdy nie wydałem pieniędzy w szlachetniejszym celu. Wiedziałem, jak zyskać waszą przychyłność, i dlatego udawałem, że ściga mnie policja. Wszystko poszło tak, jak myślałem.

Wstąpiłem do waszej diabelskiej loży i brałem udział w waszych naradach. Może powiecie, że byłem równie zły jak i wy. Mówcie, co chcecie. Jest mi to obojętne teraz, kiedy was trzymam w ręku. Ale jak wygląda prawda? W noc, kiedy się do was przyłączyłem, pobiliście starego Stangera. Nie mogłem go ostrzec, bo nie miałem czasu, ale powstrzymałem twoją rękę, Baldwinie, kiedy go chciałeś zabić. Jeśli kiedykolwiek przedstawiałem jakiś plan, żeby utrzymać swoją pozycję wśród was, zawsze wiedziałem, że znajdę sposób, żeby zapobiec jego wykonaniu. Nie mogłem ocalić Dunna i Menziesa, bo za mało wiedziałem, ale dopilnuję, żeby ich mordercy zostali powieszani. Ostrzegłem Chestera Wilcoxa, tak że kiedy wysadziłem w powietrze jego dom, on i jego rodzina byli w bezpiecznym miejscu. Wielu zbrodniom nie zdołałem zapobiec, ale jeśli spojrzycie wstecz i sobie przypomnieć, jak często wasza ofiara wracała do domu inną drogą, była w mieście, kiedy szukaliście jej w domu, lub siedziała w domu, kiedy spodziewaliście się, że wyjdzie, zrozumiecie, co było moim dziełem.

— Przekłęty zdrajco! — syknął McGinty przez zaciśnięte zęby.

— Tak, możesz mnie nazywać zdrajcą, Johnnie McGinty, jeśli ci to ulży. Ty i podobni tobie byliście wrogami Boga i ludzi w tych stronach. Trzeba było, aby ktoś stanął między tobą a tymi biednymi mężczyznami i kobietami, których gnębiłeś. Wiodła do tego tylko jedna droga i tę wybrałem. Nazywałeś mnie zdrajcą, ale jestem pewny, że tysiące ludzi nazwą mnie zbawicielem, który zstąpił do piekieł, aby ich ocalić. Spędziłem w tym piekle trzy miesiące. Nie chciałbym przeżyć drugich takich trzech miesięcy, choćby mi ofiarowano cały skarbiec Waszyngtonu. Musiałem tu zostać, aż dowiem się o wszystkim, o każdym człowieku i każdej tajemnicy. Poczekaliby trochę dłużej, gdybym się nie dowiedział, że grozi mi wykrycie. Do miasta dotarł list, który naprowadziłby was na mój trop. Wobec tego musiałem działać, i to szybko. Nie mam wam nic więcej do powiedzenia prócz tego, że kiedy nadejdzie mój czas, lżej mi będzie umierać, gdy pomyślę o dziele, którego dokonałem w tej dolinie. A teraz, kapitanie Marvin, nie będę pana dłużej zatrzymywać. Może ich pan zabierać i miejmy to za sobą.

Niewiele już pozostaje do opowiedzenia. Scanlan otrzymał zapieczętowany list z poleceniem wręczenia go pannie Ettie Shafter — misję, której się podjął ze znaczącym uśmiechem. Wczesnym rankiem piękna kobieta i okryty po uszy mężczyzna wsiedli do specjalnego pociągu przysłanego przez Towarzystwo Kolei Żelaznych i nie zatrzymując się na żadnej stacji, wyjechali szybko z niebezpiecznego kraju. Ettie i jej ukochany pożegnali na zawsze Dolinę Trwogi. Dziesięć dni później pobrali się w Chicago, a stary Jakub Shafter był ich świadkiem.

Podstęp

Proces Grasantów odbył się daleko od miejsca, gdzie ich zwolennicy mogliby terroryzować stróżów prawa. Na próżno walczyli. Na próżno pieniądze łoży — pieniądze wyciśnięte z całej okolicy przez zbrodnie — płynęły jak woda, żeby ich ocalić. Zimne, jasne, spokojne sprawozdanie człowieka, który znał każdy szczegół ich życia, ich organizację i ich przestępstwa, oparło się wszelkim wysiłkom obrońców. Nareszcie po tylu latach zostali złamani i rozbici. Chmury nad doliną pierzchnęły na zawsze. McGinty poniósł śmierć na szafocie, trzęsąc się i jęcząc, kiedy przyszła jego ostatnia godzina. Jego los podzieliło ośmiu przywódców. Pięćdziesięciu skazano na dłuższe lub krótsze więzienie. Dzieło Birdy'ego Edwardsa zostało zakończone.

A jednak, jak przypuszczał, gra się nie skończyła. Trzeba było znów wziąć w ręce karty, raz, drugi i trzeci. Ted Baldwin uniknął szafotu, tak samo obaj Willaby, uniknęło go również wielu najdzikszych bandytów. Przez dziesięć lat pozostawali za kratkami, ale przyszedł dzień, kiedy wypuszczono ich na wolność. Dzień, w którym, jak wiedział Edwards, skończy jego spokojne życie. Przysięgli na wszystkie świętości, że krwawo zemszczą się na nim za śmierć towarzyszy. I nie ociągali się z wypełnieniem ślubowania. Po dwóch zamachach, tak bliskich powodzenia, że na trzeci nie chciał już czekać, McMurdo musiał uciekać z Chicago. Pod zmienionym nazwiskiem wyjechał do Kalifornii i tam zgąsło światło jego życia, gdy zmarła Ettie Edwards. Po raz kolejny omal go nie zabito i po raz kolejny, pod nazwiskiem Douglas, pracował w odludnym kanionie, gdzie wraz z angielskim współnikiem Barkerem dorobił się znacznej fortuny. W końcu otrzymał ostrzeżenie, że ogary znowu wpadły na jego trop i umknął — w samą porę — do Anglii. Tu John Douglas, który po raz drugi znalazł sobie dobrą żonę, osiadł i żył przez pięć lat jako ziemianin w Sussex, życiem, którego zakończeniem były znane już nam tajemnicze wydarzenia.

## EPILOG

Śledztwo skończyło się i sprawa Johna Douglasa przeszła do sądu. Przysięgli uwolnili go od winy i kary, uznając, że działał w obronie własnej. „Niech go pani za wszelką cenę wywiezie z Anglii — pisał Sherlock Holmes do jego żony. — Działają tu siły może groźniejsze od tych, którym się wymknął. Małżonek pani w Anglii będzie w ciągłym niebezpieczeństwie”.

Minęły dwa miesiące i sprawa powoli zatarła się nam w pamięci. Potem pewnego ranka przyszedł zagadkowy list. „O Boże, panie Holmes! O Boże!”, głosiła tajemnicza kartka. Nie było na niej ani podpisu, ani nagłówka. Roześmiałem się na tę dziwną wiadomość, ale Holmes przyjął ją niezwykle poważnie.

— Paskudna sprawa! — zauważył i siedział długo z zachmurzonym czołem.

Późnym wieczorem nasza gospodyni, pani Hudson, przekazała, że jakiś pan chce się widzieć z Holmesem i że sprawa jest niezwykle ważna. Zaraz za nią w drzwiach zjawił się pan Cecil Barker, nasz znajomy z otoczonego fosą dworu. Twarz miał ściągniętą i wymiżerowaną.

— Otrzymałem złą wiadomość, straszną wiadomość, panie Holmes — rzekł.

— Dostał pan telegram?

— Dostałem kartkę od kogoś, kto go otrzymał.

— Tego się obawiałem — odrzekł Holmes.

— Chodzi o biednego Douglasa. Mówiono mi, że właściwie nazywa się Edwards, ale dla mnie zawsze będzie Johnem Douglasem z kanionu Benito. Mówiłem już panu, że trzy tygodnie temu wyjechali oboje do Afryki Południowej na statku „Palmyra”.

— Właśnie.

— Statek przybył do Kapsztadu<sup>53</sup> ubiegłej nocy. Dziś rano otrzymałem od pani Douglas taki telegram:

Jack zginął w morzu w czasie burzy koło Świętej Heleny<sup>54</sup>. Nikt nie wie, jak to się stało. — Ivy Douglas.

<sup>53</sup>Kapsztad — najstarsze miasto w Południowej Afryce, w XIX w. stolica Kraju Przylądkowego, kolonii brytyjskiej. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>Wyspa Św. Heleny — wyspa wulkaniczna na Oceanie Atlantyckim, około 1900 km wybrzeża Afryki. [przypis edytorski]



— Ha! A więc tak to zrobili? — spytał z namysłem Holmes. — Cóż, nie wątpię, że to było dobrze zaaranżowane.

— Pan sądzi, że to nie był wypadek?

— Nigdy w świecie!

— Został zamordowany?

— Na pewno.

— Też tak myślę. Ci przekłęci Grasanci, to diabelskie gniazdo mściwych zbrodniarzy...

— Nie, nie, drogi panie — rzekł Holmes. — Tu znać rękę mistrza. Nie ma tu ani obciętych strzelb, ani niezdarnych sześciostrzałowców. Poznać starego mistrza po jego robocie. Wiem, że to dzieło Moriarty'ego. Nad wykonaniem zbrodni czuwał Londyn, nie Ameryka.

— Ale z jakiego powodu?

— Ponieważ dokonał jej człowiek, który nie może sobie pozwolić na porażkę, którego cała wyjątkowa pozycja zależy od tego, że wszystko, co robi, musi zakończyć się sukcesem. Wielki mózg i potężna organizacja sprysnęły się na zgubę jednego człowieka. To jak rozbicie orzeszka młotem do kucia — absurdalna strata energii, ale w rezultacie orzeszek został zmiażdżony.

— Jak to się stało, że ten człowiek się tym zajął?

— Mogę tylko powiedzieć, że pierwsze słowo w tej sprawie przysłał nam jeden z jego pomocników. Dobrze doradzono tym Amerykanom. Mając wykonać robotę w Anglii, weszli w spółkę, jak zrobiłby każdy przestępca-obcokrajowiec, z tym wielkim doradcą w sprawach zbrodni. Od tej chwili los ich ofiary był przypieczętowany. Na początku zadowolili się skorzystaniem ze swojej organizacji, aby znaleźć Douglasa. Potem udzielił wskazówek, jak należy działać. W końcu, kiedy wyczytał o nieudanym zamachu, wkroczył sam. Słyszał pan, jak ostrzegałem Douglasa we dworze Birlstone, że nadchodzące niebezpieczeństwo jest groźniejsze od poprzednich. Czy nie miałem racji?

Barker w bezsilnym gniewie uderzył się pięścią w głowę.

— I pan chce, żebyśmy cierpliwie czekali? Mówi pan, że nikt nigdy nie dorówna temu królowi zbrodni?

— Nie, tego nie mówię — rzekł Holmes, a jego oczy zdawały się spoglądać daleko w przyszłość. — Nie mówię, że nie można go pokonać. Ale musi mi pan dać czas, musi mi pan dać czas.

Siedzieliśmy przez kilka minut w milczeniu, a jego groźne oczy wciąż usiłowały przeniknąć zasłonę przyszłości.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/doyle-dolina-trwogi/>

Tekst opracowany na podstawie: Arthur Conan Doyle, Dolina trwogi, wyd. Towarzystwo Wydawnicze "Rój", Warszawa 1928.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury ([www.wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl)).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-7291-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).